

**RACHEL HAWKINS**

**DZIEWCZYNY  
Z HEX HALL**

*Dziękuję, Mamo i Tato,  
dziękuję, Johnie i Willu,  
dziękuję Wam za wszystko...*

„Mówiła matka: Nie chodź, o dziecie,  
Zbyt blisko szybki, co w oknie świeci,  
Bo możesz ujrzeć w szklanej przestrzeni  
Twarz widzimy bladą, co w twą się zmieni,  
Czerwone usta szepczące w ciszę  
Zaklęcia, których lepiej nie słyszeć!"  
Sarah Morgan Bryan Piatt, tłum. A. Fulińska

## PROLOG

Felicia Miller płakała w łazience. Znowu.

Wiedziałam, że to ona, ponieważ w ciągu tych trzech miesięcy, kiedy chodziłam do liceum Green Mountain, zdążyłam już dwukrotnie ją na tym przyłapać. Ponadto szlochała w bardzo charakterystyczny sposób: cienkim głosem, gwałtownie wciągając powietrze, jak małe dziecko, mimo że miała osiemnaście lat, czyli o dwa więcej niż ja.

Poprzednio nie przeszkadzałam jej, zakładając, że każda dziewczyna ma prawo popłakać sobie od czasu do czasu w szkolnej toalecie.

Ale dziś wieczór był jej bal maturalny, a płacz w eleganckiej sukni ma w sobie coś wyjątkowo smutnego. A poza tym miałam słabość do Felicii. W każdej szkole, do której chodziłam - dotychczas zaliczyłam ich dziewiętnaście, ale pewnie będzie więcej - spotykałam takie dziewczyny jak ona. I mimo że jestem chyba dziwaczna, ludzie zazwyczaj nie są dla mnie wredni - przeważnie po prostu udają, że mnie nie widzą. Felicia natomiast była klasowym pośmiewiskiem. Szkoła stanowiła dla niej niekończące się pasmo skradzionych kanapek i złośliwych uwag.

Zajrzałam pod drzwi do kabiny i zobaczyłam stopy  
w żółtych sandałach z paseczków.

- Felicio? - zawołałam, stukając cicho w drzwi. - Co się stało?

Otworzyła i rzuciła mi wściekłe spojrzenie zaczerwienionych oczu.

- Co się stało? Dobrze, Sophie, zobaczmy. To jest mój bal maturalny, ale jak zapewne widzisz, nie mam pary.

- No... tak. Ale jesteś w łazience, więc pomyślałam...

- Niby co? - zapytała, wstając i wycierając nos w spory zwitek papieru toaletowego. - Że mój partner czeka na zewnątrz? - Prychnęła.

- Daj spokój. Okłamałam rodziców, że mam z kim iść na bal, więc kupili mi sukienkę... - Pacnęła ręką w żółtą taftę, jakby chciała zabić komara.

- Powiedziałam im też, że spotykamy się dopiero tutaj, więc mnie podrzucili. Jakoś... nie potrafiłam się przyznać, że nikt mnie nie zaprosił. Załamaliby się. - Przewróciła oczami. - Żalotne, co?

- Wcale nie - odpowiedziałam. - Mnóstwo dziewczyn przychodzi na bal bez chłopaków.

Obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem.

- A ty z kimś przyszaś?

Owszem, przyszłam. Był to wprawdzie Ryan Hellerman, który jako jedyny miał szansę konkurować ze mną w kwestii niepopularności w Green Mountain, ale jednak liczył się jako chłopak. Poza tym mama była taka szczęśliwa, że ktoś mnie zaprosił. Uznała to za dowód, że w końcu się d o p a s o w a łam.

Dopasowanie jest dla mojej mamy bardzo ważne. Przyglądałam się Felicii stojącej w żółtej sukni i pociągającej nosem i niewiele myśląc, głupio rzuciłam:

- Mogę ci pomóc.

Felicia spojrzała na mnie zapuchniętymi oczami.

- Jak?

Objęłam ją ramieniem, zmuszając do wyprostowania się.

- Musimy wyjść z budynku.

Wyszliśmy z łazienki i przedarliśmy się przez zatłoczoną salę gimnastyczną. Felicia sprawiała wrażenie zaniepokojonej, kiedy wyprowadziłam ją przez wielką dwuskrzydłową bramę na parking.

-Jeśli to jakiś głupi kawał, to pamiętaj, że mam gaz w torebce - powiedziała, przyciskając do piersi niewielką kopertówkę.

-Wyluzuj. - Rozejrzałam się, żeby mieć pewność, że na parkingu nie ma nikogo oprócz nas.

Mimo że zbliżał się koniec kwietnia, w powietrzu wciąż czuło się chłód i obie dygotałyśmy w cienkich sukienkach.

-Okej - powiedziałam, odwracając się z powrotem do niej. - Gdybyś mogła wybrać dowolną osobę jako partnera na ten bal, to kto by to był?

-To jakaś wyrafinowana tortura? - zapytała.

-Odpowiedz mi.

Utkwiła wzrok w swoich żółtych bucikach.

- Kevin Bridges? - wymamrotała.

Nie, żeby mnie to zaskoczyło. Przewodniczący samorządu szkolnego, kapitan drużyny piłkarskiej, jednym słowem ciacho... Kevin Bridges był tym chłopakiem, którego niemal każda dziewczyna wybrałaby na swojego balowego partnera.

- No dobra, niech będzie Kevin - mruknęłam, wyginając palce.

Uniosłam ręce ku niebu, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Felicię w objęciach Kevina: ją w jasnej, żółtej sukience, jego w smokingu. Mocno skupiłam się na tym obrazie - już po zaledwie kilku sekundach poczułam lekkie drżenie pod stopami i pojawiło się wrażenie, jakby w moje wyciągnięte ręce strumieniami lała się woda. Włosy uniosły mi się do góry, wysoko nad ramionami, a Felicia krzyknęła.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam dokładnie to, czego się spodziewałam. Nad nami

uformowała się ogromna ciemna chmura, we wnętrzu której migotało fioletowe światło. Nie przerywałam koncentracji. Chmura wirowała coraz szybciej, aż w końcu przybrała *idealnie* okrągły kształt z *dziurką* w środku.

M a g i c z n y *Pączek* - tak to nazywałam, od kiedy po raz *pierwszy* udało mi się go stworzyć w moje dwunaste urodziny.

Felicia skuliła się między dwoma samochodami, kryjąc głowę w ramionach. Było już jednak za późno, żeby przestać.

Otwór w środku chmury wypełnił się jaskrawozielonym światłem. Skupiona na tym świede oraz na obrazie Kevina i Felicii, zgłębiałam palce i patrzyłam, jak zielona błyskawica wystrzela z chmury i przecina niebo, po czym znika gdzieś za drzewami.

Chmura rozplynęła się, a Felicia wstała na trzęsących się nogach.

- C-co to było? - Zwróciła się do mnie z szeroko otwartymi oczami. - Jesteś jakąś czarownicą czy co?

Wzruszyłam ramionami, czując wciąż przyjemny dreszczyk mocy, którą właśnie wyzwoliłam. Pijana magią, jak określała to mama.

- To nic takiego - powiedziałam. - Wracajmy do środka.

Kiedy weszłam z powrotem do sali, Ryan stał przy stole z ponczem.

- Co się stało? - spytał, wskazując głową Felicię, która stała na palcach i gapiała się w podłogę, wyglądając na oszołomioną.

Och. po prostu potrzebowała wyjść na chwilę na po-

wietrze - odparłam, biorąc do ręki szklankę z napojem. Serce mi wciąż waliło, ręce drżały.

- Spoko - powiedział Ryan, poruszając głową w rytm muzyki.

- Chcesz zatańczyć?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podbiegła Felicia, chwytając mnie za rękę.

- Jego tu nawet nie ma - szepnęła. - Czy to, co zrobiłaś...

Czy on nie miał zostać moim partnerem?

- Ciii! Owszem, tak właśnie jest, ale musisz być cierpliwa. Jak tylko Kevin się tu zjawi, znajdzie cię. Uwierz mi.

Nie trzeba było długo czekać.

Ryan i ja tańczyliśmy jeszcze pierwszy taniec, kiedy w sali huknęło.

A zaraz potem rozległy się następujące szybko po sobie pyknięcia, brzmiące prawie jak wystrzały, przez co część dzieciarni z wrzaskiem zaczęła kryć się pod stołem z napojami. Widziałam, jak misa z ponczem spada na podłogę, zalewając wszystko wokół czerwonym płynem.

Ale to nie pistolet był sprawcą tych dźwięków - to były balony. Setki balonów. Cokolwiek się stało, spowodowało, że ich wielki sznur spadł na podłogę. Patrzyłam, jak jeden biały balonik umyka z tej jatki i wznosi się ku sufitowi sali gimnastycznej.

Rozejrzałam się i zobaczyłam kilku nauczycieli biegnących w stronę drzwi.

Których już nie było.

Wszystko dlatego, że wjechał w nie srebrny land-rover. Z samochodu wysiadł chwiejnym krokiem Kevin Bridges. Miał rozcięte czoło i rękę. Krew kapłała na lśniącej karoserii..

-Felicio! - ryknął. - FELICIO!

-O cholera mruknął Ryan.

Partnerka Kevina, Caroline Reed, wygramoliła się z siedzenia *pasażera* ze szlochem.

- On zwariował - wrzasnęła. - Wszystko było w porządku, a potem to światło i... i... - Wybuchnęła histerycznym płaczem, co sprawiło, że poczułam skurecz w żołądku.

-FELICIO! - nie przestawał drzeć się Kevin, biegając jak oszalały po sali.

Rozejrzałam się i dostrzegłam przerażoną Felicię schowaną pod jednym ze stołów.

Tym razem byłam ostrożna, pomyślałam. Jestem już przecież coraz lepsza!

Kevin znalazł Felicię i wyciągnął ją spod stołu.

- Felicjo! - Rozradowany uśmiechnął się promiennie, co - zważywszy na całą tę krew i tak dalej - wyglądało dość okropnie. Nie mogłam mieć za złe Felicii, że zaczęła wrzeszczeć.

Jeden z opiekunów, pan Henry od wuefu, podbiegł na pomoc i chwycił Kevina za ramię.

Chłopak jednak tylko się odwinął, nie puszczając Felicii, i uderzył nauczyciela w twarz. Pan Henry, który ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i na pewno waży ponad dziewięćdziesiąt kilo, poleciał na plecy.

I wtedy rozpętało się piekło.

Uczniowie rzucili się w panice do drzwi, nauczyciele otoczyli Kevina, a krzyki Felicii przybrały rozpaczliwy, przenikliwy ton. Tylko Ryan stał niewzruszony.

- Fantastycznie! - krzyknął z zachwytem, kiedy dwie dziewczyny wspięły się na land-rovera i uciekły z sali gimnastycznej. - Bał jak z *Carie!*

Kevin trzymał nadal Felicię za ręce, a nawet przyklęknął już na jedno kolano. Nie byłam pewna, bo otaczające mnie wrzaski nieco wszystko zagłuszały, ale chyba coś do niej wyśpiewywał.

Felicja przestała się wydzierać i teraz grzebała nerwowo w torebce w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu.

- O nie - jęknęłam.

Ruszyłam w ich kierunku, ale poślizgnęłam się na rozlanym ponczu i upadłam.

Felicja wyciągnęła niewielki czerwony pojemniczek i prysnęła jego zawartością prosto w

twarz Kevina.

Piosenka zamieniła się w zniekształcony okrzyk bólu.

Kevin puścił rękę dziewczyny i zaczął trzeć oczy, a Felicia uciekła.

- Wszystko w porządku, kochana! - krzyknął za nią. - Nie potrzebuję oczu, by cię widzieć!

Widzę cię oczyma duszy, Felicio! Duszy!

Super. Moje zakłęcie nie tylko było za silne, ale okazało się również o b c i a c h o w e .

Usiadłam w kałuży ponczu. Wywołany przeze mnie chaos ogarniał wszystko dookoła. Obok mnie przeszybował samotny biały balon. Pani Davison, nauczycielka matematyki, zatoczyła się, krzycząc do telefonu:

- Liceum Green Mountain, p r z e c i e ż m ó w i ę ! Co., no nie wiem... karetkę? Oddział antyterrorystyczny? Przyślijcie k o g o k o l w i e k !

W tej samej chwili rozległ się piskliwy wrzask.

- To ona! Sophie Mercer!

Trzęsąc się, Felicia wskazywała na mnie palcem. Nawet pomimo zgiełku jej słowa poniosły się echem po przestronnej sali.

-To... to czarownica! Westchnęłam.

-Nie, proszę... tylko nie to, nie p o r a z k o l e j n y .

## ROZDZIAŁ 1

- No i jak?

Wysiadłam z samochodu wprost w sierpniowe, upalne i ciężkie powietrze tak typowe dla Georgii o tej porze roku.

- Super - mruknęłam, podnosząc okulary słoneczne na czubek głowy. Z powodu wilgoci moje włosy sprawiały wrażenie, jakby ich objętość wzrosła trzykrotnie. Czułam, że ich pasma oplatają okulary, dusząc je niczym jakaś pnąca drapieżna roślina. - Od dawna marzyłam o życiu w tropikach.

Przedemną wznosił się budynek Hekate Hall. Wedle folderu, który ścisnęłam w spoconej ręce, była to „najlepsza szkoła specjalna dla młodzieży Prodigium”. Prodigium. Piękne łacińskie słowo na



określenie potworów. Czyli każdego ucznia w Hekate.

Także i mnie.

Przeczytałam ulotkę szkoły cztery razy na pokładzie samolotu, którym leciałam z Vermont do Georgii, dwa razy na promie płynącym na położoną niedaleko wybrzeża wyspę Graymalkin (gdzie, jak się dowiedziałam, w 1854 roku powstał budynek szkolny) i jeszcze raz, kiedy wypożyczony samochód turkotał po *wysypanej* muszlami i kamykami drodze wiodącej do Hekate Hall. Właściwie znałam już tę ulotkę na pamięć, ale mimo to mocno ścisnęłam kartkę w dłoni i czułam przymus czytania, jakby to był jakiś amulet czy coś w tym rodzaju:

*Powodem powołania Hekate Hall jest ochrona i szkolenie dzieci elfów oraz istot zmiennokształtnych i magicznych, których ujawnione zdolności doprowadziły do różnorodnych szkód, w związku z czym stanowią niebezpieczeństwo dla całej społeczności Prodigium.*

-Nadal nie rozumiem, dlaczego pomoc jednej dziewczynie w znalezieniu partnera na bal ma stanowić z a g r o ż e n i e dla innych czarownic - oznajmiłam, zerkając na mamę, kiedy wyjmowałyśmy moje walizki z bagażnika. Odkąd pierwszy raz przeczytałam ulotkę, ta myśl nie dawała mi spokoju, ale dotychczas nie miałam okazji tego poruszyć. Mama przez większość lotu udawała, że śpi, zapewne by uniknąć patrzenia na moją ponurą minę.

-Doskonale wiesz, że nie chodzi o tę jedną dziewczynę, Sophie, ale też o tego chłopaka ze złamaną ręką w Delaware, o nauczyciela w Arizonie, którego usiłowałam zmusić, żeby zapomniał o klasówce...

-W końcu odzyskał pamięć - zauważyłam. - W każdym razie dużą jej część.

Mama tylko westchnęła i wyciągnęła zniszczony kufer, który kupiłyśmy w second-handzie.

- Oboje z ojcem ostrzegaliśmy cię wielokrotnie przed konsekwencjami posługiwania się twoimi zdolnościami. To rozwiązanie nie podoba mi się, tak jak i tobie, ale tu przynajmniej będziesz razem z... z innymi dziećmi takimi jak ty.

- Masz na myśli kompletne ofermy? - Zarzuciłam torbę na ramię.

Mama uniosła okulary i przyjrzała mi się. Wyglądała

na zmęczoną, wokół jej ust rysowały się zmarszczki, których wcześniej nie zauważyłam. Dobiegała czterdziestki, ale mogła bez problemu udawać, że ma o dziesięć lat mniej.

- Nie jesteś oferumą, Sophie. - Razem podniosłyśmy kufer. - Po prostu popełniłaś kilka błędów.

Czyżby. Bycie czarownicą z całą pewnością nie okazało się ani trochę tak fajne, jak się spodziewałam. Na przykład wcale nie mogę latać na miotle (poprosiłam mamę o to, kiedy tylko ujawnił się mój talent, ale ona odmówiła, więc musiałam jeździć autobusem jak inni). Nie mam książek z zaklęciami ani gadającego kota (alergia), a poza tym i tak nie miałabym nawet pojęcia, skąd brać takie składniki jak na przykład oko traszki.

Potrafię za to posługiwać się magią. Potrafiłam, odkąd skończyłam dwanaście lat, co, zdaniem autora pomiętej ulotki, jest normalne w przypadku wszystkich dzieci Prodigium. Domyślałam się, że ma to coś wspólnego z dojrzwaniem.

- A poza tym to jest dobra szkoła - powiedziała mama, kiedy zbliżyliśmy się do budynku.

Budynku, który wcale nie wyglądał jak szkoła. Przypominał skrzyżowanie dworu ze starego horroru z nawiedzonym domem według Disneya. Zaczniemy od tego, że wiek - prawie dwieście lat - odcisnął na nim swoje piętno. Dodajmy następnie trzy piętra, z których najwyższe przypominało górną warstwę tortu weselnego. Budynek zapewne kiedyś był biały, ale teraz miał odcień wyblakłej szarości, prawie zupełnie taki sam jak muszle i kamyki na podjeździe, co sprawiało, że kojarzył się bardziej z jakąś naturalną *formacją* skalną niż z budowlą.

Postawiliśmy kufer na ziemi. Mama skreśliła za róg i obesła szkołę.

- Ha - powiedziała. - Spójrz na to.

Ruszyłam za nią i natychmiast zorientowałam się, co miała na myśli. Wedle ulotki przez ostatnie lata Hekate została rozbudowana: „poszerzono oryginalną konstrukcję”.

Jak się okazało, oznaczało to zburzenie tylnej ściany budynku i dostawienie do niego długiej przybudówki. Szarawe drewno kończyło się po jakichś dwudziestu metrach i ustępowało otynkowanej na różowo ścianie, która ciągnęła się w stronę lasu.

Po czymś, co najwyraźniej wykonano za pomocą magii - w miejscu, gdzie stykały się oba budynki nie było widać śladu zaprawy - można by się spodziewać czegoś nieco bardziej eleganckiego. Efekt był jednak dość dziwny, jakby jakiś szaleniec skleił dwie budowle.

Szaleniec, dodajmy, całkowicie pozbawiony gustu.

Z ogromnych dębów rosnących na dziedzińcu zwieszały się długie porosty, osłaniając budynek. Prawdę mówiąc, wszędzie było pełno roślin. Po obu stronach wejścia stały zakurzone donice z paprociami przypominającymi wielkie zielone pająki, a całą ścianę okrywało pnącze o fioletowych kwiatach. Wyglądało to niemal tak, jakby rosnący na tyłach zabudowań las pożerał powoli dom.

Mięłam w palcach rąbek mojej nowej niebieskiej spódnicy w szkocką kratę (Może powinnam nazwać ją kiltem? Tak naprawdę była to dziwaczna hybryda spódnicy i kiltu. Skilt?), stanowiącej część stroju szkolnego w Hekate, i próbowałam dociec, dlaczego w szkole w samym środku Starego Południa obowiązują wełniane mundurki. Spoglądając na tę budowlę, nie mogłam pozbyć się uczucia niepokoju.

Zastanawiałam się, jak ktokolwiek mógł patrzeć na szkołę i nie podejrzewać, że uczniowie okażą się bandą świrów.

- Ładnie tu - powiedziała mama tym swoim tonem spod znaku „bądźmy optymistami i

patrzmy na wszystko przez różowe okulary".

Ja natomiast wcale nie czułam się optymistką.

- Tak, całkiem ładnie. Jak na więzienie. Mama pokręciła głową.

- Daj sobie spokój z tym stylem zbuntowanej nastolatki, Sophie. To wcale nie jest więzienie.

Ale ja tak właśnie czułam.

- To naprawdę najlepsze dla ciebie miejsce - dodała, kiedy podnosiłyśmy kufer.

- Domyślam się - wymamrotałam.

Mantra „to dla twojego dobra” pobrzmiwała nieustannie, od kiedy usłyszałam o Hekate.

Dwa dni po balu maturalnym dostałyśmy maila od taty, który zasadniczo zawiadamiał nas, że zaprzepaściłam swoje szanse i Rada skazuje mnie na Hekate do osiemnastych urodzin.

Rada to grupka osób, która ustanawia prawa rządzące Prodigium.

Wiem, wiem. Rada, która nazywa sama siebie Radą. Ależ oryginalnie.

W każdym razie tato dla nich pracuje, więc powierzyli mu przekazanie mi tej nieszczęsnej wiadomości.

„Mam nadzieję - napisał w mailu - że nauczą cię tam posługiwać się mocą z większą dyskrecją”.

Maile i czasami telefon - to w zasadzie cały kontakt, jaki mam z tatą. Moi rodzice rozstali się, zanim się urodziłam. Wygląda na to, że on przez pierwszy rok ich związku nie powiedział mamie, że jest czarnoksiężnikiem (mężczyźni wolą ten termin od czarownika). A potem mama niezbyt

dobrze przyjęła tę rewelację. Uznała go za wariata i uciekła do swojej rodziny. Nieco później przekonała się, że jest w ciąży (ze mną), więc na wszelki wypadek oprócz książek o wychowaniu dzieci nabyła również *Encyklopedię czarów*. Kiedy się urodziłam, była już ekspertem od wszystkiego, co włączy się po nocy. Niechętnie odnowiła kontakt z tatą, dopiero gdy skończyłam dwanaście lat. Ale nadal odnosiła się do niego z chłodnym dystansem.

Przez cały miesiąc, odkąd tato zakomunikował nam, że idę do Hekate, usiłowałam się z tym pogodzić. Naprawdę. Powtarzałam sobie, że w końcu będę w towarzystwie ludzi takich jak ja, że nie będę musiała ukrywać swojej prawdziwej natury. To były wielkie zalety.

Ale gdy tylko wsiadłyśmy z mamą na prom płynący na tę oddaloną od cywilizacji wyspę, poczułam mdłości. I wierzcie mi, nie była to choroba morską.

Wedle ulotki wyspa Graymalkin została wybrana na siedzibę Hekate ze względu na odległość od skupisk ludzkich, co pomaga utrzymywać jej prawdziwy charakter w tajemnicy. Miejscowi uważają, że jest to po prostu niezwykle ekskluzywna szkoła z internatem.

Kiedy prom zbliżał się do porośniętego gęstym lasem kawałka lądu, który miał być moim

domem przez najbliższe dwa lata, zaczęłam mieć wątpliwości.

Zobaczyłam sporą grupę uczniów włóczących się po trawniku, ale zaledwie garstka sprawiała wrażenie nowych. Wszyscy wypakowywali kufry i walizki. Niektórzy mieli sfatygowane bagaże jak mój, ale dostrzegłam także kilka toreb od Louisa Vuittona. Ciemnowłosa dziewczyna o lekko garbatym nosie wyglądała na mniej więcej moją rówieśniczkę, ale pozostali nowi byli zdecydowanie młodsi.

Nie potrafiłam określić, czym większość z nich była: czarownicami, czarnoksiężnikami czy zmiennokształtnymi.

Ponieważ wszyscy wyglądali jak zwyczajni ludzie, trudno to stwierdzić.

Elfowie natomiast byli łatwi do rozpoznania. Wyżsi niż przeciętny człowiek, noszący się z godnością, wszyscy z prostymi, lśniąco ciemnymi włosami w najróżniejszych odcieniach: od bladego po jaskrawofioletowy. No i mieli skrzydła.

Wedle tego, co mówiła mama, elfowie zazwyczaj posługują się Splendorem, żeby wtapiać się w ludzkie społeczeństwo. To bardzo skomplikowane zaklęcie - wymaga wpływania na umysły wszystkich spotkanych osób, ale sprawia, że ludzie widzą elfów jako zwyczajnych osobników swojego gatunku, a nie otoczone poświatą, kolorowe, skrzydlate... stworzenia. Zastanawiałam się, czy ci, których skazano na Hekate, czują ulgę. Utrzymywanie przez cały czas tak misternego zaklęcia musi być bardzo trudne.

Zatrzymałam się, żeby poprawić torbę na ramieniu.

- Tu przynajmniej jest bezpiecznie - odezwała się mama. - To już coś, nie? Nie będę musiała bez przerwy się o ciebie martwić.

Oczywiście z jednej strony przejmowała się tym, że zamieszkam daleko od domu, ale z drugiej cieszyła się, że nie będę ryzykowała wykrycia. Jeśli spędza się czas na czytaniu o wszystkich wymyślnych sposobach, w jakie ludzie przez wieki zabijali czarownice, można się nabawić lekkiej paranoi.

Kiedy zbliżyliśmy się do szkoły, czułam pot zbiegający się w dziwnych miejscach, których nawet nie podejrzewałam o potliwość. Jak uszy mogą się pocić? Na mamie wilgoć oczywiście nie robiła wrażenia. Moja mama zawsze wygląda nieprzyzwoicie pięknie, to jedna z niezmiennych reguł życia. Mimo że miała na sobie tylko dzinsy i podkoszulek, wszyscy się za nią oglądali.

A zresztą może gapili się na mnie, kiedy usiłowałam dyskretnie wytrzeć sobie pot między piersiami, nie sprawiając przy tym wrażenia, jakbym miała ochotę poderwać samą siebie. Trudno powiedzieć.

Otaczały mnie istoty, o których wcześniej jedynie czytałam w książkach. Po lewej niebieskowłosa elfka o skrzydłach barwy indygo szlochała przytulona do swoich skrzydlatych

rodziców, których stopy unosiły się parę centymetrów nad ziemią. Kryształowe łyżki dziewczyny spadały nie z jej oczu, ale ze skrzydeł, tworząc na ziemi kałużę.

Weszliśmy w cień wielkich drzew, co oznaczało, że upał zelżał może o stopień. Kiedy zbliżyliśmy się do frontowych schodów, rozległo się nieziemskie wycie.

Obie odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy... coś warczącego na dwoje dość przygnębionych dorosłych. Nie wyglądali jednak na wystraszonych, a tylko troszkę rozdrażnionych.

Wilkołak.

Nieważne, ile się czytało o wilkołakach: zobaczenie jednego z nich na własne oczy zawsze stanowi niezapomniane przeżycie.

Przede wszystkim wcale nie przypominał wilka. Ani człowieka. Wyglądał raczej jak wielki dziki pies stojący na tylnych łapach. Miał krótką, jasnobrązową sierść i nawet z daleka można było dostrzec jego żółte tęczówki. Okazał się też znacznie mniejszy, niżbym się spodziewała. Prawdę mówiąc, był zdecydowanie niższy od człowieka, na którego warczał.

- Przestań, Justin - burknął mężczyzna.

Kobieta, której włosy miały ten sam jasnobrązowy odcień co sierść wilkołaka, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Kochanie - powiedziała cichym głosem, w którym pobrzmiwał cień południowego akcentu - słuchaj ojca. Nie zachowuj się jak głuptasek.

Przez moment wilkołak - to znaczy Justin - stał cicho, z głową przechyloną na bok, co nadawało mu wygląd smutnego spaniela, a nie krwiożerczej bestii. Zachichotałam na tę myśl. I nagle poczułam na sobie spojrzenie jego żółtych oczu. Wilkołak zawył ponownie i zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć, zaatakował.

## ROZDZIAŁ 2

Słyszając ostrzegawcze krzyki mężczyzny i kobiety, rozpaczliwie szukałam w pamięci jakiegoś zaklęcia naprawiającego przegryzione gardło, bo najwyraźniej mogłam takiego zaraz potrzebować. Oczywiście jedynym, które udało mi się wydusić z siebie do pędzącego ku mnie wilkołaka, było: „**ZŁY PIES!**”.

W tej samej chwili kątem oka dostrzegłam błysk niebieskiego światła nieco na lewo ode mnie. Wilkołak niespodziewanie uderzył w niewidzialny mur stojący tuż przede mną. Szczeknął żałośnie i opadł na ziemię. Jego sierść i skóra pomarszczyły się, rozpląły i oto przede mną stał zwyczajny chłopak w spodniach khaki i niebieskiej marynarce, pojękując

żałośnie. Jego rodzice podbiegli do niego, a moja mama do mnie, ciągnąc za sobą kufer.

- O mój Boże! - wyszeptała. - Kochanie, wszystko w porządku?

-Tak - odpowiedziałam, strząsając trawę ze skiltu.

- Wiesz - dobiegł mnie jakiś głos z lewej strony - mam wrażenie, że zaklęcia blokujące zazwyczaj są znacznie skuteczniejsze niż krzyki " zły pies", ale może tylko mi się tak wydaje.

Odwrociłam się. Pod drzewem, oparty o jego pień stał uśmiechając się ironicznie, chłopak w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w rozluźnionym ~~kawacie~~ Szkolną marynarkę miał przewieszoną przez ramię,

- Parasz się magią, zgadza się? - ciągnął. Odbił się od drzewa i przeciągnął ręką po czarnych kędzierzawych włosach. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłam, że był strasznie chudy, niemal kościsty, i kilkanaście centymetrów wyższy ode mnie.

- Może w przyszłości - dodał - uda ci się nie być taką oferłą?

I z tymi słowami zaczął się oddalać. Po tym, jak omal nie zostałam zaatakowana przez Justina Psiogłowca, jakiś obcy chłopak, który na dodatek wcale nie był przystojny, nazwał mnie oferłą. Czułam się teraz autentycznie wkurzona.

Zerknęłam na mamę, żeby upewnić się, czy nie patrzy, ale ona właśnie zadawała rodzicom Justina jakieś pytania w rodzaju: „Czy on naprawdę zamierzał ją ugryźć!?”

- A więc jestem beznadziejną czarownicą, co? - mruknęłam pod nosem, skupiona na oddalających się plecach chłopaka.

Uniosłam ręce i pomyślałam o najpaskudniejszym zaklęciu, jakie potrafiłam sobie wyobrazić - czymś, co zawierałoby w sobie ropę, śmierdzący oddech i nie działające genitalia.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Nie poczułam się, jakby woda płynęła po moich palcach, puls mi nie podskoczył, włosy nie podniosły się na głowie.

Stałam po prostu jak kretyńka z wyciągniętymi w jego stronę wszystkimi palcami.

Co, u diabła? Nigdy wcześniej nie miałam kłopotów z rzucaniem zaklęć.

W tej samej chwili usłyszałam słodki i dźwięczny, ale stanowczy głos.

- Dość tego, moja droga.

Odwrociłam się ku werandzie, gdzie straszyły dwie paprocie. Pomiędzy nimi stała starszawa kobieta w granatowej garsonce. Uśmiechała się, ale był to uśmiech lalki wywołujący dreszcz niepokoju. Kobieta wskazywała na mnie długim palcem.

- Nie posługujemy się tu mocą przeciwko istotom Prodigium, niezależnie od tego, jak bardzo nas ktoś sprowokuje - kontynuowała cichym, miękkim, melodyjnym głosem.

Prawdę mówiąc, gdyby ten budynek umiał mówić, spodziewałabym się po nim właśnie takiego głosu.

- Pozwolę sobie dodać, panie Archer ze - mówiła dalej kobieta, zwracając się tym razem do ciemnowłosego chłopaka - że jakkolwiek ta młoda dama jest nowa w Hekate, ty powinieneś wiedzieć, że nie atakujemy innych uczniów.

Chłopak prychnął.

-Powiniennem więc pozwolić, żeby ją pogryzł?

-Magia nie jest jedynym rozwiązaniem - odpowiedziała.

- Archer? - spytałam, unosząc brwi. Możecie odbierać mi magiczną moc, ale nie pozbawicie mnie sarkazmu. -A do tego jakieś sławne nazwisko? Kennedy albo Hearst? Może jeszcze z numerem porządkowym na końcu? Och... -powiedziałam, otwierając szeroko oczy - może powinnam rzec Jaśnie Wielmożny?

Miałam nadzieję, że zranię jego uczucia, a przynajmniej wkurzę go, ale on tylko uśmiechał się do mnie.

- Prawdę mówiąc, nazywam się Archer C r o s s i jestem pierwszy. A ty? - Zmrużył oczy. - Spójrzmy no... ciemne włosy, piegi, modelowa dziewczyna z sąsiedztwa... Allie? Lacie? Z pewnością jakieś słodziutkie imię z końcówką na -ie.

Znacie te sytuacje, kiedy porusza się ustami, ale nie w y dobywa się z nich żaden dźwięk? Tak, coś takiego właśnie mi się przydarzyło. A wtedy, oczywiście, mama uznała, że to właściwy moment, by zakończyć rozmowę z rodzicami Justina i zawołać:

-Sophie! Zaczekaj.

-Wiedziałem. - Archer roześmiał się. - Do zobaczenia,

Sophie - rzucił przez ramię i znikł we wnętrzu budynku.

Odwróciłam się z powrotem ku kobiecie. Miała około pięćdziesiątki, ciemnoblonde włosy nosiła zwinięte, zapewne siłą skręcone i ułożone w wyrafinowaną fryzurę. Sądząc po jej niemal królewskiej postawie oraz garsonce w charakterystycznym dla Hekate odcieniu granatu, założyłam, że musi to być dyrektorka szkoły, pani Anastasia Casnoff. Nie musiałam zaglądać do ulotki, żeby przypomnieć sobie, jak się nazywała. Tak brzmiące nazwiska raczej nie ucieka-ją z pamięci.

Starsza pani była w istocie dyrektorką Hekate o cudownym imieniu. Mama uścisnęła jej dłoń.

- Grace Mercer. A to jest Sophia.

- So-phi-a - powtórzyła pani Casnoff z południowym zaśpiewem, zmieniając moje raczej proste imię w coś, co brzmiało jak egzotyczna przystawka w hiszpańskiej restauracji.

- Wolę formę Sophie - rzuciłam szybko w nadziei, że uda mi się uniknąć używania pretensjonalnie brzmiącej wersji mojego imienia.

- Nie pochodzicie z tych rejonów, jak sądzę? - ciągnęła pani Casnoff, kiedy ruszyliśmy w kierunku szkoły.

- Nie - odpowiedziała mama, przerzucając mój żeglarski worek na drugie ramię. Kufer nadal niosłyśmy razem. -Moja mama jest z Tennessee, a Georgia to jeden z nielicznych stanów gdzie jeszcze nie mieszkaliśmy. Przeprowadzamy się dość często.

Dość często stanowiło pewne niedopowiedzenie.

Dziewiętnaście stanów w ciągu szesnastu lat. Najdłużej wytrzymałyśmy w Indianie, kiedy miałam osiem lat. Całe cztery lata. Najkrócej gościliśmy w Montanie trzy lata temu.

Dwa tygodnie.

- Rozumiem - powiedziała pani Casnoff. - A co pani robi, pani Mercer?

- Panna - poprawiła odruchowo mama, odrobinę za głośno. Ugryzła się w dolną wargę i pociągnęła za nieistniejący kosmyk włosów za uchem. - Jestem nauczycielką. Religioznawstwa. Uczę głównie mitologii i folkloru.

Wlekłam się za nimi po imponujących schodach frontowych, po czym razem weszliśmy do Hekate Hall.

W środku było cudownie chłodno, najwyraźniej więc stosowali tu jakiś rodzaj zaklęcia klimatyzacyjnego. Pachniało starym domem - dziwaczna kombinacja zapachów polityry do mebli, wiekowego drewna i zakurzonego papieru, jak w bibliotece.

Zastanawiałam się, czy sklezione w całość domy nie będą do siebie pasować od środka w takim stopniu jak od zewnątrz. Jednak ściany wszędzie pokrywała taka sama paskudna purpurowa tapeta, przez co nie mogłam ocenić, gdzie kończy się drewno, a zaczyna tynk.

Zaraz za drzwiami wejściowymi znajdował się ogromny hol, w którym w oczy rzucały się przede wszystkim mahoniowe spiralne schody, ciągnące się w górę przez trzy piętra, jakby wiszące w powietrzu. Za nimi zobaczyłam witrażowe okno zaczynające się na półpiętrze i wznoszące aż po sufit. Przenikało przez nie popołudniowe słońce, napelniając hol geometrycznymi wzorami kolorowego światła.

- Imponujące, nieprawdaz? - *zapytała pani Casnoff z uśmiechem.* - Przedstawione są na nim początki Prodigium.

Witraż ukazywał anioła o zagniewanym wyrazie twarzy stojącego tuż za złotą bramą. W jednej ręce anioł trzymał czarny miecz, drugą wskazywał wyraźnie, że trzy postacie stojące pod bramą powinny sobie pójść do diabła. Tyle tylko, że robił to, no wiecie, po anielsku.

Pozostałe trzy postacie również były aniołami. Wszyscy wyglądali na niezłe zdołowanych. Anioł po prawej, kobieta o długich rudych włosach, zakrywał nawet twarz dłońmi. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch, który, jak zauważyłam, składał się z małych figurek trzymających



się za ręce. Anioł po lewej miał na głowie koronę z liści i oglądał się przez ramię. Stojący pośrodku, najwyższy z nich, patrzył prosto przed siebie z uniesioną wysoko głową i wyprostowanymi ramionami.

-No... niezłe - powiedziałam w końcu.

-Znasz tę opowieść, Sophio? - spytała pani Casnoff. Pokręciłam przecząco głową, a ona uśmiechnęła się,

wskazując na straszliwego anioła za bramą.

- Po Wielkiej Wojnie między Bogiem a Lucyferem ci aniołowie, którzy odmówili opowiedzenia się po którejś ze stron, zostali wygnani z rajów. Jedna grupka - wskazała na wysokiego anioła w samym środku - postanowiła ukryć się głęboko w lasach i pod wzgórzami. Ich potomkami są elfowie. Druga wybrała życie wśród zwierząt i stała się zmienno-kształtnymi. Ostatnia zaś postanowiła mieszać się z ludźmi i stąd wzięli się czarownicy.

- Super - usłyszałam głos mamy i odwróciłam się do niej z uśmiechem.

- Życzę powodzenia w wyjaśnianiu Bogu, że zdarzało ci dawać klapsa jednemu z jego niebiańskich stworzeń.

Mama zaśmiała się, zaskoczona.

-Sophio!

-No co? Przecież zdarzało ci się. Mam nadzieję, że lubisz upały, mamo, to tylko chciałam powiedzieć.

Mama roześmiała się znowu, aczkolwiek byłam pewna, że starała się powstrzymać.

Pani Casnoff zmarszczyła brwi, po czym odchrząknęła i kontynuowała oprowadzanie.

- Nasi uczniowie mają od dwunastu do siedemnastu lat. Uczeń skazany na Hekate nie opuszcza jej murów aż do osiemnastych urodzin.

-W takim razie część z nich przyjeżdża na przykład na pół roku, a inni muszą tu tkwić przez sześć lat? - zapytałam.

-Tak właśnie jest. Większość z naszych uczniów przybywa tu zaraz po tym, jak obudzą się ich moce. Ale zawsze zdarzają się wyjątki, jak chociażby ty.

-Mów do mnie jeszcze - mruknęłam.

-Jak wyglądają lekcje? - spytała mama, rzucając mi karcące spojrzenie.

-Lecje w Hekate wzorowane są na Prentiss, Mayfair i Gervaudan. - Obie z mamą potaknęłyśmy, jakbyśmy znały te nazwy. Nie sądzę jednak, żeby pani Casnoff dała się nabrać, ponieważ zaraz wytłumaczyła: - To najlepsze szkoły z internatem dla czarowników, elfów i

zmiennokształtnych. Dobieramy program w zależności zarówno od wieku ucznia, jak i konkretnych problemów, jakie dana osoba napotykała, próbując żyć w świecie ludzi.

Posłała mi mało zachęcający uśmiech.

- Program jest wymagający, ale jestem pewna, że Sophia świetnie sobie poradzi.

Nigdy jeszcze zachęta nie zabrzmiała w moich uszach do tego stopnia jak groźba.

- Sypialnie *dziewcząt* znajdują się na *drugim piętrze* - powiedziała pani Casnoff, wskazując na *schody*. - *Chłopcy* mieszkają na pierwszym. Lekcje odbywają się na *parterze* oraz w innych skrzydłach. - Wskazała na wąskie korytarze odchodzące z holu w lewo i w prawo od schodów. Machając tak rekami, w swoim granatowym mundurku przypominała stewardesę. Niemal spodziewałam się, że zaraz powie mi, że w wypadku wodowania mój nowiutki zakiet Hekate można napełnić powietrzem.

- A czy uczniowie są podzieleni ze względu na... no... -Mama wykonała nieokreślony ruch ręką.

Pani Casnoff uśmiechnęła się, ale nie sposób było nie zauważyć, że ten uśmiech jest równie sztuczny jak jej kok.

- Ze względu na umiejętności? Nie, oczywiście, że nie. Jednym z podstawowych zadań Hekate jest nauczenie młodzieży, jak żyć pokojowo ze wszystkimi rasami Prodigium.

Odwróciła się, żeby poprowadzić nas na drugi koniec holu. Trzy wielkie okna wznosiły się ku drugiemu piętru. Za nimi znajdował się dziedziniec, na którym uczniowie zaczęli już gromadzić się na kamiennych ławkach pod rozłożystymi dębami. Mówię uczniowie. Obawiam się jednak, że byli oni wszelkiego rodzaju dziwacznymi i s t o t a m i , zupełnie jak ja, ale nie dało się tego dostrzec na pierwszy rzut oka. No dobrze, elfowie stanowili wyjątek.

Patrzyłam, jak jedna z dziewczyn wybucha śmiechem, podając drugiej błyszczący do ust, i ścisnęło mnie w piersi.

Nagle poczułam, że coś chłodnego ociera się o moją rękę, i podskoczyłam zdumiona, kiedy koło mnie przemknęła blada kobieta w niebieskiej sukni.

- Ach - powiedziała pani Casnoff z wątlym uśmiechem. -Isabelle Fortenay, jeden z naszych duchów rezydentów. Jak z pewnością czytałaś, w Hekate mieszka kilka duchów, wszystkie n a l e ż ą d o Prodigium. Są zasadniczo nieszkodliwe i całkowicie bezcielesne. To znaczy nie są w stanie cię dotknąć ani zrobić nic innego. Mogą cię od czasu do czasu przestraszyć, ale to wszystko.

- Super - powiedziałam, patrząc, jak Isabelle wtapia się w pokrytą boazerią ścianę.

Kiedy zniknęła, kątem oka dostrzegłam ruch i odwróciłam się, by zobaczyć kolejnego ducha

stojącego przy schodach.

Była to dziewczyna mniej więcej w moim wieku w jasnozielonym swetrze narzuconym na krótką sukienkę w kwiaty.

W przeciwieństwie do Isabelle, która najwyraźniej nie zwróciła na nas uwagi, ta pannica patrzyła prosto na mnie. Już otwierałam usta, żeby zapytać panią Casnoff, kto to jest, ale dyrektorka odwróciła się do kogoś, kto znajdował się po drugiej stronie holu.

- Panno Talbot! - zawołała. Byłam zaskoczona, jak donośnie rozbrzmiał jej głos w ogromnym pomieszczeniu, mimo że nawet nie krzyknęła.

Podeszła do niej niewysoka dziewczyna, mająca ledwie około metra pięćdziesięciu wzrostu. Jej skóra była niemal śnieżnobiała, podobnie jak włosy, jeśli nie liczyć jednego wściekle różowego kosmyka. Nosila grube szkła w czarnych oprawkach i mimo że się uśmiechała, wiedziałam, że to tylko ze względu na obecność pani Casnoff. W jej oczach czaiło się bezbrzeżne znużenie.

-To jest Jennifer Talbot. O ile wiem, będziecie mieszkać razem w tym semestrze, panno Mercer. Jennifer, to jest So-phi-a.

-Sophie będzie okej - poprawiłam, a Jennifer powiedziała jednocześnie:

- Jenna.

Pani Casnoff rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu, jakby miała śrubki w obu policzkach.

Mój Boże. Nie mam pojęcia, co dzieje się w tych czasach z dziećmi, pani Mercer. Mają piękne imiona, ale upierają się, żeby je kaleczyć i zmieniać przy każdej okazji. W każdym razie, panno Mercer, panna Talbot, podobnie jak ty, jest tu stosunkowo nową uczennicą. Dołączyła do nas w zeszłym roku.

Mama rozpromieniła się i chwyciła Jennę za rękę.

- Miło cię poznać. Czy jesteś też, no, czarownicą jak Sophie?

- M a m o - szepnęłam, ale Jenna potrząsnęła głową.

- Nie, psze pani. Jestem wampirem.

Poczułam, że stojąca tuż obok mnie mama sztywnieje. Jenna zresztą też. Mimo że było mi wstyd, nie dziwiłam się przerażeniu mamy. Czarownice, zmiennokształtni, elfowie to jedna sprawa. Ale wampiry to potwory, koniec i kropka. Wszystkie te opowieści o nadwrażliwych Dzieciach Nocy to brednie.

-Ach, doskonale - powiedziała mama, usiłując odzyskać rezon. - Ja... no, nie wiedziałam, że wampiry chodzą do Hekate.

-Mamy nowy program - powiedziała pani Casnoff, wyciągając rękę i głaszcząc Jennę po głowie. Dziewczyna miała uprzejmy, choć raczej obojętny wyraz twarzy, ale widziałam, że

jest spięta. - Co roku - ciągnęła dyrektorka - Hekate przyjmuje młodego wampira i daje mu, albo jej, możliwość pobierania nauk razem z Prodigium w nadziei, że uda nam się w końcu ucywilizować tych nieszczęśników.

Zerknęłam na Jennę, ponieważ. . . n i e s z c z ę ś n i c y ? Auć.

- Niestety panna Talbot jest jedyną wampirzą uczennicą, którą obecnie tu mamy, aczkolwiek jeden z naszych nauczycieli również jest wampirem - powiedziała pani Casnoff. Jenna ponownie zareagowała tym przedziwnym niby uśmiechem. Stałyśmy w niezręcznym milczeniu, aż wreszcie odezwała się mama.

- Kochanie, może by tak... - Spojrzała bezradnie na moją nową koleżankę z pokoju.

- Jenna.

- Tak, oczywiście. Może by tak Jenna zaprowadziła cię do sypialni? Muszę omówić kilka spraw z panią Casnoff, a potem przyjdę się pożegnać, dobrze?

Spojrzałam na Jennę, która nadal się uśmiechała, ale jej wzrok zdążył już powędrować gdzieś daleko.

Podniosłam torbę i podeszłam do mamy, żeby zabrać kufer, ale Jenna mnie ubiegła.

-Nie musisz mi pomagać... - zaczęłam, ale ona machnęła wolną ręką.

-Nie ma problemu. Korzyścią z bycia krwio pijcą jest siła fizyczna.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć, więc wymamrotałam jakieś marne „och”. Jenna podniosła kufer z jednej strony, ja z drugiej.

- Nie ma tu windy, prawda? - Żartowałam tylko częściowo.

Jenna prychnęła.

- Nie, to byłoby zbyt wygodą.

-Dlaczego nie posłużyć się jakimś zaklęciem? Na przykład przenoszącym bagaż albo czymś takim?

-Pani Casnoff jest bardzo rygorystyczna, jeśli chodzi o używanie magii z lenistwa. Najwidoczniej noszenie po schodach ciężkich bagaży wpływa zbawiennie na kształtowanie charakteru.

- Jasne - powiedziałam, kiedy przetaszczyłyśmy kufer przez pierwsze półpiętro.

— **C o o** niej sądzisz? - spytała Jenna.

- O pani Casnoff?

-Tak.

-Ma imponujący kok. - Złośliwy uśmieszek na twarzy Jenny upewnił mnie, że była to właściwa odpowiedź.

- Prawda? Rany, ten jej kok to istne, niech to, arcydzieło.

Mówiła ze śladowym południowym zaśpiewem. Ładnie to brzmiało.

- Skoro już mówimy o fryzurach - odważyłam się - pozwalają ci na ten róż we włosach?

Jenna pogładziła różowy kosmyk wolną ręką.

- Och, nikt tu się nie przejmuje zbytnio biedną wampi-rzą stypendystką. Myślę, że dopóki nie zacznę podgryzać kolegów, mogę mieć włosy w dowolnym kolorze.

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, Jenna obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

-Mogę ci też zafarbować. Ale nie na różowo. To mój kolor. Może fiolet?

-Em... może.

Staliśmy pod drzwiami pokoju 312. Jenna postawiła na podłodze swoją stronę kufra i wyciągnęła klucze. Miała je zawieszane na jaskrawożółtym łańcuszku, do którego były przyłączone litery w kolorze ostrego różu układające

się w jej imię.

-Jesteśmy na miejscu! Przekreśliła klucz i popchnęła drzwi.

-Witaj w Strefie Mroku!

### ROZDZIAŁ 3

Bardziej adekwatna byłaby nazwa „Strefa Rozkosznego Rózu”.

Nie wiem, czego się spodziewałam po pokoju wampira. Może mnóstwa czerni, paru książek Camusa... och, no i oczywiście romantycznego portretu jedynej ludzkiej istoty, którą wampir kiedykolwiek kochał, a która na pewno zmarła na coś bosko tragicznego, skazując w ten sposób wampira na wieczność wypełnioną przygnębieniem i sentymentalnymi westchnieniami.

No co ja na to poradzę? Czytam za dużo książek.

Tymczasem ten pokój wyglądał, jakby umeblowało go potępione dziecię Barbie i My Little Pony. Okazał się większy, niż się spodziewałam, ale to nie znaczy, że duży. Starczało w nim miejsca na dwa łóżka, dwa biurka, dwie komody i jedną podniszczoną sofę. W oknach wisiały zasłony z beżowego płótna, ale Jenna owinęła karnisz różową wstążką. Między biurkami stał stary chiński parawan i nawet on nie oparł się inwencji mojej współlokatorki, ponieważ drewno zostało pomalowane na - tak, zgadliście - różowo. Do górnej krawędzi PARAWANU przypięto różowe lampki choinkowe. Łóżko lenny przykryte było czymś, co wyglądało jak skóra zdarta z jakiegoś ciemnoróżowego mupeta.. Jenna zauważyła mój wzrok wlepiony w narzutę

-Cudne, nie?

-No... nie wiedziałam, że istnieje taki odcień *roz*

Zdjęła pospiesznie trampki i wskoczyła na łóżko ~~z~~zaczając dwie wyszywane cekinami poduszki i wyleniętego pluszowego lwa.

- Nazywa się „elektryczna truskawka”.

- Doskonała nazwa. - Uśmiechnęłam się, przyciągając kufer do łóżka, które wyglądało tak zwyczajnie... no cóż, jak ja w porównaniu z Jenną.

- Twoja poprzednia współlokatorka też lubiła różowy?

Na twarzy Jenny przez ułamek sekundy pojawiło się napięcie. Potem ten dziwny grymas znikł, a ona wychyliła się za krawędź łóżka, żeby podnieść poduszki i lwa.

- Nie, Holly wołała te wszystkie niebieskie rzeczy, które dostajesz, jeśli nie masz własnych. Ty przywiozłaś swoją pościel, prawda?

Otwarłam kufer i wyciągnęłam kawałek mojego miętowozielonego prześcieradła. Jenna wyglądała na nieco zawiedzioną, ale westchnęła.

-Cóż, lepsze to niż szkolny błękit. No więc... - padła z powrotem na łóżko i zaczęła szukać czegoś na stoliku nocnym - co sprowadza cię do Hex Hall, Sophie Mercer?

-Hex Hall? - powtórzyłam.

- Hekate Hall to strasznie długa nazwa - wyjaśniła Jenna. - Większość mówi po prostu Hex. A poza t y m to jakoś pasuje do tego miejsca. -Ach.

- A więc co to było? - zapytała ponownie. - Deszcz żab, czy jakiś facet zamieniony w traszkę? Oparłam się na łóżku, usiłując naśladować luzacki styl bycia Jenny. Nie jest to łatwe, jeśli leży się na samym materacu, więc usiadłam i zaczęłam wypakowywać kufer.

- Zakłęcie miłosne dla koleżanki z klasy. Skopałam je.

- Nie wyszło?

- Wyszło aż za dobrze - Opowiedziałam jej w skrócie o Felicii i Kevinie.

- Dobrze - powiedziała, potrząsając głową. - Niezły *hard core*

- Jak widać - potaknęłam. - A ty jesteś... jesteś wampirzycą. Jak to się dokładnie stało?

Nie spojrzała mi w oczy, ale ton jej głosu pozostał niedbały.

- Tak jak zawsze: spotykasz wampira, wampir cię gryzie. Nie ma w tym nic szczególnie interesującego.

Nie dziwiło mnie to, że nie chciała opowiadać o tym osobie, którą знаła od kwadransa.

- Czyli twoja mama jest zwyczajna, tak? - zapytała Jenna.

Hmm. To nie było coś, o czym z kolei ja miałam ochotę rozmawiać pierwszego dnia, ale halo, przecież o to chodzi z tym d o p a s o w a n i e m , nie? Wspólne kosmetyki, ciuchy i mroczne sekrety.

Odchrząknęłam.

- Tak, mój ojciec jest czarnoksiężnikiem, ale oni się rozstali i w ogóle.

Och potaknęła Jenna tonem znawcy. - Nie musisz nic więcej mówić. Wiele dzieciaków jest z rozbitych rodzin. Najwyraźniej nawet magia nie zapewnia małżeńskiego szczęścia.

-Twoi rodzice są rozwiedzeni?

Jenna znalazła w końcu lakier do paznokci, którego szukała.

- Nie, oni są nadal nieznośnie szczęśliwi. To znaczy ... tak przypuszczam. Nie widziałam się z nimi. odkąd, no, zmieniłam się czy co tam.

-Oj - powiedziałam. - To ssie.

-To miał być żart? - zapytała.

-Okej. - Skończyłam ścielić łóżko. - Skoro jesteś wampirem, to powinnam być ostrożna i nie odsłaniać okna

rano?

-Nic z tych rzeczy. Widzisz? - Pociągnęła za srebrny łańcuszek zawieszony na szyi i wyjęła niewielki wisiorek. Miał kształt i rozmiar landrynki w ciemnoczerwonym kolorze. Można by go bez trudu wziąć za rubin, ale ja widziałam takie kamienie w jednej z książek mamy.

-Krwawy klejnot?

Krwawe klejnoty to przezroczyste wydrążone kamienie, które można napelnić krwią potężnej czarownicy lub czarnoksiężnika. Taki kamień chroni przed wieloma różnymi rzeczami. Domyśliłam się, że w przypadku Jenny działał przeciwko wszelkim utrudnieniom wampirzej egzystencji, co stanowiło wielką ulgę. Teraz przynajmniej wiedziałam, że mogę przy niej jeść chosnek.

Jenna zaczęła malować paznokcie lewej ręki.

- A jak z tą krwią? - zapytałam. Westchnęła głęboko.

- To okropnie niewygodne. Muszę chodzić do izby chorych. Mają tam lodówkę z workami z krwią, wiesz, jak na pogotowiu.

Powstrzymałam się od drżenia na samą myśl. Nienawidzę widoku krwi. Prawie mdleję, gdy skaleczę się kartką papieru. Ucieszyłam się, słysząc, że Jenna nie będzie się posilać w naszym pokoju. Nie byłabym w stanie umówić się na randkę z wampirem. Jak sobie wyobrażę oddech, który czuć krwią... brr.

Nagle uzmysłowiłam sobie że Jenna gapi się na mnie. Cholera. Czy miałam na twarzy wymalowane obrzydzenie?

Na wszelki wypadek zmusiłam się do uśmiechu.

Super. Prawdziwa Krwawa Mary.

Jenna roześmiała się.

- Zabawne.

Przez chwilę siedziałyśmy w przyjaznym milczeniu, aż w końcu lenna odezwała się znowu.

- Twoi rodzice bardzo się kłócili, zanim się rozstali?

- Chyba tak - odparłam. - To stało się jeszcze przed moim urodzeniem.

Wbiła wzrok w swoje paznokcie.

- Och.

Podeszłam do biurka. Ktoś, zapewne pani Casnoff, położył na nim mój podział godzin.

Wyglądał zwyczajnie, ale

były tam takie przedmioty, jak „pn.-pt, 9.15-10.00, ewolucja magiczna, sala żółta”.

- Aha. Mama nie lubi o tym mówić, ale cokolwiek się stało, było na tyle niemiłe, że nie pozwala mi się z nim spotykać.

- Nigdy nie widziałaś swojego taty?

- Mam jego zdjęcie. Poza tym rozmawialiśmy przez telefon i są jeszcze maile.

- Nieźle. Zastanawiam się, co on takiego zrobił. Myślisz, że ją bił albo coś takiego?

Nie wiem! - Zabrzmiało to ostrzej, niż planowałam.

- Przepraszam - mruknęła.

Pochyliłam się z powrotem nad łóżkiem i zajęłam wygładzaniem kołdry. Gdy już wyrównałam około pięciu nieistniejących zmarszczek (a Jenna pomalowała trzykrotnie jeden paznokieć), odwróciłam się do niej.

- Nie chciałam krzyczeć...

Spoko. To w końcu nie moja sprawa.

*Miły przyjacielski nastrój ulotnił się.*

- *Chodzi o to... że wiesz, przez całe życie mieszkałam*

*tylko z mamą i nie przywykłam do rozmawiania o swoim życiu. Zawsze trzymałyśmy się trochę na uboczu. Jenna potaknęła, ale nadal nie podnosiła wzroku.*

- Pewnie ty i twoja dawna współlokatorka mówiłyście sobie wszystko, co?

Na jej twarzy pojawił się znów tamten cień. Nagłym ruchem zakręciła słoiček z lakierem.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie wszystko. Wrzuciła lakier do szuflady i zeskoczyła z łóżka.

- Do zobaczenia na kolacji.

Wychodząc, omal nie zderzyła się z mamą. Wymamrotała jakieś przeprosiny i pobiegła dalej.

- Sophie - powiedziała mama, siadając na moim łóżku -nie mów, że już pokłóciłaś się ze współlokatorką.

Mama bezbłędnie wyczuwała moje nastroje.

- Nie wiem. Obawiam się, że nie jestem dobra w tych babskich sprawach, wiesz? Ostatni raz miałam przyjaciółkę w szóstej klasie. Nie jest łatwo się z kimś naprawdę zaprzyjaźnić, jeśli



chodzisz do jakiejś szkoły najwyżej przez pół roku, więc podej... Och, mamó, nie chciałam ci zrobić przykrości.

Potrząsnęła głową i otarła zabłąkaną łzę.

- Niekochanie, wszystko w porządku. Tylko... tylko tak żałuję, że nie mogłam ci zapewnić normalniejszego dzieciństwa.

Usiadłam i otoczyłam ją ramieniem.

- Nie mów tak. Miałam świetne dzieciństwo. No **powiedz**, ile osób ma szansę pomieszkać w dziesiętnastu stanach? Pomyśl, ile zobaczyłam!

To nie było dobre pocieszenie. Mama zrobiła jeszcze smutniejszą minę.

- A tutaj jest fantastycznie. Widzisz, mam fajny pokoik cały w różu. Jenna i ja zakumplowałyśmy się na tyle, żeby się zdążyć pokłócić, a to jest przecież bardzo ważne dla tych dziewczęcych przyjaźni, nie?

Zadanie wykonane. Mama się uśmiechała.

- Jesteś pewna, kochanie? Jeśli ci się tu nie podoba, nie musisz zostawać. Na pewno dałoby się jakoś cię stąd wyciągnąć.

Przez moment miałam ochotę odpowiedzieć: „Tak, proszę, wsiądźmy na najbliższy prom i uciekajmy z tego wariatkowa”.

Powiedziałam jednak coś zupełnie innego.

- Słuchaj, to nie na wieczność, prawda? To tylko dwa lata, no i na święta i wakacje mogę wyjechać. Jak w każdej szkole. Będzie dobrze. A teraz idź, zanim się rozplaczę i zrobię z siebie ostatnią idiotkę.

**W** oczach mamy znów wezbrały łzy, ale uścisnęła mnie mocno.

- Kocham cię, Sophie.

- Ja ciebie też - odparłam ze ściśniętym gardłem. Potem, kiedy już obiecałam, że będę dzwonić co najmniej trzy razy w tygodniu, mama poszła.

A ja położyłam się na moim nie-różowym łóżku i ryczałam jak ostatnia idiotka.

## ROZDZIAŁ 4

Gdy w końcu się uspokoiłam, do kolacji została jeszcze godzina. Postanowiłam więc nieco pozwiedzać. Najpierw otworzyłam małe drzwi w naszym pokoju z niejaką nadzieją, że może są tu prywatne łazienki, ale nie. Szafy.

Jedyna łazienka na naszym piętrze znajdowała się po przeciwnej stronie korytarza i podobnie jak cały budynek, wyglądała na nawiedzoną. Źródłem światła były wyłącznie słabe żarówki otaczające duże lustro zawieszone nad rzędem umywalek. Oznaczało to, że kabiny prysznicowe z tyłu pomieszczenia tonęły cały czas w mroku. Bliższe oględziny pryszniców przekonały mnie, że dotychczas nie miałam prawdziwej potrzeby posłużyć się słowem „syfiasty”.

Niestety nie wzięłam ze sobą kłapek.

Oprócz syfiastych pryszniców było tu również kilka wanien na nóżkach, stojących pod jedną ze ścian i odgradzonych od siebie wysokimi do pasa parawanikami. Zastanawiałam się, kto mógłby mieć ochotę na kąpiel na oczach całej grupy.

Ryzykując wszelkie możliwe choroby zakaźne, poszłam do jednej z umywalek i spryskałam twarz wodą. Jedno spojrzenie w lustro upewniło mnie, że woda na niewiele się zdała. Twarz miałam wciąż czerwoną od płaczu, co powodowało, że piegi jeszcze bardziej rzucały się w oczy niż zwykle. Bosko.

Potrząsnęłam głową, jakby to miało w cudowny sposób poprawić oglądany w lustrze obraz.

Nie poprawiło. Z westchnieniem ruszyłam więc na zwiedzanie reszty Hex Hall,

Na moim piętrze nie działo się nic szczególnego: zwyczajny bałagan, który można znaleźć wszędzie tam, gdzie przebywa razem około pięćdziesięciu dziewcząt. Na drugim piętrze znajdowały się cztery korytarze, dwa po lewej i dwa po prawej stronie schodów. Podest był ogromny, toteż urządzono na nim coś na kształt saloniku. Stały tu dwie kanapy i kilka krzeseł, ale poszczególne meble do siebie nie pasowały, a wszystko wyglądało na dość zniszczone. Ponieważ wszystkie miejsca były zajęte, przystanąłam w pobliżu schodów.

Elfka, którą widziałam wcześniej płaczącą niebieskimi łzami, najwyraźniej się pozbierała. Spoczywała na staroświeckiej sofie, śmiejąc się razem z koleżanką, która uderzała lekko w oparcie sofy zielonymi skrzydłami. Zawsze myślałam, że elfowie mają skrzydła podobne do motyli, ale one były cieńsze i bardziej przejrzyste. Wyraźnie widziałam biegnące w nich żyłki.

Wśród zgromadzonych tylko elfowie mogli cieszyć się ich posiadaniem. Na drugiej kanapie siedziała grupka dziewcząt w wieku mniej więcej dwunastu lat, które szeptały nerwowo między sobą, a ja zastanawiałam się, czy to zmiennokształtne, czy czarownice.

Ciemnowłosa dziewczyna, którą widziałam na trawniku, siedziała na fotelu w kolorze kości słoniowej, bezmyślnie skacząc po kanałach na małym telewizorze ustawionym na górnej półce niewielkiego regału.

- Mogłabyś to ściszyć? - zapytała zielonoskrzydła elfka, rzucając jej przez ramię wściekłe spojrzenie. - Niektóre z nas usiłują rozmawiać, Kundlu.

Żadna z dwunastolatek nie zareagowała, więc uznałam, że muszą być wszystkie czarownicami. Zmiennokształtny na pewno poczułby się urażony.

Błękitna elfka roześmiała się, kiedy ciemnowłosa dziewczyna wstała i wyłączyła telewizor.

- Mam na imię Taylor - powiedziała, rzucając pilotem w zieloną. - T a y l o r. I zmieniam się w pumę, a nie w psa. Jeśli mamy mieszkać pod jednym dachem przez następne kilka lat, może byś to łaskawie zapamiętała, Nauzykao.

Nauzykaa przewróciła oczami, poruszając lekko zielonymi skrzydłami.

-Och, nie będziemy długo mieszkać pod jednym dachem, zapewniam cię. Mój wujek jest królem Dworu Seelie i jak tylko powiem mu, że mam zmienną za współlokatorkę... no cóż, powiedzmy, że spodziewam się zmiany warunków mieszkaniowych.

-Ta, jasne, tylko jakoś nie wygląda na to, żeby wujek protestował przeciwko wysłaniu cię tutaj - odparowała Taylor. Twarz Nauzykai nadal nie zdradzała żadnych emocji, ale jej skrzydła poruszały się nieco szybciej.

-Nie zamierzam mieszkać ze zmienną - powiedziała do Taylor. - A już z pewnością nie mam najmniejszej ochoty mieć do czynienia z twoją kuwetą.

Niebieska zaśmiała się raz jeszcze, a Taylor spąsowiała. Nawet z odległości kilku metrów widziałam, jak jej brązowe oczy błyskają złotem.

Zamknijcie się! powiedziała, dysząc ciężko. Dlaczego nie pójdziecie poprzytulać się do drzew czy co, wy elfie świruski?

Jej słowa brzmiały jak zniekształcone, jakby obracała w ustach garść kamyczków. Nagle dotarło do mnie, że Taylor bełkocze z powodu ust pełnych ostrych k ł ó w.

Nauzykaa miała na tyle rozsądku, żeby zrobić lekko przestraszoną minę. Odwróciła się do niebieskiej elfki.

- Chodźmy, Siobhan. Pozwólmy tej bestii odzyskać samokontrolę.

Obie wstały i przemknęły obok mnie w dół schodów.

Spojrzałam na Taylor, która wciąż dyszała z mocno zaciśniętymi powiekami. Po chwili wzdygnęła się, a kiedy otworzyła ponownie oczy, były znów brązowe. Dziewczyna podniosła wzrok i zobaczyła mnie stojącą przy schodach.

-Elfy - powiedziała z nerwowym chichotem.

-Właśnie - odrzekłam. Jakbym wcześniej miała wiele okazji do oglądania elfów.

-Też jesteś nowa? - zapytała. Kiedy potaknęłam, przedstawiła się.

-Jestem Taylor. Zmienna, jak można się domyślić.

-Sophie. Czarownica.

- Super. - Przycupnęła na sofie, z której wyniosły się elfki. Założyła ręce na kark i przyglądała mi się ciemnymi oczami. - Za co cię tu zesłali?

Rozejrzałam się dookoła. Nikt nie zwracał na nas uwagi, ale mimo to odezwałam się cicho.

-Nieudane zakłęcie miłosne. Taylor pokiwała głową.

-Kilka czarownic trafiło tu z podobnych powodów.

-A ty? - zaryzykowałam. Odgarnęła włosy z oczu.

- Mniej więcej za to, co właśnie widziałas - odpowiedziała. - Straciłam cierpliwość podczas ćwiczenia układu tanecznego i zamieniłam się w pumę. Ale to nic w porównaniu z tym, co nawyprawiały niektóre z tutejszych dzieciaków.

Nachyliła się ku mnie i mówiła dalej niemalże szeptem.

- Jest taka wilkołaczyca, Beth. Słyszałam, że ona autentycznie z j a d ł a jakąś dziewczynę. Ale i tak - westchnęła, spoglądając za moje plecy, ku schodom - wolałabym kogoś takiego za współlokatorkę niż zadzierającą nosa elfkę. -Przeniosła wzrok znów na mnie. - A ty na co trafiłaś?

Nie podobało mi się to „co”, więc odpowiedziałam nieco ostrzejszym tonem.

- Mieszkam z Jenną Talbot Wybałuszyła oczy.

- O rany. Z wampirem? - Zaśmiała się. - A niech to. Wolę już wredną elfkę od tamtej.,

- Wcale nie jest taka zła - odpowiedziałam odruchowo. Taylor wzruszyła ramionami i podniosła pilota, którym rzuciła w Nauzykaę. ...

- Skoro tak twierdzisz... - mruknęła, włączając z powrotem telewizor.

Nasza rozmowa najwyraźniej dobiegła końca, zesłam więc na pierwsze piętro. To był Męski Świat, toteż nie udało mi się tam wiele pozwiedzać. Układ piętra był taki sam jak na górze, ale salon wyglądał jeszcze bardziej bałaganiarsko niż nasz. Z jednej z kanap wyłaziła wyściółka, a w kącie stał krzywy stół do kart. Nikogo tu nie było, więc zajrzałam w jeden z korytarzy. Zobaczyłam tam Justina usiłującego wepchnąć ogromny kufer do pomieszczenia, które zapewne było jego pokojem. Zatrzymał się i opuścił bezradnie ręce. Zrobiło mi się go trochę żal. Gdy tak patrzyłam, jak mocował się z bagażem, który niemal dorównywał mu wysokością, uświadomiłam sobie, że wściekły wilkołak wściekłym wilkołakiem, ale przede wszystkim był to mały dzieciak. Justin odwrócił się i - nie żartuję - warknął na mój widok.

Pospiesznie zbiegłam po schodach na parter, gdzie panowała cisza. Dostrzegłam zaledwie parę osób, a wśród nich starszego chłopaka ubranego w dżinsy i flanelową koszulę.

Zastanawiałam się, czy to nie brat któregoś z uczniów, ponieważ wyglądał za dorośle na Hekate, a poza tym miał na sobie niebieskie dżinsy, a nie spodnie khaki.

Gruby orientalny dywan w złoto-czerwone spiralne wzory tłumiał odgłos kroków w odchodzącym od głównego holu korytarzu, do którego się skierowałam.

Zajrzałam przez otwarte drzwi do pierwszego napotka-nego pomieszczenia. Wnętrze

wyglądało tak, jakby kiedyś było jadalnią, a może dużym salonem. Ścianę naprzeciwko drzwi zajmowały w całości okna, przez które mogłam wreszcie przyjrzeć się otaczającemu dom terenowi. Wychodziły na niewielki staw z pomostem i ładną, ale zaniedbaną altanką. Ale tym, co naprawdę zrobiło na mnie wrażenie, była zieleń. Trawa, drzewa, cienka warstwa wodorostów w stawie (miałam szczerą nadzieję, że w programie nie ma pływania po nim łódkami...) - wszystko to było jaskrawo, wręcz oślepiająco zielone. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. Nawet chmury, które wzbierały groźbą popołudniowej burzy, miały zielonkawy odcień.

Dywan w tym pokoju również był zielony, a poza tym bardzo miękki, niemal uginający się pod stopami; przywodził mi na myśl mech albo porosty. Na ścianach wisiały fotografie. Każda z nich przedstawiała taką samą scenę: grupka Prodigium zebrana na frontowej werandzie. Nie miałam pojęcia, czy to czarownice, czy zmiennokształtni, ale nie było wśród nich elfów. Małe złote tabliczki na dolnej krawędzi każdej ramki podawały daty, poczynając od roku 1903, a kończąc na ubiegłym pod fotografią wiszącą zaraz na prawo od drzwi.

Na najstarszym zdjęciu było raptem sześcioro dorosłych, wszyscy wyglądający bardzo poważnie, jakby ich ulubioną rozrywką było kopanie kociąt. Młodsze pokolenie Prodigium pojawiło się na fotografiach dopiero w 1967 roku. Zastanawiałam się, czy to wtedy budynek Hekate Mail został zmieniony w szkołę. A Jeśli tak, to co mieściło się tu wcześniej?

W zeszłym roku była prawie setka uczniów i wszyscy wyglądali na znacznie bardziej wyluzowanych. Dostrzegłam Jennę stojącą na samym przodzie obok wyższej dziewczyny. Obejmowały się ramionami Zastanowiło mnie, czy to nie jest ta tajemnicza Holly.

Szczerze mówiąc, poczułam lekką zazdrość. Nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek zaprzyjaźnię się z kimś na tyle, żeby ot tak obejmować tę osobę ramieniem na zdjęciu. Na wszystkich okólnych fotografiach stałam zawsze na uboczu z włosami opadającymi na twarz. Czy dlatego Jenna zachowywała się tak dziwnie, ile-kroć wspominałam jej poprzednią współlokatorkę? Może były kumpelami, a ja wyszłam na intruza, który chciałby zająć miejsce Holly? Super.

-Sophia?

Odwróciłam się zdumiona.

Przede mną stały trzy najpiękniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam. Zamrugałam oczami.

Nie, one wcale nie wszystkie były takie znów olśniewające. Tylko ta pośrodku. Miała rude włosy opadające miękkimi lokami niemal do pasa. Zapewne nawet nie musiała używać

lakieru. Mogłam się założyć, że wstawiała z łóżka z fryzurą jak z reklamy, wokół jej głowy krążyły maleńkie kolibry, a szopy przynosiły jej śniadanie i tak dalej.

Nie mogło również umknąć mojej uwadze, że nie miała piegów, co wystarczyło, żebym ją natychmiast znienawidziła.

Dziewczyna po jej prawej wyglądała jak modelowa Kalifornijka: proste, gładkie blond włosy, opalenizna, ciemnoniebieskie oczy... które jednak były osadzone nieco zbyt blisko siebie. A poza tym miała fatalny zgryz.

Obrazu dopełniała czarnoskóra dziewczyna, niższa nawet ode mnie. Była ładniejsza od blondynki, ale daleko jej było do rudowłosego bóstwa pośrodku, A jednak, kiedy patrzyłam na te zwyczajniejsze dziewczyny, coś w moim mózgu sprawiało, że wydawały mi się bardzo piękne. Oczy jakby nie dostrzegały niedoskonałości urody.

Splendor. To jedyne możliwe wytłumaczenie, ale nigdy nie słyszałam, żeby tym zaklęciem posługiwała się czarownica. To musiała być poważna magia. Chyba gapiłam się na nie jak pomyłona albo coś, ponieważ blondynka prychnęła i odezwała się do mnie.

- Sophia Mercer, zgadza się?

Mniej więcej w tej chwili zorientowałam się, że szczeka mi dosłownie opadła. Szybko zamknęłam usta, aż zęby mi szczeknęły, co zabrzmiało naprawdę głośno w tym cichym pomieszczeniu.

-Tak, jestem Sophie.

-Świetnie! - zawołała ta najniższa. - Szukałyśmy cię. Jesteś Anna Gilroy. To jest Chaston Burnett - wskazała na blondynkę - a to Elodie Parris.

- Och - powiedziałam, uśmiechając się do rudej. - Ładne imię. Brzmi prawie jak „melodia”  
Uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie. Brzmi jak ~~Elodie~~

- Bądź miła - skarciła ją Anna, po czym zwróciła się znów do mnie. - Chaston, Elodie i ja jesteśmy czymś w rodzaju komitetu powitalnego dla nowych czarownic A więc... witaj!

Wyciągnęła do mnie dłoń, a ja przez moment zastanawiałam się, czy powinnam ją pocałować. Szybko odzyskałam rozum i uścisnęłam jej rękę.

- Jesteście wszystkie czarownicami?

- To właśnie powiedziałyśmy - odparowała Elodie, zarabiając kolejne karcące spojrzenie Anny.

- Przepraszam - powiedziałam. - Ja po prostu nigdy wcześniej nie spotkałam innych czarownic.

- Naprawdę? - zdziwiła się Chaston. - To znaczy nigdy nie spotkałaś w ogóle nikogo, kto para się magią, czy tylko m r o c z n y c h ?

- Nie rozumiem.

- Mroczne to właściwe czarownice - powtórzyła Elodie tonem, którym mogłaby konkurować z Nauzyką o tytuł Miss Zadzierania Nosa.

- No... ja... nie bardzo wiem, że są różne rodzaje. Teraz wszystkie trzy gapiły się na mnie, jakbym właśnie przemówiła w obcym języku.

- Okej, ale j e s t e ś czarownicą? - zapytała Anna, wyciągając z kieszeni zakietu kartkę papieru. To była jakaś lista, którą przebiegła uważnie wzrokiem.

- Spójrzmy no, Lassiter, Mendelson... o, jest, Mercer, Sophia. Czarownica. To ty.

Podawała mi listę, na której widniał nagłówek „Nowi uczniowie”. Uwzględniono tam mniej więcej trzydzieści nazwisk, wszystkie opatrzone etykietkami w nawiasach: „zmiennokształtny”, „elf” i „biała”. Jedynie przy moim stało „mroczna”.

- Nie rozumiem? Co to jest?

Elodie rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

- Naprawdę tego nie wiesz? - spytała łagodnie Anna.

- Naprawdę - odparłam obojętnym tonem, ale w głębi duszy wściekałam się. No bo, halo, co za pożytek z mamy, która niby jest ekspertem od takich spraw, a nie wie tego, co jest naprawdę istotne?

Jasne, to pewnie nie jej wina, zwłaszcza że większość współczesnej wiedzy o magii jest otoczona tajemnicą, ponieważ wszyscy strasznie boją się wykrycia... ale, cholera, to już była żenada.

O białych powinno się mówić czarodziejki, a nie czarownice. .. - zaczęła Anna, ale Elodie wtrąciła się jej w słowo.

- Białe rzucają różne żalosne zaklęcia. Magia miłosna, przepowiadanie przyszłości, zaklęcia odnajdujące i... no nie wiem, produkowanie z niczego króliczków, koników i tęczy - powiedziała, machając lekceważąco ręką.

-Och - odparłam, myśląc o Felicii i Kevinie. - Tak. **Ż**alosne zaklęcia.

-Mroczne uprawiają prawdziwą magię - dodała Chaston. - A nasza moc jest znacznie większa. Potrafimy rzucać zaklęcia zaporowe, a jeśli jesteśmy naprawdę dobre, to nawet kontrolować pogodę. Bywamy nekromantkami, jeśli...

-Ej! - Podniosłam rękę. - Nekromantkami? Masz na myśli władzę nad martwymi?

Wszystkie trzy pokiwały ochoczo głowami, jakbym właśnie zaproponowała wyprawę do centrum handlowego, a nie wskrzeszanie zombie.

- Fuj! - krzyknęłam, niewiele myśląc.

Błąd. Ich uśmiechy natychmiast zniknęły, a temperatura w pokoju spadła o kilka stopni.

- Fuj? - powtórzyła drwiąco Elodie. - Na litość boską, ile ty masz lat? Władza nad

umarłymi to najbardziej pożądana z mocy, a ty się tym brzydzisz? Niech mnie - powiedziała, zwracając się do swoich towarzyszek. - Jesteście pewne, że chcecie ją w sabacie?

Słyszałam o sabatach, ale mama zawsze powtarzała, że wypadły z łask w ciągu ostatniego półwiecza. Obecnie czarownice zazwyczaj wolą niezależność.

- Zaczekajcie - zaczęłam, ale Anna wtrąciła się, jakbym w ogóle się nie odzywała.

- To jedyna mroczna na tej liście, a wiecie, że potrzebujemy czwórki. I

- A ja jestem na dodatek niewidzialna - mruknęłam, ale one mnie zignorowały.

- Jest jeszcze gorsza niż Holly - powiedziała Elodie. -A Holly była najżałośniejszą mroczną, jaką widział ten świat.

- Elodie! - syknęła Chaston.

- Holly? - zapytałam. - Ta Holly, która dzieliła pokój z Jenną Talbot?

Anna, Chaston i Elodie wymieniły szybkie spojrzenia, cała trójka jednocześnie. Niezła sztuczka.

- Tak - odpowiedziała ostrożnie Anna. - Skąd wiesz o Holly?

- Mieszkam z Jenną i ona mi o niej wspominała. Ona też jest mroczną? Skończyła już szkołę czy po prostu się wyprowadziła?

Teraz wszystkie trzy wyglądały na autentycznie zaniepokojone. Nawet wieczne szyderstwo na twarzy Elodie zostało zastąpione przez zaskoczenie.

-Mieszkasz z Jenną Talbot? - zapytała.

-To właśnie powiedziałam - burknęłam, ale Elodie całkowicie zlekceważyła moją próbę bycia opryskliwą.

-Słuchaj - powiedziała, biorąc mnie pod ramię. - Holly nie skończyła szkoły i nie wyjechała. Holly nie żyje.

Anna podeszła do mnie od drugiej strony z otwartymi szeroko oczami, w których malował się przestrah.

- Zabiła ją Jenna Talbot.

## ROZDZIAŁ 5

Kiedy dowiadujesz się, że ktoś został zamordowany, śmiech zasadniczo nie jest najlepszą reakcją. To taka rada na przyszłość.

Ale ja zrobiłam właśnie to: roześmiałam się.



-Jen na? Jenna Talbot ją zabiła? Co takiego zrobiła: udusiła różową tasiemką czy co?

-Myślisz, że to zabawne? - spytała Anna, patrząc na mnie spode łba.

Chaston i Elodie nie kryły oburzenia, a ja uznałam, że moje tymczasowe członkostwo w ich klubie uległo właśnie zawieszeniu.

-No tak, trochę. To znaczy - poprawiłam się szybko w obawie, że Elodie za moment zacznie dymić z uszu - nie ~~to~~ że ktoś ~~umiał~~ Ib jest okropne, bo... no wiecie, śmierć...

-Tak, wiemy. „Fuj” - powiedziała Elodie, przewracając oczami

- Chodzi o to, że sama myśl, że Jenna mogłaby kogoś zabić, jest po prostu... śmieszna.

Znów ta potrójna wymiana spojrzeń. Nie no, czy one to ćwiczą przed lustrem?

- Ona jest wampirzycą - stwierdziła Chaston - Masz inne wytłumaczenie dla faktu, że Holly została znaleziona z dwiema ranami na szyi?

Wszystkie trzy nachyliły się ku mnie konfidencjonalnie. Na zewnątrz ciężkie chmury zakryły wreszcie popołudniowe słońce, sprawiając, że w pokoju zrobiło się **jeszcze** b a r dziej ponuro i klaustrofobicznie. Rozległ się grzmot i poczułam w powietrzu słaby metaliczny zapach, który zawsze pojawia się przed burzą.

-Kiedy Holly przyszła tu dwa lata temu, stworzyliśmy sabat - zaczęła Anna. - Nasza czwórka to były jedyne mroczne w szkole, a żeby sabat był naprawdę silny, potrzebne są cztery osoby, więc w sposób naturalny musiałyśmy się zaprzyjaźnić. Ale później, na początku zeszłego roku pojawiła się Jenna Talbot i zamieszkała z Holly.

-Zaraz potem okazało się - wtrąciła się Chaston - że Holly nie chce już z nami trzymać. Spędzała cały czas z lenną, kompletnie nas olewając. A gdy pytałyśmy ją, dlaczego tak się dzieje, odpowiadała tylko, że Jenna jest fajna. Rozumiesz: fajniejsza od nas.

Rzuciła mi spojrzenie mówiące bardzo wyraźnie, że nie da się być fajniejszym od nich.

-Aha - powiedziałam słabym głosem.

-Aż pewnego dnia w marcu - powiedziała Elodie - spotkałam Holly w bibliotece, zapłakaną. Powiedziała mi tylko, że chodzi o Jennę, ale bez szczegółów.

-A dwa dni później Holly nie żyła - dodała Chaston ponurym tonem.

Czekałam na kolejny grom, zakładając, że po tak wypowiedzianym zdaniu powinno coś takiego nastąpić. Ale słychać było tylko cichy szelest deszczu.

- Znaleźli ją w łazience na górze - Elodie mówiła teraz niemal szeptem. - Leżała w wannie z dwiema dziurami w szyi i z prawie całkowicie wysaną krwią. Żołądek zjechał mi gdzieś w okolice kolan, a serce waliło jak młotem. Nic dziwnego, że Jenna tak dziwnie reagowała na każde wspomnienie poprzedniej współlokatorki.

- To okropne.

- Owszem - przytaknęła Chaston. - Ale...

- Ale co? - Elodie zmrużyła, oczy.

- Skoro wszyscy mają pewność, że to Jenna, to dlaczego ona wciąż tu jest? Rada powinna ją zakorkować czy coś w tym rodzaju.

- Przysłali tu kogoś - powiedziała Chaston, poprawiając włosy za uchem. - Ale ten gość stwierdził, że rany Holly nie pochodzą od kłów. Że są zbyt... eleganckie. Przełknęłam ślinę.

- Eleganckie?

- Wampiry to straszne niechlujy, jeśli chodzi o jedzenie - odparła Anna.

Bardzo się starałam zachować obojętny wyraz twarzy, Kiedy wypowiadałam następane zdanie.

- Cóż, skoro Rada uznała, że Jenna tego nie zrobiła, to znaczy, że Jenna tego nie zrobiła. Jestem pewna, że oni nie pozwoliliby wściekłemu wampirowi chodzić do jednej szkoły z dziećmi Prodigium.

Elodie jako jedyna z całej trójki spojrzała mi prosto w oczy.

~ Rada się myli - oznajmiła. - Holly mieszkała z wampirzycą i została zabita przez kogoś, kto wysał jej krew przez rany na szyi. Jakie znajdujesz inne wyjaśnienie?

Chaston i Anna wciąż unikały mojego wzroku. Coś tu najwyraźniej nie grało. Dziewczyny uparły się, żeby przekonać mnie o winie Jenny, ale ja tego nie kupowałam. A poza tym ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę w pierwszym dniu w nowej szkole, było uwikłanie się w jakąś czarodziejsko-wampirzą wojnę gangów.

-Wiecie co, ja muszę jeszcze rozpakować trochę rzeczy. .. - zaczęłam, ale Anna postanowiła zmienić taktykę.

-Zapomnij na chwilę o wampirze, Sophie. Wysłuchaj nas. - Jej głos zabrzmiał teraz nieco jękliwie. - My naprawdę potrzebujemy czwartej do sabatu.

-Właśnie - poparła ją Chaston. - I możemy tyle cię nauczyć o byciu prawdziwą czarownicą. Nie obraż się, ale wyglądasz, jakbyś potrzebowała pomocy.

-No, pomyślę o tym, dobrze?

Odwrociłam się, żeby wyjść, ale drzwi zatrzasnęły się kilkanaście centymetrów przed moim nosem. Przez pokój przemknął zimny powiew, aż zdjęcia na ścianach zadrżały. Obróciłam się z powrotem ku dziewczynom; cała trójka stała, uśmiechając się, a włosy rozwiewały im się wokół twarzy jak pod wodą.

Jedyna lampa w pomieszczeniu zamigotała i zgasła. Widziałam srebrzyste nitki światła, jakby rteci, pod skórą dziewczyn. Nawet ich oczy lśniły. Wszystkie trzy uniosły się nad podłogą, tak że czubki szkolnych tenisówek ledwie dotykały włochatego dywanu. Teraz nie były szkolnymi pięknościami ani supermodelkami - to były czarownice, i to na dodatek bardzo niebezpieczne.

Mimo że walczyłam z przymusem, żeby paść na kolana i unieść ręce nad głowę,

zastanawiałam się przez cały czas, czy ja także posiadam takie zdolności. Gdybym nie zajmowała się „obciachowymi zaklęciami” jak to dla Felicii, może wyglądałabym właśnie tak: skóra iskrząca się srebrem i ogień w oczach? Moc, która biła od tych dziewczyn, sprawiała, że czułam się, jakby w pokoju szalało tornado, jakbym miała za moment wylecieć przez szklaną ścianę prosto do mętnego jeziora. Moc roztrzaskała szkło na trzech zdjęciach, jeden z odłamków zranił mnie w rękę, ale nawet tego nie poczułam.

Chwilę później wicher ustał równie nagle, jak się zerwał, i zdjęcia przestały się chybotać. Trzy postacie stojące przede mną nie wyglądały już jak pradawne boginie; były znów zwyczajnymi, choć niezwykle atrakcyjnymi, nastolatkami.

- Widzisz? - powiedziała Anna z ożywieniem. - Do tego jesteśmy zdolne tylko w trójkę. Wyobraź sobie, co możemy osiągnąć, jeśli dołączysz do nas jako czwarta.

Wpatrywałam się w nie z uwagą. Czy to był kolejny chwyt marketingowy? Patrz! Jesteśmy przerażające! Ty też możesz być przerażająca!

-No - powiedziałam w końcu. - To było... niezłe. Naprawdę niezłe.

-A więc jesteś z nami? - spytała Chaston.

Ona i Anna wciąż się do mnie uśmiechały, tylko Elodie patrzyła gdzieś w bok znudzonym wzrokiem.

-Odezwę się do was, dobrze? - rzuciłam krótko. Uśmiechy znikły z ich twarzy.

-A nie mówiłam - odezwała się Elodie.

Po tych słowach wyszły, jakbym nagle przestała istnieć.

Opadłam na jeden z foteli, podciągnęłam kolana pod brodę i przyglądałam się słabnącemu deszczowi za oknem.

W takiej właśnie pozycji zastała mnie Jenna niemal godzinę później, tuż po gongu wzywającym na kolację.

-Sophie? - zapytała, wsuwając głowę do środka.

-Hej. - Usiłowałam się uśmiechnąć.

Musiało to wyglądać żałośnie, ponieważ Jenna natychmiast zmarszczyła czoło.

-Co się stało?

Ale zanim zdążyłam jej opowiedzieć o Czarownicach z Maybelline, Jenna wbiegła do pokoju, gadając tak szybko, że słowa niemalże płynęły z jej ust.

- Słuchaj, przepraszam za to wcześniej. Nie powinnam się wtrącać.

- Nie, nie - odpowiedziałam, wstając. - Jenno, to nie chodzi o ciebie. Naprawdę. Wszystko gra.

Na jej twarzy odmalowała się ulga. Nagle spojrzała w dół. Stało się to tak szybko, że nie

mogłam być pewna, ale wydało mi się, że jej wzrok sposepniał na ułamek sekundy. Zerknęłam na swoją rękę i dostrzegłam skaleczenie - efekt latającego szkła.

Dobra. Zapomniałam o tym. Ranka okazała się głębsza, niż myślałam. A teraz, kiedy również ja spojrzałam na dywan, dostrzegłam tam plamy własnej krwi.

Podniosłam wzrok na Jennę, która najwyraźniej starała się nie patrzeć na moją rękę.

Poczułam krępujący dreszcz przebiegający mi po kręgosłupie.

- Ach, to - powiedziałam, zakrywając skaleczenie. -Przyglądałam się zdjęciom i kilka z nich spadło. Szkło pękło i zacięłam się. Jestem straszną niezdara.

Jenna jednak patrzyła już na ścianę i musiała widzieć, że żadne ze zdjęć nie spadło, za to trzy z nich miały stłuczone szkło.

- Niech no zgadnę - powiedziała cicho. - Natknęłaś się na Wielką Trójcę.

-Na kogo? - zapytałam, niezdarnie usiłując się roześmiać. - Nie wiem nawet...

-Elodie, Anna i Chaston. A z faktu, że nie chcesz się do tego przyznać, wnioskuję, że opowiedziały ci o I loiły.

Super. Czy moja jedyna szansa na zdobycie przyjaciółki jest skazana na kolejne niepowodzenia przy każdej okazji?

- Jenno - zaczęłam, ale tym i razem to ona mi przerwała.

- Powiedziały ci, że zabiłam Holly? Ponieważ milczałam, wydała z siebie dźwięk, który zapewne miał brzmieć, jak sarkastyczny śmiech, ale czułam, że Jenna ledwie powstrzymuje płacz.

- Jasne, jestem przecież bestią, która nie potrafi się kontrolować i pożarłaby... najlepszą przyjaciółkę. - Kąciki jej ust drżały niebezpiecznie. - To one zabawiają się naprawdę paskudną magią, ale mnie nazywa się potworem dokończyła.

- Co masz na myśli?

Rzuciła mi jeszcze spojrzenie na moment przed tym, jak się znów odwróciła.

- Nie wiem - wymamrotała. - Holly coś takiego powiedziała. Jakieś zaklęcie, które usiłowały rzucić, żeby uzyskać więcej mocy, czy coś w tym rodzaju.

Przypomniało mi się, jak się unosiły nad dywanem z płonąca skórą. Czegokolwiek próbowały, najwyraźniej podziałało.

Jenna pociągnęła nosem. Było mi jej żal, ale nie mogłam zapomnieć o tym, co zobaczyłam chwilę wcześniej w jej oczach. To był głód.

Odepchnęłam od siebie tę myśl i podeszłam do niej.

- Pieprzyć je.

Tyle że nie użyłam słowa „pieprzyć”. Zdarzają się takie sytuacje, kiedy pasują jedynie bardzo

brzydkie słowa, a ta należała do nich. Jenna zrobiła wielkie oczy, a na jej twarzy pojawiła się wyraźna ulga.

- Absolutnie. - Potaknęła z takim przekonaniem, że obie jednocześnie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Idąc w kierunku jadalni, spjrzałam na Jennę, która trajkotała teraz coś o tym, że podobno tarta orzechowa jest wspaniała. Pomyślałam o tamtych trzech dziewczynach i o tym, jak bardzo były w błędzie: Jenna nie byłaby w stanie nikogo skrzywdzić.

A mimo to, kiedy śmiałam się z jej porywających opisów tarty, czułam gdzieś u nasady kręgosłupa cień dreszczy na wspomnienie oczu wpatrzonych w krople mojej krwi na dywanie.

## ROZDZIAŁ 6

Jadalnia była niewiarygodnie dziwaczna. Kiedy dowiedziałam się, że dawniej mieściła się w niej sala balowa, spodziewałam się wyszukanych ozdób: kryształowych żyrandoli, lśniących parkietów z ciemnego drewna, luster na ścianach... no, po prostu sali balowej prosto z bajki.

Niestety panowała tu ta sama atmosfera rozkładu co w całym budynku. Och, jasne, były żyrandole, ale przykryte czymś, co wyglądało jak wielkie worki na śmieci. Była też lustrzana ściana, ale zasłonięta od podłogi po sufit wielkimi płachtami płótna.

W tym wielkim pomieszczeniu poupychano stoły najróżniejszych wielkości i kształtów. Wielki dębowy mebel stał tuż obok stoliczka z plastiku i ze stalowych rurek, który Wyglądał, jakby ktoś go ukradł z baru. Wydało mi się nawet, że dostrzegłam altanową ławkę. Czy tej szkoły nie prowadzą czarownice? Nie ma czegoś takiego jak zakęcie wykonujące meble? Nagle moją uwagę zwrócił długi niski stół, na którym stało jedzenie: wielkie srebrne misy pełne krewetek, dymiące patelnie z pieczonymi kurczakami, kadzie smakowitego makaronu z serem.

Wbiłam wzrok w ogromny tort czekoladowy, wysoki chyba na metr, pokryty gęstą, ciemną polewą i ozdobiony ciemnoczerwonymi truskawkami.

- Tak jest tylko w pierwszy dzień roku - poinformowała mnie Jenna.

Kiedy już napełniłam talerz, zaczęłyśmy rozglądać się za miejscami do siedzenia. Dostrzegłam Elodie, Chaston i Annę przy szklanym stoliku w jednym z kątów sali, toteż natychmiast poszukałam czegoś po drugiej stronie pomieszczenia. Przy prawie każdym stole było kilka wolnych miejsc i niemal słyszałam głos mamy, mówiący:

- A teraz, Sophie, proszę, postaraj się poznać jakieś nowe osoby.

Ale mamy tu nie było, a widziałam, że Jenna również nie jest w nastroju do nawiązywania kontaktów. W tej chwili zauważyłam niewielki biały stolik niedaleko drzwi i wskazałam go lennie.

Wyglądał jak podwieczorkowy mebelek dla małych dziewczynek, ale ponieważ był to jedyny stolik dla dwóch osób, uznałyśmy, że nie będziemy grymasić.

Usiadłam na małym białym krzeselku, kolanami sięgając do krawędzi stolika, co wywołało parsknięcie śmiechu ze strony Jenny.

Pożerając pyszne jedzenie, wypytywałam ją o różne osoby znajdujące się w jadalni. Zaczęłam od wielkiego hebanowego stołu stojącego na podwyższeniu w końcu sali. Najwyraźniej należał on do nauczycieli, ponieważ był nie tylko najładniejszy, ale także największy. Oprócz pani Casnoff dziobiącej widelcem sałatkę, na honorowym miejscu siedziało jeszcze pięcioro dorosłych - dwaj mężczyźni i trzy kobiety. Nauczycielkę-elfkę rozpoznałam bez trudu dzięki skrzydłom, a Jenna powiedziała mi, że obok niej siedzi pan Ferguson, zmiennokształtny.

Po jego prawej dostrzegłam młodą kobietę o jaskrawych, niemal fioletowych włosach i w okularach o grubej oprawie, podobnych do tych, które nosiła Jenna. Miała tak jasną karnację, że wzięłam ją za wampira, o którym wspominała pani Casnoff, ale Jenna wyjaśniła, że to pani East, czarodziejka.

- Ten facet koło niej to wampir - oznajmiła Jenna, wskazując na autentycznie przystojnego, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę z czarnymi, kędzierzawymi włosami. - Lord Byron.

Prychnęłam pogardliwie.

- Rany cóż to za pozerstwo, nazwać się imieniem umarłego poety.

Jenna tylko rzuciła mi spojrzenie.

- Ależ to jest prawdziwy Lord Byron. Przyznaję: omal się nie zakrztusiłam.

- Jaja sobie robisz! Ten od *Giaura* i tak dalej? On jest wampirem?

- Aha - potaknęła Jenna. - Jakiś wampir przemienił go w Grecji, kiedy był umierający. Rada trzymała go, prawdę mówiąc, bardzo długo w areszcie, ponieważ trochę rzucał się w oczy. Chciał koniecznie wrócić do Anglii i pozamieniać wszystkich w wampiry. Kiedy więc otwarto ten zakład, skazali go na bycie nauczycielem.

- Rany - westchnęłam, przyglądając się, jak facet, o którym rok temu pisałam wypracowanie, bezczelnie lustruje wzrokiem nas wszystkich. - To chyba straszne: być nieśmiertelnym i musieć spędzić tu całą wieczność?

W tej samej chwili przypomniałam sobie, z kim rozmawiam.

- Przepraszam - powiedziałam, wlepiając wzrok w talerz.

- Nie przejmuj się - odrzekła Jenna. - Ja nie zamierzam spędzić reszty swojego długiego

zywota w Hekate, wierz mi

Miałam ochotę zadać jej jeszcze kilka pytań o to, jak to jest wiedzieć, że będzie się żyło wiecznie. Bo z całego Prodigium tylko wampiry tak mają. Nawet elfowie w końcu gasną, a czarownice i zmiennokształtni nie żyją dłużej niż zwykli ludzie.

Ale zamiast tego wskazałam na wysoką kobietę o kręconych ciemnych włosach, siedzącą naprzeciwko pani Casnoff.

- A to kto?

Jenna przewróciła oczami i jęknęła.

- Och. To pani Vanderlyden. Nazywamy ją Vandy. Ale nie przy niej - dodała szybko. - Jeśli ci się wyrwie, to nigdy się nie pozbierasz. Ona jest mroczną. A raczej była. Rada pozbawiła ją mocy wiele lat temu. Teraz jest czymś w rodzaju wychowawczyni w internacie, a poza tym uczy wu-efu czy też raczej tego, co tu uchodzi za wuef. Jej głównym zajęciem jest pilnowanie regulaminu. No i jest zła do szpiku kości.

- Ona ma włosy spięte frotką - powiedziałam. Swego czasu też nosiłam frotki, ale miałam wtedy jakieś siedem lat Dorosła kobieta z frotką była obciachowa.

- Wiem. - Jenna potrząsnęła głową. - Mamy taką teorię, że to jej przenośna brama piekieł. Wiesz, rozciąga tę frotkę i przechodzi przez nią, ilekroć potrzebuje doładować nieco zła.

Roześmiałam się mimo obawy, czy Jenna przypadkiem nie mówi serio.

- Jest jeszcze ogrodnik - dodała Jenna. - Callahan, nazywamy go Cal. Nie ma go tu dziś.

Zajęliśmy się uczniami. Zauważyłam Archera siedzącego przy stole z kilkoma innymi chłopakami, którzy śmiali się z czegoś co właśnie powiedział. Miałam szczerą nadzieję, że by to opowieść "o „złym psie".

- A ten chłopak? - zapytałam z udaną obojętnością.

- Archer Cross etatowy słodki drań i obiekt powszechnych westchnień. Czarnoksiężnik. Wszystkie dziewczyny kochają się w nim choćby troszkę. Powinny tu być kursy podrywania Aithera Grossa.

- A co z tobą? - spytałam. - Ty też się w nimkochasz? Jenna przyglądała mi się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- On nie jest w moim typie.

-Jak to? Nie gustujesz w wysokich i mrocznych przystojniakach?

-Nie - odpowiedziała lekko. - Nie gustuję w chłopakach.

-Och. - Tyle byłam w stanie z siebie wydusić. Nie miałam nigdy przyjaciółki lesbijki. W sumie to w ogóle nie bardzo miałam przyjaciółki. Spoglądając wciąż na Archera, powiedziałam: - A ja dziś usiłowałam go zabić.

Gdy Jenna już pozbierała się po tym, jak omal się nie za-krztusiła, opowiedziałam jej o całym

zajściu.

-Pani Casnoff sprawiała wrażenie, jakby nie była zachwycona tym, co zrobił - dodałam.

-Nic dziwnego. Archer miał nieustanne kłopoty w zeszłym roku. A potem wyjechał na prawie miesiąc, no i pojawiły się te plotki. Ludzie myśleli, że pojechał do Londynu.

- Po co? Żeby przejechać się piętrowym autobusem? Jenna uśmiechnęła się do mnie.

- Nie. W Londynie znajduje się kwatery główna Rady. Wszyscy myśleli, że przeszedł tam Redukcję.

Coś o tym czytałam w jednej z książek mamy. Jest to bardzo potężny rytuał, który pozbawia człowieka mocy magicznej. Przeżywa go mniej więcej jeden procent Prodigium.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś poddał się temu z własnej woli.

PanieCross! Dokąd się pan wybiera? Archer znajdował się raptem jakieś dwa metry ode mnie, zmierzając do wyjścia. Zauważyłam ponadto, że trzymał Elodie za rękę. Interesujące. Oczywiście to absolutnie miało sens, dwójka ludzi, którzy już mnie znieawidzili, będzie parą.

Archer rzucił pani Casnoff spojrzenie przez całą długość sali balowej.

-To nie jest mój pierwszy rok - powiedział.

Uczniowie w drzwiach zamarli, wszystkie twarze zwróciły się ze zdumieniem ku Archerowi. Elodie położyła drugą dłoń - tę, która nie była zajęta ściskaniem ręki Archera, jakby był on nagrodą w sylwestrowej loterii - na jego ramieniu.

- Widziałem już cały ten szajs - dodał.

Zmiennokształtny nauczyciel pan Ferguson podniósł się.

- Jak ty się wyrażasz! - ryknął.

Archer nie spuszczał jednak wzroku z pani Casnoff, która zachowywała pełny spokój.

- Ja natomiast uważam, że niewiele zrozumiałeś - odpowiedziała Archerowi, wskazując miejsce opuszczone przez Jenę. - Usiądź, proszę.

Jestem przekonana, że wymamrotał pod nosem całą litanię słów znacznie gorszych niż „szajs”, kiedy zajmował miejsce naprzeciwko mnie.

- Cześć, Sophie. Zacisnęłam zęby.

- Hej. O co w tym chodzi? Archer usadowił się na krzeselku z ponurą miną.

- Och, sama zobaczysz.

W tej chwili salę ogarnęła ciemność.



## ROZDZIAŁ 7

Gdy tylko zgasły światła, spodziewałam się tego, co zazwyczaj się dzieje w takich przypadkach: śmiechu, krzyków, szelestu ubrań i skrzypienia krzesel, czyli tych wszystkich dźwięków, które oznaczają, że ludzie przysuwają się do siebie zazwyczaj po to, żeby się poprzytulać. Tymczasem w sali panowała absolutna cisza. Pewnie po części dlatego, że było nas tylko około dwudziestki.

Siedzący koło mnie Archer westchnął. Zawsze czuję się dziwnie, siedząc koło chłopaka w ciemności, nawet jeśli nie jest przeze mnie lubiany. Nie widziałam jego twarzy, ale słyszałam oddech, wiercenie się na krześle, a nawet czułam zapach (ten ostatni, muszę przyznać, kojarzył się z czystością i mydłem).

Miałam go właśnie znów zapytać, o co w tym wszystkim chodzi, kiedy na przodzie sali, tuż obok pani Casnoff, pojawił się maleńki kwadracik światła, który rósł i rósł, aż osiągnął rozmiar ekranu filmowego. Zawisł w powietrzu, pusty i błyszczący, po czym bardzo powoli zaczął się na nim ukazywać obraz, jak na wywoływanej fotografii. Był czarno-biały i przedstawiał grupę posepnych mężczyzn w czarnych ubraniach i szerokich kapeluszach charakterystycznych dla purytanów.

- W 1692 roku dwie czarownice w miasteczku Salem w stanie Massachusetts odkryły swoją moc i wywołały panikę, w wyniku której zginęło osiemnaście niewinnych osób

- zaczęła pani Casnoff. Grupa czarnoksiężników z okolic Bostonu napisała wówczas do swoich pobratymców w Londynie i w ten sposób powstała Rada. Istniała nadzieja, że dzięki strukturze i środkom finansowym zdoła ona lepiej kontrolować działalność magiczną i zapobiec powtórzeniu się podobnej tragedii.

Obraz rozmył się i przekształcił w portret rudowłosej kobiety w zielonej satynowej sukni z szeroką krynoliną.

- Oto Jessica Prentiss - ciągnęła pani Casnoff głosem, który wypełniał całą salę - niezwykle potężna biała czarownica z Nowego Orleanu. W 1876 roku, kiedy jej młodsza siostra Margaret umarła po tym, jak Rada pozbawiła ją mocy, panna Prentiss zaproponowała utworzenie rodzaju schroniska - miejsca, gdzie czarownice, których moc stanowiła potencjalne zagrożenie, mogłyby spokojnie żyć.

Portret zbladł zastąpiony przez starą fotografię, którą już widziałam - przedstawiającą szkołę w 1903 roku.

- Trwało to niemal trzydzieści lat, ale jej marzenie spełniło się w 1903 roku - mówiła dalej pani Casnoff - a w 1923 Rada przyznała prawo do przebywania w Hekale również

zmiennokształtnym i elfom.

Ani wzmianki o wampirach, rzecz jasna.

- Wcale nie jest źle - szepnęłam do Archera. Po prostu wykład z historii.

Potrząsnął nieznacznie głową.

- Zaczekaj.

W roku 1967 Rada zdała sobie sprawę, że potrzebne jest miejsce, w którym będzie się uczyć i wychowywać młode pokolenie Prodigium używające swojej mocy bez odpowiednich zabezpieczeń. Szkoła, w której młodzi nauczą się więcej o dziejach Prodigium i o straszliwych konsekwencjach ukazywania mocy zwykłym ludziom. W ten sposób powstał dwór nazwany Hekate Hall.

- Poprawczak dla potworów - mruknęłam pod nosem, wywołując atak cichego śmiechu Archera.

- Panno Mercer - powiedziała pani Casnoff tak nagle, że aż podskoczyłam. Bałam się, że objedzie mnie za gadanie, ale ona zapytała tylko: - Możesz nam powiedzieć, kim jest Hekate?

- Em, tak. To grecka bogini czarów. Pani Casnoff potaknęła.

- Zgadza się. Jest to jednak również bogini rozstajnych dróg. A to jest dokładnie to miejsce, w którym się teraz wszyscy znajdujecie. Oto - głos pani Casnoff wzrósł w siłę - demonstracja.

- Zaczyna się - mruknął Archer.

Ponownie na przodzie sali pojawiła się iskierka światła, ale tym razem nie zamieniła się w ekran. Zamiast tego przybrała kształt starszego mężczyzny, mającego około siedemdziesięciu lat. Wyglądałby on całkowicie realistycznie, gdyby nie otaczająca go lekka poświata, sprawiająca, że świecił w ciemnym pomieszczeniu. Był ubrany w robocze spodnie i flanelową koszulę, a na oczy miał nasunięty brązowy kapelusz. W opuszczonej luźno prawej ręce trzymał kosę. Przez chwilę pozostawał całkiem nieruchomy, po czym odwrócił się i zaczął kołysać kosą tuż nad ziemią, jakby ścinał nieistniejącą trawę. Było to... dość niesamowite. Jakbyśmy oglądali film, tyle że akcja działa się na żywo.

- Oto Charles Walton - oznajmiła pani Casnoff. - Czarodziej z wioski o nazwie Lower Quinton w Anglii. Żył so bie spokojnie, zarabiając nędzne grosze przycinaniem żywopłotów u miejscowego farmera. Poza tym zdarzało mu

się rzucać proste zaklęcia dla ludzi z wioski: maść na reumatyzm, jakaś magia miłosa... zwykle, nieszkodliwe czary. Ale nadszedł rok 1945, a z nim nieurodzaj w wiosce. \* Kiedy mówiła te słowa, za mężczyzną zaczęli się pojawiać inni ludzie. Była ich czwórka: zwyczajnie wyglądający ludzie w swetrach i wygodnych butach. Dwoje z nich stało do mnie tyłem, lecz widziałam niską, przysadzistą kobietę o zaczerwienionej twarzy i siwych włosach oraz chudego mężczyznę w ciemnoczerwonej czapce z nausznikami. Wyglądali jak z obrazka

na pudełku z angielskimi herbatnikami. Ale oboje mieli surowe, przerażające twarze, a w ręce mężczyzny dostrzegłam widły. - Ludzie z Lower Quinton uznali, że Charles był odpowiedzialny za klęskę nieurodzaju i... sami zobaczycie, co się stało.

Mężczyzna z widłami skoczył do przodu i chwycił Wal-tona za łokieć, wykręcając mu rękę do tyłu. Starzec był przerażony. Mimo że wiedziałam, co dalej nastąpi, nie byłam w stanie odwrócić wzroku. Patrzyłam więc, jak troje ludzi wyglądających jak z obrazka, na którym pieką ciastka albo popijają herbatkę, rzuca starszego człowieka na ziemię, a chudy mężczyzna przebija mu kark widłami.

Myślałam, że ktoś krzyknie, że ktoś w tej sali się rozplacze albo wręcz zemdleje. Wyglądało jednak na to, że wszystkich zamurowało tak samo jak mnie. Nawet Archer wyprostował się na krześle. Teraz siedział wychylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach i z zaciśniętymi pięściami.

Milutka babcia nachyliła się nad ciałem i podniosła kosę. Dokładnie w chwili, kiedy uznałam, że istotnie pożałuję zjedzenia tortu, obraz zamigotał i znikł.

Pani Casnoff uzupełniła szczegóły, których nie widzieliśmy.

- Mieszkańcy wioski, gdy **już** zadźgali pana Waltona, wryli na jego ciele znaki, które miały zabezpieczyć ich przed „złą” magią. Po półwieczu pomocy, jaką niósł swoim współmieszkańcom, ci w ten sposób odpłacili się Charlesowi Waltonowi.

Nagle pokój ożywiły obrazy i dźwięki. Tuż za panią Casnoff ludzie w czarnych ubraniach kołkowali rodzinę wampirów. Słyszałam okropne chlupoczące dźwięki, brzmiące niemal jak głośny pocałunek, kiedy drewniane kołki przebijały ich serca.

Po lewej usłyszałam głośny szczęk broni i instynktownie uchyliłam się, kiedy tuż obok mnie padł wilkołak, naszpikowany srebrnymi kulami wystrzelonymi przez staruszkę ubraną - jakby mogło być inaczej - w różową podomkę.

Czułam się tak, jakby ktoś wrzucił mnie w sam środek horroru rozgrywającego się wszędzie dookoła. W samym centrum jadalni widziałam teraz dwoje elfów z przezroczystymi szarymi skrzydłami, rzuconych na kolana przez trzech mężczyzn w brązowych szatach. Elfowie wyli z bólu, kiedy ich nadgarstki zakuto w żelazne kajdany, które natychmiast wżarły się w ciało, wypełniając pomieszczenie odorem ponuro kojarzącym się z grillem.

W ustach zaschło mi do tego stopnia, że czułam się, jakby wargi przykleiły mi się do zębów. Dlatego nie byłam w stanie nawet jęknąć, kiedy tuż koło mnie pojawiła się szubienica pełna powieszonych czarownic.

Ten obraz nie pojawił się powoli jak pozostałe, ale wyskoczył prosto spod ziemi jak diabeł z pudełka. Ciała powieszonych autentycznie podskoczyły i zaczęły obracać się w pętach, ukazując fioletowe twarze i nabrzmiące języki wystające z ust. Usłyszałam cichy krzyk, ale

nie byłam pewna, czy to ktoś z moich kolegów, czy też należało to *do* przedstawienia. Miałam ochotę zakryć oczy, ale ~~te~~ miałam ciężkie i niezdarne. Serce uwięzło mi w gardle.

Poczułam dotyk czegoś ciepłego na mojej ręce. Oderwałam wzrok od kołyszących się ciał i zobaczyłam, że to Archer nakrył moją dłoń swoją. Wpatrywał się prosto w czarownice i nagle uświadomiłam sobie, że nie były to tylko kobiety. Na szubienicy wisieli również czarnoksiężnicy. Niewiele myśląc, zacisnęłam palce na jego dłoni.

Chwilę później, kiedy miałam już pewność, że zaraz zwymiotuję, obrazy znikły, a światła w jadalni zapłonęły na nowo.

Pani Casnoff stała z przodu sali, uśmiechając się pogodnie, ale kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiały stal i lód.

- Dlatego właśnie tu jesteście. Takie mogą być konsekwencje lekkomyślnego użycia mocy w obecności ludzi I po co? - Rozejrzała się po sali. - Żeby się przypodobać? Żeby zaszpanować? - Przez moment jej wzrok spoczął na mnie, po czym mówiła dalej. - Jesteśmy prześladowani przez tych, którzy bez zastanowienia wykorzystują naszą magię, kiedy tylko im się to opłaca. A to, co właśnie oglądaliście - omiotła salę ręką, a ja nieomal zobaczyłam znów powieszono czarownice o zamglonych oczach i niebieskich wargach - to wszystko robota zwykłych ludzi. To jeszcze nic w porównaniu z osiągnięciami tych, którzy zawodowo ~~pr~~ają się tępieniem takich jak my.

Serce wciąż waliło mi jak młotem, ale przynajmniej żołądek nie groził już buntem. Archer rozparł się z powrotem wygodnie na krześle, uznałam więc, że on też się lepiej poczuł.

Pani Casnoff machnęła znów ręką i podobnie jak poprzednio pojawiły się za nią obrazy, tyle że tym razem były to nieruchome sceny, a nie piekielne filmy.

-Istnieje grupa nazywająca się Przymierzem - powiedziała tonem niemal znudzonym, wskazując na grupkę nijako wyglądających mężczyzn i kobiet w biznesowych ubraniach. Uważałam jej ton za nazbyt lekceważący jak na osobę pracującą dla rady nazywającej samą siebie Radą, ale musiałam przyznać, że nazwa Przymierze brzmiała jeszcze bardziej beznadziejnie.

-Przymierze składa się z przedstawicieli rozmaitych agencji rządowych z kilku różnych krajów. Na szczęście są do tego stopnia zaważeni robotą papierkową, że rzadko stanowią prawdziwe zagrożenie.

Obraz zbladł i agentów zastąpiły trzy kobiety z najbardziej jaskrawoczerwonymi włosami, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Oczywiście są też Brannickowie, stary irlandzki ród, który zajmował się polowaniem na „potwory” jak nas nazywają, od czasów świętego Patryka. Oto obecne przywódczyni klanu, Aislinn Brannick i jej dwie córki, Finley i Isolde. One są nieco bardziej

niebezpieczne, ponieważ ich przodkinią była Maeve Brannick, niezwykle potężna biała czarodziejka, która zwróciła się przeciwko swoim i przyłączyła do Kościoła. Brannickowie mają w związku z tym nieco więcej mocy niż zwyczajni ludzie.

Pani Casnoff ponownie machnęła ręką i kobiety znikły.

- No i jest oczywiście najpotężniejszy z naszych wrogów - ciągnęła, a nad jej głową pojawił się czarny obraz.

Chwilę zajęło mi dostrzeżenie, że jest to oko. Ale nie prawdziwe oko - raczej coś w rodzaju stylizowanego wzoru tatuażu. Było całe czarne z wyjątkiem ciemnozłotej tęczówki.

-L'Occhio di Dio. Oko Boga - powiedziała pani Casnoff, a wszyscy zebrani wydali zbiorowy jęk.

-Co to jest? - zapytałam szeptem Archera.

-Odwrócił się do m n i e . Na jego ustach igrał znów ten sarkastyczny uśmiezek, uznałam więc, że nasze wcześniejsze kumpelstwo się skończyło, Co niemal natychmiast potwierdziły jego słowa.

- Nie umiesz rzucić zaklęcia blokującego i nigdy nie słyszałaś o L' Occhio? Dziewczyno, co z ciebie za czarownica?

Miałam na końcu języka wyjątkowo obraźliwą uwagę, w której występowała jego matka, ale zanim zdążyłam ją rzucić, odezwał się znów głos pani Casnoff.

- L'Occhio di Dio stanowi największe zagrożenie dla Prodigium. To mająca siedzibę w Rzymie organizacja, której jedynym celem jest zmiecenie nas wszystkich z powierzchni ziemi. Uważają samych siebie za nieskazitelnych rycerzy, nas zaś za zło, które trzeba wyplenić. Tylko w zeszłym roku śmierć z ich ręki poniosło ponad tysiąc przedstawicieli Prodigium.

Wpatrywałam się w Oko i czułam, że dostaję gęsiej skórki. Przypomniałam sobie, dlaczego ten symbol wydał mi się znajomy. Widziałam go w jednej z książek mamy. Miałam może trzynaście lat i po prostu bezmyślnie przerzucałam kartki, podziwiając kolorowe obrazki ze sławnymi czarownicami. Nagle zobaczyłam obraz przedstawiający egzekucję czarownicy w Szkocji, około 1600 roku. Scena była tak straszna, że nie mogłam oderwać od niej wzroku. Wciąż miałam przed oczami obraz kobiety leżącej na plecach, przywiązanej do deski. Jej jasne włosy spływały na ziemię, a na twarzy malował się wyraz przerażenia. Nad nią pochylał się ciemnowłosy mężczyzna ze srebrnym sztyletem w ręce. Nie miał koszuli, a na jego piersi widniał tatuaż -czarne oko ze złotą tęczówką.

- W przeszłości potrafiliśmy przeciwstawić się tym grupom, bo działały w pojedynkę, a na dodatek były ze sobą mocno skłócone. Obecnie słyszy się, że chcą zawrzeć jakiś układ. Jeśli to

się stanie... - Westchnęła. - Ujmijmy to tak: nie możemy dopuścić, żeby do tego doszło.

Obraz Oka przybladł, a pani Casnoff klasnęła w ręce.

- Dobrze. Wystarczy. Jutro czeka w a s ciężki dzień, więc tyle na dziś. Za pół godziny gasimy światło.

Sprawiała wrażenie tak pogodnej i praktycznej, że zastanawiałam się, czy całe to przedstawienie, podczas którego powiedziała nam w zasadzie tyle, że wszyscy jesteśmy skazani na zagładę, mi się nie przyśniło. Niemniej wystarczyło jedno spojrzenie na pozostałych, żeby przekonać się, że moi koledzy byli równie zszokowani i zmieszani jak ja.

- No - powiedział Archer, uderzając się dłońmi po udach. - To było coś nowego.

Zanim jednak zdążyłam zapytać, co miał na myśli, podniósł się z krzesła i znikł w tłumie uczniów.

## ROZDZIAŁ 8

Archer stawiał tak wielkie kroki, że musiałam prawie biec, żeby go dogonić.

Udało mi się, kiedy był już w połowie schodów.

- Cross! - zawołałam. Jakoś nie potrafiłam powiedzieć na głos „Archer”. Cóż za staromodne imię! Czułabym się chyba jak w jakimś dziewiętnastowiecznym teatrze: „Drogi Archerze! Czy zechciałby pan wypić ze mną filiżankę herbaty?”

Zatrzymał się na stopniach i odwrócił do mnie. O dziwo, nie miał szyderczej miny.

- Mercer - odpowiedział, aż przewróciłam oczami.

- Słuchaj, co miałeś na myśli, mówiąc „to było coś nowego”? Myślałam, że już raz przez to przeszedłeś.

Zszedł kilka stopni na dół.

- Owszem - odpowiedział, stając zaledwie dwa stopnie nade mną. - Trzy lata temu, kiedy miałem trzynaście lat. Mój pierwszy rok. Ale wtedy to wyglądało inaczej.

W jakim sensie inaczej?

Wzruszył ramionami, garbiąc się przy tym, jakby ciążyła mu marynarka.

- Zawsze był pokaz o Charlesie Waltonie, to ich ulubiony kawałek. I ten zastrzelony wilkołak. I może jedna czy dwie elfki na stosie. Ale nie było aż tylu obrazów. I nie zawsze były takie. - Obrzucił mnie wzrokiem, jakby coś oceniał. - Żadnych powieszonych czarownic i czarnoksiężników. Muszę przyznać, że jestem pod niejakim wrażeniem.

Skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam na niego ponuro.

-Pod wrażeniem czego?

-Kiedy oglądałem to przedstawienie trzy lata temu, pobiegłem do tego małego kibelka -

wskazał na niewielkie drzwiczki po drugiej stronie holu - i rzygałem dalej, niż widzę. To, co zobaczyłem dziś, było znacznie gorsze, a ty nawet nie pobladałaś, jesteś twardsza, niż myślałem.

Z trudem przyszło mi nie roześmiać się. Na twarzy wyglądałam może na spokojną, ale w żołądku wciąż mi się kotłowało. Obraz przepychanki wśród moich narządów wewnętrznych rozbawił mnie na moment, więc rzuciłam Archerowi spojrzenie, które w zamierzeniu miało wyrażać chłodną nonszalancję.

- Po prostu nie wierzę w to wszystko.

Uniósł jedną brew, budząc we mnie dziką zazdrość. Nigdy nie potrafiłam tak zrobić. Zawsze unosiłam obie i w y glądałam na zaskoczoną albo przestraszoną zamiast na sarkastyczną.

-Nie wierzysz w co wszystko?

-W to, że ludzie chcą nas pozabijać na wszystkie te paskudne sposoby.

-Mam wrażenie, że historia stanowi niezłe potwierdzenie tej tezy, Mercer. Przecież ludzie wytlukli mnóstwo własnych pobratymców, usiłując się nas pozbyć.

-- Tak. ale to było dawno - upierałam się, - Wtedy, kiedy wierzyli również, że wywiercenie ci dziury w czaszce albo upuszczenie krwi może uleczyć chorobę. Ludzie są teraz znacznie mądrzejsi.

-Doprawdy? Znow ten sarkastyczny wyraz twarzy. Zastanawiałam się, czy wszystkie mięśnie go bolą, jeśli długo się tak nie krzywi.

-Słuchaj - powiedziałam - moja mama jest człowiekiem, tak? I kocha Prodigium. Nigdy by nikogo z nas nie skrzywdziła. Ona ma nawet...

- Córkę. -Co?

Westchnął głęboko i przerzucił sobie marynarkę przez ramię, przytrzymując ją czubkiem palca wskazującego. Myślałam, że robią tak tylko modele z GAP-a.

- Twoja mama może być świetną osobą, okej, ale czy ty naprawdę wierzysz, że zachwycalaby się tak czarownicami, gdyby nie miała jednej na wychowaniu?

Chciałam odpowiedzieć, że tak. Naprawdę chciałam. On jednak miał rację. Niewykluczone, że mama została specjalistką od potworów ze względu na mnie, ale przecież od taty uciekła, gdy tylko wyznał, czym jest.

- Masz rację - powiedział Archer nieco łagodniejszym tonem. - Ludzie nie są tacy jak kiedyś. Ale wszystko to, co oglądaliśmy, było prawdą, Mercer. Ludzie zawsze się nas bali. Zawsze zazdrościli nam mocy. Nigdy nie ufali naszym motywom.

- Nie wszyscy - odparłam, ale nie zabrzmiało to przekopująco, bo pomyślałam o Felicii wrzeszczącej w hysterii: „To ona! To czarownica!”.

Archer wzruszył ponownie ramionami. Może nie. Ty żyłaś po trochu w obu światach, ale to

już niemożliwe. Teraz jesteś w Hekate.

Te słowa zabolęły. Nigdy nie przyszło mi do głowy że jestem inna, że większość dzieci Prodigium dorastała w domach, gdzie oboje rodzice byli tacy jak oni. Na dodatek część tych dzieciaków praktycznie nie miała kontaktów z ludźmi, od kiedy obudziła się ich moc. Mimo że czułam przenikający mnie dreszcz, powiedziałam:

-Tak, ale...

-Archie!

Na podeście nad nami stała Elodie z jedną ręką wspartą na swoim niemal nieistniejącym biodrze. Zazwyczaj kiedy taka scena zdarza się w filmach, zakochana patrzy na tę drugą dziewczynę zielona z zazdrości, ale ponieważ Elodie była boginią, a ja, no cóż, niekoniecznie, widać było, że czuje się całkowicie niezagrożona przez moją osobę. Wyglądała raczej na znudzona.

- Już idę, El - zawołał do niej Archer.

Elodie wykonała zestaw przewracanie oczami plus odgarnianie włosów, plus machnięcie ręką, który wychodzi tylko pięknym dziewczynom złym na swoich chłopaków, i wróciła na drugie piętro. Uznałam, że nieco za bardzo kołysała biodrami, ale to w końcu kwestia gustu.

-, „Archie”? - zapytałam, gdy już znikła, starając się wykonać tę sztuczkę z jedną brwią. Jak zwykle, nie wyszło mi, więc zapewne wyglądałam po prostu na zaskoczoną.

-Do zobaczenia, Mercer. - To była cała jego odpowiedź.

Ale kiedy tylko się odwrócił, nie wytrzymałam.

- Nie uważasz, że czasem mogą mieć rację? - wypaliłam.

Spojrzał na mnie.

- Kto?

- Ci ludzie. Przymierze i te dziewczyny z Irlandii Oko -odpowiedziałam.- To znaczy wszystko to, co oglądaliśmy.

było o k r o p n e, czasem Prodigium też bywa niebezpieczne.

Przez moment patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Z początku myślałam, że jest na mnie wściekły, ale nagle uświadomiłam sobie, że w jego wzroku nie ma złości. Raczej jakby. .. nie wiem... lustrował mnie czy coś w tym rodzaju.

Poczułam, jak od mojego żołądka do policzków wędruje fala ciepła. Nie wiem, czy to zauważył, ale uśmiechnął się do mnie, tym razem naprawdę, a ja autentycznie miałam wrażenie, że oddech uwiązał mi w piersi. Tak samo czułam się w czwartej klasie, kiedy Suzie Strelzyck wyzwała mnie, żebym zanurkowałam głęboko, aż do dna basenu. Udało mi się, ale kiedy odbijałam się ku powierzchni, poczułam taki ucisk w klatce piersiowej, jakbym trafiła do zgniatarki. A kiedy się wynurzyłam, miałam zawroty głowy.



Tak właśnie się czułam teraz, patrząc Archerowi Crossowi prosto w oczy.

Zszedł po dwóch stopniach, które nas dzieliły, aż stanęliśmy obok siebie. Nadal musiałam zadzierać głowę, ale teraz przynajmniej nie drętwiał mi kark. Nachylił się tak blisko, że poczułam znów ten mydlany zapach.

- Na twoim miejscu nie mówiłbym takich rzeczy w tym miejscu, Mercer - szepnął.

Czułam na policzku jego ciepły oddech i jakkolwiek nie dałabym sobie za to uciąć głowy, miałam wrażenie, że trzepoczę rzesami.

Ale tylko troszeczkę.

Patrzyłam, jak wielkimi susami przeskakuje schody, zaciskałam zęby, powtarzając w myślach jak mantrę: Nie zakocham się w Archerze Crossie, nie zakocham się w Archerze Crossie, nie zakocham się...

Kiedy wróciłam do sypialni, Jenna siedziała po turecku na łóżku, czytając książkę.

Westchnęłam ciężko i oparłam się o drzwi, zamykając je z głośnym stukiem.

-Co się stało? Ruchome obrazki cię zdołowały? - spytała Jenna, nie podnosząc nawet wzroku.

-Nie. To znaczy tak, oczywiście. To wszystko jest pokręcone.

- Aha - potaknęła Jenna. - Coś jeszcze?

~ Chyba się zadurzyłam w Archerze Crossie. Jenna roześmiała się,

- Ale jesteś oryginalna. Rzuciłam się na łóżko.

- Dlaczego? - jęknęłam w poduszkę, po czym przewróciłam się na plecy i wbiłam wzrok w sufit. - No dobra, on jest słodki. Wielkie mi halo. Inni też są słodcy.

Najwyraźniej przeszkadzałam Jennie w lekturze tym marudzeniem o chłopakach, ponieważ wyprostowała nogi, wstała i usiadła na skraju swojego biurka.

- Archer nie jest słodki - poprawiła mnie. - Słodkie to są szczeniaczki. Albo dzieciaczki. Ja jestem słodka. Archer Cross jest cholernie atrakcyjny. A ja nawet nie gustuję w chłopakach.

Okej, wyglądało na to, że Jenna niewiele mi pomoże w kwestii mojego zadurzenia.

-On jest świrem - zauważyłam. - Pamiętasz tę sprawę z wilkołakiem dziś rano?

-Owszem - odparła sucho Jenna. - Uratował cię przed wilkołakiem. Co za odwaga.

Jęknęłam.

-Wcale mi nie pomagasz.

-Sorry.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, ja kontemplując podejrzenie wyglądającą plamę pleśni na suficie, Jenna opierając się na łokciach i bębniąc stopą w szuflady biurka. Zza okna dobiegało wycie. Była pełnia, więc zmienni mogli pobiegać po ogrodach. Zastanawiałam się, czy Taylor też tam jest.

- O! - wykrzyknęła nagle Jenna, prostując się tak nagle, że zrzuciła swój kubek z

długopisami. - Jego dziewczyna ~~jest~~ skończoną suką!

- Owszem! - potaknęłam, siadając i wskazując na nią palcem. - Dzięki! Okropne dziewczynisko, które już mnie nienawidzi, ot co. A chłopak, który z własnej woli spędza czas z Elodie, nie zasługuje na sympatię.

- święta prawda - powiedziała Jenna, kiwając ze zrozumieniem głową.

Poczułam się lepiej, więc przewróciłam się z powrotem na brzuch i wzięłam książkę z nocnego stolika.

- To jednak dziwne - stwierdziła Jenna.

- Co?

-Archer i Elodie. Ona łąziła za nim przez cały zeszły rok, ale on nawet na nią nie spojrział. Nigdy, rozumiesz. A potem wraca, gdziekolwiek był, i ta-dam! Nagle są parą. To dziwne.

-Nie tak bardzo - odparłam. - Wiesz, ona jest niezwykle piękna. Może w końcu odezwały się w nim hormony.

-Może - powiedziała Jenna, opierając podbródek na dłoni - Ale jednak. Archer jest nie tylko przystojny, ale też inteligentny i fajny. A Elodie jest głupia i nudna.

-I seksowna - dopowiedziałam. - A nawet najinteligentniejsi faceci głupieją przy seksownych dziewczynach.

- Prawda - potaknęła Jenna.

Miałam właśnie wrócić do kwestii Holly, kiedy w pokoju rozległ się głos Casnoff, prawie jakby miała tu radiowęzł. Domyśliłam się, że to jakiś rodzaj zaklęcia wzmacniającego.

- Panie i panowie, ze względu na jutrzejszy dzień pełen ~~zajęć~~ zająć powinniście dziś iść wcześniej spać. Za dziesięć minut ~~gasi~~ zgasnie światło.

Spojrzałam na zegarek.

- Dopiero ósma - powiedziała z niedowierzaniem. - Ona posyła nas do łóżek o ósmej?

Jenna podeszła z westchnieniem do swojej szafki i wyciągnęła piżamę.

- Witaj w Hekate, Sophie.

Wszyscy rzucili się do łazienek, żeby umyć zęby. A raczej

tylko zmiennokształtne i czarownice. Podejrzewam, że elfo-wie mają z natury czyste zęby.

Gdy już wróciłam, zostały mi tylko trzy minuty, żeby włożyć piżamę i wskoczyć do łóżka.

Dokładnie o ósmej dziesięć światło zgasło.

W mojej głowie kotłowały się tysiące myśli i nie byłam pewna, czy w ogóle uda mi się zasnąć.

-To dla ciebie dziwne chodzić spać w nocy? - zapytałam Jennę. - Wiesz, wampiry ponoć śpiąją za dnia.

-Owszem - odparła. - Ale póki tu jestem, muszę żyć zgodnie z regulaminem Hekate. Będę

najszczęśliwsza pod słońcem, jak wreszcie się stąd wyrwę.

Nie zapytałam jej, k i e d y będzie miała na to szansę. Z Hekate odchodzi się w wieku osiemnastu lat, ale my wszyscy dorastamy jak zwykli ludzie. Jenna na zawsze pozostanie piętnastolatką.

Ułożyłam się na łóżku i usiłowałam myśleć o czymś działającym nasennie. Miałam wrażenie, że ledwie zamknęłam oczy, kiedy obudziło mnie skrzypienie drzwi.

Usiadłam w panice z bijącym mocno sercem. Na zegarku stojącym obok łóżka było kilka minut po północy.

Do pokoju wsunęła się ciemna postać.

Krzyknęłam.

- Wyluzuj - mruknęła Jenna ze swojego łóżka. - To pewnie któryś z duchów. One tak czasem mają.

W tej samej chwili usłyszałam cichy trzask zapalającej się zapałki i niewielka plama światła wydobyła z ciemności zarys postaci.

Elodie.

Miała na sobie piżamę z fioletowego jedwabiu, a w ręce trzymała czarną świecę. Zapłonęły dwie następne świece i zobaczyłam Chaston i Annę, stojące za koleżanką.

- Sophie Mercer - zaintonowała Elodie - przybyliśmy, aby wprowadzić cię do naszego bractwa. Wypowiedz pięć słów, aby rozpocząć rytuał.

Zamrugłam oczami ze zdumienia.

- Jaja sobie ze mnie robicie? Anna westchnęła z irytacją.

-Nie. Właściwe pięć słów brzmi: „Przyjmuję wasze zaproszenie, o siostry”.

Odgarnęłam włosy z twarzy.

-Mówiłam wam już, że nie jestem pewna, czy chcę dołączyć do waszego sabatu. Dlatego nie zamierzam nic mówić ani rozpocząć żadnych rytuałów.

-Wypowiedzenie pięciu słów nie oznacza, że zostajesz automatycznie członkinią - powiedziała Chaston, robiąc krok do przodu. - Oznacza jedynie, że można rozpocząć rytuał przyjęcia. Możesz się wycofać w każdej chwili.

-Och, zgódź się - odezwała się Jenna. W świetle świec widziałam, że usiadła na łóżku, a w jej ciemnych oczach czaiła się nieufność. - One nie dadzą ci spokoju, zanim tego nie usłyszysz.

Elodie zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała.

- Dobra - odrzekłam, zrzucając kołdrę i wstając z łóżka. -Przyj... przyjmuję wasze zaproszenie, o siostry.

## ROZDZIAŁ 9

Cała trójka poprowadziła mnie do pokoju Elodie i Anny.

- Jak udało się wam razem zamieszkać? - spytałam szeptem. - Myślałam, że w Hekate bardzo dbają o to, żebyśmy uczyli się żyć razem z innymi Prodigium.

Elodie szukała czegoś w biurku i nie zwracała na mnie uwagi, więc odpowiedziała Chaston.

- Czarownice czasem mieszkają razem, ponieważ zawsze jest nas więcej niż elfów i zmiennych.

- Dlaczego?

Anna odpowiedziała, zapalając kolejne świece, których blask skapał pokój w miękkiej poświacie.

- Elfowie i zmienni nie mieszkają się ze światem ludzi w takim stopniu jak czarnoksiężnicy czy czarownice. Mają mniejsze szanse na zesłanie w to miejsce.

Elodie znalazła w szufladzie kawałek kredy i rysowała teraz pracowicie na drewnianej podłodze wielki pentagram. Kiedy skończyła, obrysowała go kółkiem.

- Ten rytuał powinien odbyć się na zewnątrz, najlepiej w kręgu drzew - oznajmiła, siadając u szczytu pentagramu. Chaston i Anna usiadły po jej obu stronach, mnie więc pozostało miejsce naprzeciwko. - Ale nam nie wolno chodzić do lasu. Pani Casnoff ma fioła na tym punkcie.

Siedziałyśmy we cztery wokół pentagramu, trzymając się za ręce. Zastanawiałam się, czy zaraz zaczniemy śpiewać ogniskowe piosenki.

- Jakim pierwszym czynem magicznym obdarzyłaś wszechświat, Sophie? - spytała Elodie.

- Że co?

- Jakie było twoje pierwsze zaklęcie - wyjaśniła Chaston, nachylając się do przodu, aż jasne włosy rozsypały się jej na ramionach. - Pierwsze zaklęcie to święta rzecz dla czarownicy. Kiedy ja miałam dwanaście lat, wywołałam t r z y d n i o - w ą burzę. A Anna zatrzymała czas na... na jak długo?

- Dziesięć godzin - oznajmiła Anna.

Spojrzałam przez okąg na Elodie. W jej oczach odbijały się płomyki świec.

- A ty? - spytałam.

- Zmieniłam dzień w noc. - Och.

- No więc jak to było z tobą, Sophie? - spytała z zaciekawieniem Chaston.

Przez moment rozważałam kłamstwo. Mogłam powiedzieć, że zamieniłam kogoś w kamień albo coś w tym rodzaju. Ale z drugiej strony, jeśli dowiedzą się, jaką jestem beznadziejną czarownicą, może dadzą mi spokój z tym całym sabatem.

- Zrobiłam sobie fioletowe włosy. Poczulałam na sobie trzy identyczne spojrzenia.

- Fioletowe? - zapytała Anna.

- Nie zrobiłam tego celowo - wyjaśniłam. - Usiłowałam je rozprostować, ale coś musiałam

zrobić nie tak, bo zmieniły kolor na fioletowy. Ale tylko na trzy tygodnie. Więc... tak, to był mój pierwszy wyczyn magiczny.

Zapadło milczenie. Anna i Chaston wymienili spojrzenia.

- Może już sobie pójdę? - zaproponowałam.

- Nie! - krzyknęła Chaston, ściskając moją rękę.

- Nie, nie idź - poparła ją Anna. - No więc twoje pierwsze zaklęcie było... w sumie głupie. Ale potem zrobiłaś coś poważniejszego, prawda? - Pokiwała do mnie głową z zachętą.

- Coś, co cię tu przyprowadziło - dodała Elodie, która siedziała idealnie wyprostowana, z błyszczącymi oczami. - To musiało być coś.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Zaklęcie miłosne.

Anna i Chaston westchnęły jednocześnie i wypuściły moje dłonie.

- Zaklęcie miłosne? - Elodie parsknęła z pogardą.

- A wy? - Przebiegłam wzrokiem po całej trójce. - Co wy zrobiliście takiego, że wylądowałyście w Hekate?

Anna odezwała się jako pierwsza.

- Zmieniłam chłopaka w szczura na lekcji angielskiego. Chaston wzruszyła ramionami.

- Mówiłam już. Wyprodukowałam trzydniową burzę.

Elodie wbiła na moment wzrok w podłogę. Kiedy podniosła głowę, miała spokojny wyraz twarzy. Rzekłabym, że wręcz rozluźniony.

- Sprawiałam, że jedna dziewczyna zniknęła. Przełknęłam ślinę.

- Na jak długo? - Na zawsze.

Teraz ja wzięłam głęboki oddech.

- A więc wszystkie trzy rzuciłyście zaklęcia, które skrzywdziły ludzi.

- Nie - odparła Anna. - Rzuciłyśmy potężne zaklęcia, stosowne do tego, czym jesteśmy. Ludzie po prostu... weszli nam w drogę.

Miałam dość. Wstałam z podłogi.

- Okej, w takim razie, dzięki za zaproszenie, ale... tak. Nie sądzę, żeby było nam ze sobą po drodze.

Chaston chwyciła mnie ponownie za rękę.

- Nie, nie idź - powiedziała. Jej szeroko otwarte oczy lśniły w świetle świec.

- Niech idzie - powiedziała Elodie z niesmakiem. - Najwyraźniej uważa się za lepszą od nas.

- No, tego nie powiedziałam...

- Ale przecież potrzebujemy czwartej - wtrąciła się Chaston.

- Nie, jeśli ta czwarta ma być dla nas ciężarem - odparowała Elodie. |,

- To jedyna mroczna w okolicy. Potrzebujemy jej - powiedziała cicho Anna. - Bez czwartej nie będziemy w stanie tego utrzymać.

- Utrzymać czego? - zapytałam.

-Zamknij się, Anno - syknęła w tym samym momencie Elodie.

-I tak nie zadziałało - powiedziała ponuro Chaston.

- Ej, dziewczyny, czy wy gadacie jakimś kodem czy co? - spytałam.

- Nie - odrzekła Elodie, podnosząc się. - Rozmawiamy o sprawach sabatu. Sprawach, które ciebie nie dotyczą.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ktoś patrzył na mnie z taką złością. Wprawilo mnie to w niejakie zakłopotanie. Oczywiście i tak zamierzałam odrzucić zaproszenie do sabatu, ale nie chciałam, żeby to wyszło jak plucie im w twarz czy coś w tym stylu.

- Przepraszam, jeśli zraniłam wasze uczucia - powiedziałam - ale... no, to nie chodzi o was, tylko o mnie.

Ależ to oryginalne, Sophie.

Anna i Chaston wstały. Anna patrzyła na mnie spode łba, ale Chaston wyglądała na autentycznie zaniepokojoną.

- Ty też nas potrzebujesz, Sophie - powiedziała. - Nie będzie ci łatwo bez opieki sióstr.

- Opieki?

- Naprawdę myślisz, że ludzie przyjmą cię tu z otwartymi ramionami? - spytała Elodie. - Dzięki tej pijawce jako współlokatorce i twojemu ojcu masz tu szansę zostać pariasem bez naszego wsparcia.

Poczułam ucisk w żołądku.

- O co chodzi z moim tatą? Wszystkie trzy wymieniły spojrzenia.

- Ona nic nie wie - mruknęła Elodie. -Czego nie wiem?

Chaston zamierzała odpowiedzieć, ale Elodie ją powstrzymała.

- Niech sama się dowie. - Otworzyła drzwi. - Życzę szczęścia w przeżyciu w Hekate, Sophie. Będzie ci potrzebne.

Najwyraźniej zostałam odprawiona.

Byłam tak zajęta myślą o tacie, że wlałam w sam środek pentagramu, przewracając jedną ze świec. Syknęłam, gdy gorący воск polał mi się na gołą stopę. Mogłabym przysiąc, że usłyszałam chichot Anny.

Pokuśtykałam do drzwi. Zanim wyszłam, odwróciłam się jeszcze raz do Elodie, która nie spuszczała ze mnie kamiennego wzroku.

- Przepraszam - powtórzyłam. - Nie wiedziałam, że odmowa uczestnictwa w sabacie to taka wielka sprawa.

Przez moment miałam wrażenie, że mi nie odpowie. Ale odrzekli cicho:

- Przez trzy lata żyłam w świecie ludzi, gdzie uważano mnie za potwora. Nikt nigdy więcej nie będzie mnie tak traktował. - Zmrużyła zimne zielone oczy. - A już z pewnością nie taka ciućma jak ty.

Po czym zatrzasnęła mi drzwi tuż przed nosem.

Stałam na korytarzu, boleśnie świadoma dźwięku własnego oddechu. Czy ja na nią patrzyłam tak, jakby była potworem? Pomyślałam o tym, jak się czułam, kiedy powiedziała o zniknięciu tej nieszczęsnej dziewczyny.

Tak, zapewne właśnie tak na nią popatrzyłam.

- Dobra, DOSYĆ! - rozległ się czyjś krzyk.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i z pokoju wypadła Taylor. Miała na sobie za dużą koszulę nocną, jej włosy były w nieładzie. A w ustach znów widać było kły.

- WYNOCHA! - krzyknęła, wskazując na korytarz.

Przez otwarte drzwi widziałam Nauzykaę, Siobhan i kilka innych elfek siedzących po turecku na podłodze. W środku kręgu jaśniało zielone światło, ale nie miałam pojęcia, co to takiego.

Cała grupka wstała.

- Nie możesz mi zabronić odprawiania rytuałów mojego ludu - oznajmiła Nauzykaa.

Taylor odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie, ale mogę powiedzieć Casnoff, że wasza czwórka usiłowała skontaktować się z Dworem Seelie za pomocą tego lustreczka.

Nauzykaa zmarszczyła czoło i pochyliła się, żeby podnieść lśniąca szklaną obręcz.

- To nie żadne lustreczko. To rosa zebrana z nocnych kwiatów znalezionych na najwyższym wzniesieniu w...

-1 CO-Z-TEGO! - wrzasnęła Taylor.- O ósmej mam klasyfikację zmiennokształtnych, a nie jestem w stanie spać, kiedy to wasze głupie lustreczko świeci mi w twarz.

Siobhan pochyliła się, błękitne włosy opadły jej na twarz i szepnęła coś Nauzykai do ucha.

Nauzykaa potaknęła i skinęła na pozostałe elfki.

- Chodźcie. Będziemy kontynuować w jakimś mniej... prymitywnym miejscu.

Taylor przewróciła oczami.

Elfki przemknęły obok mnie. Siobhan rzuciła mi pogardliwe spojrzenie, po czym wszystkie zamieniły się w świetlne kręgi wielkości mniej więcej piłek tenisowych i spłynęły do holu.

- Powodzenia, świruski - mruknęła Taylor pod nosem, po czym zwróciła się do mnie z promiennym uśmiechem. Jej kły prawie już znikły, ale oczy wciąż płonęły złotem. -Cześć.

- Cześć - odpowiedziałam słabym głosem, machając do niej ręką.

- Co ty tu właściwie robisz?

Skinęłam głową ku drzwiom pokoju Elodie.

- No wiesz, udzielam się towarzysko. A ty nie powinnaś być na zewnątrz, biegać po lesie czy... no wiesz?

Taylor nie kryła zdziwienia.

- Nie, to tylko łaki.

- To jest jakaś różnica? Przyjazny wyraz twarzy znikł.

- Tak - rzuciła. - Ja jestem zmiennokształtna. To znaczy, że zmieniam się w prawdziwe zwierzę. Łaki to coś pośredniego między zwierzętami a ludźmi. - Wzdrygnęła się. - Świry.

- Nie słuchaj jej - rozległ się warkot za moimi plecami.

Wilkołaczycza była większa niż Justin, a jej futro mieniło się bardziej czerwienią niż złotem. Stała po drugiej stronie korytarza, tuż przy schodach.

- Zmienni nam zazdroszczą, bo my jesteśmy znacznie potężniejsi - ciągnęła, opierając się o ścianę. Była to bardzo ludzka postawa, co sprawiało, że wyglądała jeszcze groźniej.

Wciągnęłam powietrze i cofnęłam się pod drzwi Elodie. Taylor nie wyglądała na przestraszoną, a raczej zirytowaną.

- Wmawiaj to sobie, Beth. - Po czym zwróciła się do mnie. - Do zobaczenia jutro, Sophie.

- Do zobaczenia.

Wilkołaczycza stała nadal na końcu korytarza z wywieszonym językiem i lśniącoymi oczami. Musiałam ją wyminąć, żeby dostać się do mojego pokoju.

Zbliżając się do niej, starałam się iść spokojnym krokiem. Stopa wciąż piekła mnie od oparzenia woskiem, ale przynajmniej już nie kuląłam.

Kiedy podeszłam, zmienna zaskoczyła mnie, wyciągając wielką łapę, zakończoną groźnie wyglądającymi pazurami. Przez moment obawiałam się, że zamierza mnie wybebeszyć. Ale ona się odezwała:

- Mam na imię Beth. - A ja zdałam sobie sprawę, że powinnam uścisnąć jej łapę.

Co ochoczo uczyniłam.

- Sophie.

Uśmiechnęła się. Wyglądała przerażająco, ale to w końcu nie jej wina.

- Miło mi poznać - powiedziała niskim głosem. Okej, nie było wcale tak źle. Dam sobie radę.

A więc

może ona kogoś zjadła. Nie sprawiała wrażenia, jakby miała ochotę...

Zanurzyła pysk w moich włosach i drżąc, wciągnęła głęboko powietrze.

Z jej otwartej paszczy spłynęła na moje gołe ramię ciepła ślina.

Starałam się zachować całkowity spokój i po chwili Beth mnie puściła.



Wzdrygnęła się gwałtownie.

- Przepraszam. Wilkołacze zwyczajnie.

- Spoko - odparłam, mimo że jedyne, co myślałam, to: „Ślina! Wilkołacza ślina! Na mojej skórze!”.

- Do zobaczenia! - zawołała, kiedy pobiegłam dalej.

- Jasne! - rzuciłam przez ramię.

Wpadłam do pokoju, podeszłam do biurka i chwyciłam całą garść chusteczek higienicznych.

- Bue, bue, bue! - jęczałam, trąc nimi po ramieniu. Gdy już się wytarłam, zapaliłam lampkę, żeby poszukać czegoś do odkażenia rąk.

Przypomniałam sobie o Jennie i spojrzałam w kierunku jej łóżka.

- Przep...

Moja współlokatorka siedziała na pościeli z workiem krwi przyciśniętym do ust. Oczy miała czerwone.

- Przepraszam - dokończyłam słabym głosem. - Za lampkę.

Jenna opuściła worek, rozsmarowując sobie krew na brodzie.

- Północna przekąska. Założyłam... że nie będzie cię przez chwilę - powiedziała cicho. Czerwień powoli odpływała z jej oczu.

- Nie ma problemu - powiedziałam, opadając na krzesło. W żołądku mi się przewracało, ale nie chciałam, żeby Jenna to zauważyła. Przypomniały mi się słowa Archerà: „Teraz jesteś w Hekate”.

Ludzie, dzisiejsza noc jest na to mocnym dowodem.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale to nie jest najdziwniejsza rzecz jaką oglądałam tej nocy. Otarła podbródek wierzchem dłoni wciąż unikając mojego spojrzenia.

- No i co, dołączyłaś do sabatu?

- O, absolutnie nie - odparłam.

Teraz na mnie popatrzyła, najwyraźniej zaskoczona.

- Dlaczego nie?

Przetarłam oczy. Nagle poczułam straszne zmęczenie.

- To nie w moim stylu.

- Pewnie dlatego, że nie jesteś okrutną ślicznotką.

- Tak, obawiam się, że mój kompletny brak okrutnej urody był gwoździem do trumny. A potem widziałam, jak zmienna wypędza grupkę elfek... Och, tak nawiasem mówiąc, co to u diabła jest Seelie?

- Dwór Seelie? Grupa dobrych elfów, które posługują się białą magią.

- Nie chciałabym w takim razie spotkać tych złych \* mruknęłam.

lenna wskazała na chusteczki trzymane przeze mnie w ręce. - O co chodzi z tym?

- Co? Ach, ta Po kłótni z elfkami w il koła czy ca obwączała mi włosy i całą mnie obśliniła.

To była upiorna noc

- A na koniec wróciłaś do pokoju, gdzie zastałaś obzerającą się wampirzycę - dodała Jen na beztrasko, ale w rekach miętosiła kołdrę w kolorze „elektrycznej truskawki”.

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Wiesz, wilkołaki muszą się ślinić, wampiry muszą się pożywiać...

Roześmiała się, po czym podniosła z powrotem worek z krwią.

- Będiesz miała coś przeciwko... - zapytała nieśmiało. Znów zrobiło mi się niedobrze, ale zmusiłam się do

uśmiechu.

Smacznego. Opadłam na łóżko. ~ One się na mnie nieźle wściekły, lenna przestała na moment chleptać. -Kto?

- Sabat. Powiedziały, że będę potrzebować ich ochrony, żeby nie stoczyć się społecznie z powodu, no...

- Tego, że ze mną mieszkasz? Usiadłam.

- Ta, o tym też wspomniały. Ale przede wszystkim powiedziały coś o moim tacie.

- Ha - powiedziała w zamyśleniu Jenna. - Kim jest twój tato?

Położyłam się z powrotem, podkładając sobie poduszkę pod głowę.

- Zwyczajnym czarnoksiężnikiem, z tego co wiem. Nazywa się James Atherton.

- Nigdy o nim nie słyszałam - odparła Jenna. - Ale ja nie jestem szczególnie na bieżąco.

Myślisz więc, że Elodie i tamte dziewczyny są na ciebie wściekłe?

Przypomniał mi się wyraz twarzy Elodie.

- O, tak - powiedziałam cicho. Nagle Jenna wybuchnęła śmiechem. -Co?

Potrząsnęła głową, aż różowy kosmyk opadł jej na oko.

- Tak sobie myślę. Wiesz co, Sophie, to twój pierwszy dzień, a już zdążyłaś się zaprzyjaźnić ze szkolnym wyrzutkiem, wkurzyć najbardziej wpływowe dziewczyny w Hekate i zadurzyć się po uszy w najseksowniejszym chłopaku. Jeśli do tego jutro zarobisz jakąś karę, to staniesz się legendą.

## ROZDZIAŁ 10

Jeśli przyjąć definicję Jenny, potrzebowałam półtora tygodnia, żeby zostać legendą. Pierwszy tydzień minął w sumie spokojnie. Przede wszystkim lekcje były bardzo łatwe. Większość z

nich wyglądała tak, jakby stanowiły pretekst dla naszych nauczycieli, żeby nas zagadać na śmierć. Nawet Lord Byron, na którego zajęcia bardzo się napaliłam, okazał się straszliwym nudziarzem. Kiedy nie płał się poetycko we własnej wspaniałości, siedział posepnie za biurkiem i powtarzał, żebyśmy się zamknęli, aczkolwiek kilka razy zabrał nas też na długie spacery nad jezioro, żeby „jednoczyć się z przyrodą”. To było nawet fajne.

Liczyłam na to, że będziemy mieli lekcje z rzucania zaklęć, ale Jenna twierdziła, że takich rzeczy uczy się tylko w „prawdziwych” szkołach Prodigium - snobistycznych instytucjach, do których ważni przedstawiciele Prodigium wysyłają swoje dzieci. Hekate była raczej rodzajem poprawczaka gdzie uczyliśmy się o polowaniach na czarownice w szesnastym wieku i tym podobnych sprawach. Obciach.

Na szczęście Jenna chodziła ze mną na większość lekcji.

- Nie ma specjalnych kursów dla wampirów - wyjaśniła - więc w zeszłym roku dali mi taki sam podział godzin jak Holly. W tym roku pewnie zrobili tak samo.

Jedynym przedmiotem, na który nie chodziliśmy razem, okazało się wychowanie fizyczne, które tu nazywano przysposobieniem obronnym. Miałam je w rozkładzie raz na dwa tygodnie, więc po raz pierwszy poszłam na zajęcia w połowie drugiego tygodnia.

- Dlaczego obronne jest tylko co dwa tygodnie? - spytałam tego ranka Jennę. - Wszystkie inne zajęcia są codziennie.

Wkładałam właśnie absolutnie okropny strój gimnastyczny Hekate, składający się z jaskrawoniebieskich bawełnianych spodenek i nieco zbyt obcisłego niebieskiego podkoszulka z literami HH wydrukowanymi ozdobnym pismem tuż nad lewą piersią.

- Dlatego, że gdybyś je miała codziennie, a nawet raz na tydzień, wylądowałabyś w szpitalu.

Po tych słowach nie czułam się zbyt pewnie, zmierzając do szklarni przerobionej na salę gimnastyczną.

Pomieszczenie znajdowało się niecałe pięćset metrów od głównego budynku, ale już po przejściu dziesięciu metrów spociałam się jak ruda mysz. Nie byłam głupia: wiedziałam, że w Georgii panują upały, a poza tym zdarzało mi się już mieszkać w gorących miejscach. Ale tam, w Arizonie czy Teksasie, upał był inny - wysysał ze mnie całą wolę życia. Tu było tak wilgotno, że miało się wrażenie, jakby na całej skórze rosła pleśń. - Sophie!

Odwróciłam się i ujrzałam zmierzające w moim kierunku Chaston, Annę i Elodie. Wyglądały olśniewająco nawet w tych kretyńskich strojach. Ale szok.

Kiedy się zbliżyły, zobaczyłam, że jednak też są spocone, co sprawiło mi pewną ulgę. Ich trójka chodziła ze mną na część lekcji, ale nie rozmawiałyśmy od tamtej nocy. Zastanawiałam się, czego chcą tym razem.

- Hej - powiedziałaś niedbale, kiedy się ze mną zrównały. - Co planujecie? Chcecie mnie

ostrzec przed nieuchronną śmiercią z rąk puchatych króliczków? Czy ciskać we mnie błyskawicami?

Chaston roześmiała się i ku mojemu ostatecznemu zdumieniu otoczyła mnie ramieniem.

- Słuchaj, Sophie, rozmawialiśmy i uznaliśmy, że bardzo nam głupio z powodu tamtej nocy.

Nie chcesz przyłączyć się do naszego sabatu, nie ma sprawy!

- Tak - dodała Anna, podchodząc z drugiej strony. -Przeżyliśmy.

- Doprawdy? - powiedziałam.

- Chciałybyśmy przeprosić - dodała Elodie, idąc tyłem przed nami. Miałam szczerą nadzieję, że wpakuje się w drzewo. - Rozmawiałam z Archerem i on twierdzi, że jesteś spoko.

- Tak powiedział? - zapytałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Super, Sophie, pomyślałam. Wyluzuj.

- Owszem. Powiedział mi też, że nie masz pojęcia o Pro-digium. I że to jest dość żałosne, tak po prawdzie.

Usiłowałam się uśmiechnąć, ale w żołądku czułam jakiś mroczny ostry kształt, który trochę mi to utrudniał. -Ha.

- Tak - powiedziała Chaston. - I doszliśmy do wniosku, że pewnie cię wystraszyliśmy.

- Możesz tak to ująć.

Widziałam już szklarnię. Był to wielki budynek z bielonego drewna i szkła, którego okna lśniły tak mocno w po rannym słońcu, że aż rozboleły mnie oczy. W przeciwieństwie do innych zabudowań Hekate wyglądał dość pogodnie. Wokół kręciła się spora grupka uczniów wyglądających jak jagody w niebieskich strojach.

- Bardzo nam przykro - dodała Anna, a ja zastanawiałam się, czy one ćwiczyły to dziwaczne gadanie w trójkę. Wyobraziłam je sobie, jak siedzą w kręgu w sypialni, szcztokując włosy i powtarzając „Okej, to ja powiem, że nam przykro, a potem ty dodasz, że twój seksowny facet uważa ją za żałosną”.

- Możemy zacząć od nowa? - spytała Chaston. - Zostaniemy przyjaciółkami?

Wszystkie trzy uśmiechały się do mnie z nadzieją, nawet Elodie. Powinnam była się od razu domyślić, że to nie może się dobrze skończyć, ale odpowiedziałam głupkowskim uśmiechem.

- Jasne! Zaprzyjaźnijmy się.

- Super! - wykrzyknęły jednym głosem Chaston i Anna, a Elodie wymamrotała to samo ułamek sekundy później.

- Okej - powiedziała Chaston, kiedy zbliżałyśmy się do szklarni. - A zatem jako twoje przyjaciółki uznaliśmy, że powinnyśmy wtajemniczyć cię co nieco w obronne.

- Uczy go Vandy, a ona jest okropna - oznajmiła Elodie.

- Aha, ta od frotki.

Jednoczesne wzniesienie oczu do nieba. Czy te dziewczyny ćwiczą pływanie synchroniczne w wolnym czasie?

- Tak - westchnęła Anna. - Głupia frotka.

- Jen... em, słyszałam, że nazywa się ją przenośną bramą piekieł.

Wszystkie trzy się roześmiały.

- Chciałaby - prychnęła Anna.

- Vandy była całkiem niezłą czarownicą - wyjaśniła Elodie - ale zaczęła się sadzić ponad innych, jak się to mówi.

Pracowała dla Rady. Usiłowała startować na dyrektorkę He-kate, ale... to długa historia. Skończyło się na odesłaniu jej do Rady na Redukcję.

- I częścią wymierzonej jej kary - Anna zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu - jest to, że została przydzielona do Hekate, ale nie jako dyrektorka. Ma stanowić przykład dla innych. Dlatego jest taką zołą.

- Na pewno się na ciebie zawężmie, bo jesteś nowa - powiedziała Chaston.

- Ale - wtrąciła się Elodie - ona jest bardzo próżna. Jeśli będziesz miała kłopoty, pochwal jej tatuaże.

- Tatuaże? - zapytałam.

Z bliska szklarnia okazała się jeszcze większa, niż myślałam. Co w niej kiedyś rosło? Sekwoje?

- Na całych ramionach ma bardzo piękne fioletowe tatuaże. To jakieś symbole magiczne, runy albo coś w tym rodzaju - ciągnęła Elodie. - Jest z nich bardzo dumna. Powiedz, że ci się podobają, a masz Vandy w kieszeni na całe życie.

Weszliśmy do szklarni przez główne drzwi. Chaston wciąż trzymała mnie pod ramię. Wnętrze było ogromne, a sprawiało jeszcze przestronniejsze wrażenie, ponieważ w środku było raptem pięćdziesiąt osób. Obronne nie było podzielone z jakiegoś powodu na grupy wiekowe, toteż dostrzegłam grupkę bardzo przestraszonych dwunastolatek. W sali było oczywiście jasno, ale nie gorąco. Czułam przepływające wokół mnie chłodne powietrze, uznałam więc, że musi tu działać takie samo zaklęcie jak w głównym budynku.

Pod wieloma względami wnętrze przypominało normalną szkolną salę gimnastyczną: drewniana podłoga, niebieskie materace do ćwiczeń, ciężarki. Nie sposób jednak było nie zauważyć, że niektóre przedmioty zdecydowanie zwracały uwagę.

Na przykład żelazne kajdany przykute do ściany. Albo pełnowymiarowa szubienica wzniesiona na końcu sali.

Elodie natychmiast pobiegła na poszukiwanie Archera, który jak się okazało, wcale nie był tak chudy, jak mi się wydawało. Stroje chłopaków zasadniczo nie różniły się od naszych, a

jego niebieski podkoszulek opinał klatkę piersiową o wymiarach znacznie obszerniejszych, niżbym podejrzewała. Usiłowałam nie patrzeć w tamtym kierunku i stłumić lodowatą iskierkę zazdrości, kiedy nachylił się ku Elodie, żeby wymienić z nią szybkiego całusa.

Pomachała do mnie wysoka ruda dziewczyna.

- Cześć, Sophie!

Odmachałam jej, zastanawiając się, kim ona u diabła... No tak. Rude włosy. Wilkołaczyca Beth. Sprawiała wrażenie znacznie sympatyczniejszej, kiedy się na mnie nie śliniła. Pokiwała, żebym do niej podeszła, ale zanim zdążyłam to zrobić, wśród szmeru głosów przebił się donośny nosowy ton.

- Uczniowie!

Przez tłum przeciskała się Vandy w takim samym stroju jak my. Natychmiast zobaczyłam tatuaże. Były w ciemno-fioletowym kolorze, który odbijał się jaskrawo od jej bladej, zwiotczalej skóry.

Nieodłączna frotka spinała ciemne włosy. Vandy miała poza tym małe, świńskie, ciemne oczka, którymi lustrowała grupę, i nawet z daleka dostrzegałam w nich dziwaczny wyraz gorliwości. Jakby liczyła na to, że ktoś się jej postawi i będzie mogła go zgnieść jak robaka.

Krótko mówiąc, wystraszyła mnie na dobre. - Słuchajcie! - krzyknęła przenikliwym głosem. Podobnie jak pani Casnoff miała południowy akcent, ale u niej brzmiał on szorstko i był całkowicie pozbawiony słodkiej melodii głosu dyrektorki. - Z pewnością wasi nauczyciele od historii magii, klasyfikacji wampirów czy co tam jeszcze jest, osobistej tresury wilkołaków - zauważyłam, że w tym momencie kilku chłopaków, wśród nich Justina, zjeżyło się, ale Vandy ciągnęła niewzruszona - uważają, że ich przedmioty są ważniejsze od mojego. Ale powiedzcie mi jedno: na co zdadzą się wam tamte lekcje, jeśli zostaniecie zaatakowani przez ludzi? Albo przez Brannicków? Albo, co gorsza, przez Oko? Uważacie, że książki was ocalą, kiedy pojawi się L'Occhio di Dio?

Chyba nie sprawialiśmy wrażenia dostatecznie przekonanych, ponieważ Vandy jakby nabrzmiewała gniewem. Niemalże przewiercała palcem trzymany przed sobą zeszyt, po którym wodziła palcem.

- Mercer! Sophia! - ryknęła.

Wymamrotałam pod nosem jakieś wyjątkowo brzydkie słowo, ale uniosłam rękę.

- Em... jestem. To ja. - Wystąpi!

Wystąpiłam. Pociągnęła mnie za ramię, aż stanęłam tuż koło niej.

- Panno Mercer, wedle mojej listy to twój pierwszy rok w Hekate, zgadza się?

- Tak - Co „tak”?

- Em... Tak, proszę pani.

- I stoi tu napisane, że rzuciłaś zaklęcie magiczne, które sprowadziło cię do Hekate. Dla własnej korzyści czy też po to, żeby zyskać przyjaźń jakiejś ludzkiej istoty, panno Mercer? Słyszałam chichoty w grupie i wiedziałam, że jestem cała czerwona. Szlag by trafił tę bladą skórę.

Najwyraźniej było to pytanie retoryczne, ponieważ Van-dy nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się i przyklekła obok wielkiego płóciennego worka. Kiedy się wyprostowała, w rękę trzymała drewniany kołek.

- Jak obroniłabyś się przed czymś takim, panno Mer-cer?

- Jestem czarownicą - odpowiedziałam automatycznie i znów usłyszałam z tłumu parsknięcia i chichoty. Zastanawiałam się, czy wśród prześmiewców jest też Archer, ale uznałam, że wolę tego nie wiedzieć.

- Jesteś czarownicą? - powtórzyła Vandy. - I co z tego? Czy to oznacza, że wielki zaostrzony kawał drewna wbity w twoje serce nie robi ci krzywdy?

Głupia, głupia, głupia.

- No, em, chyba robi, tak.

Vandy uśmiechnęła się i był to jeden z najbardziej niepokojących uśmiechów, jakie widziałam w życiu. Najwyraźniej dziś to ja byłam robakiem.

Odwróciła się ode mnie i rozejrzała się po tłumie, aż znalazła kogoś, na widok kogo oczy jej się zwięziły, - Panie Cross!

O nie, pomyślałam słabo. Proszę, proszę, nie...

Archer podszedł do przodu i stanął po drugiej stronie Vandy, krzyżując ręce na piersi. Jego włosy błyszczały w promieniach słońca wpadających przez okna - i wcale nie były czarne, tylko tak samo ciemnobrązowe jak jego oczy.

W tej chwili Vandy zwróciła się do mnie i włożyła mi kołek do ręki.

Nie miałam pojęcia, jakimi kołkami posługują się normalnie zabójcy wampirów, ale ten sprawiał wrażenie dość dziadowskiego. Zrobiony był z taniego jasnego drewna, które drapało mi skórę. Na dodatek fatalnie się go trzymało, więc w sumie zwisał mi w ręce u boku. Ale Vandy chwyciła mnie za łokieć i ustawiła mi rękę tak, jakbym zamierzała wbić go Archerowi w pierś.

Spojrzałam na niego, widząc, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Oczy mu łzawiły, a kąciki ust drgały.

Zacisnęłam dłoń na kołku. Może wbicie mu go w serce nie jest w sumie takim złym pomysłem.

- Panie Cross - powiedziała Vandy, wciąż uśmiechając się słodko - proszę rozbroić pannę

Mercer przy pomocy Dziewiątki.

Wyraz lekceważenia natychmiast znikł z jego twarzy.

- Pani chyba żartuje.

- Albo pokazujesz, albo ja to zrobię.

## ROZDZIAŁ 11

Przez sekundę myślałam, że Archer jednak odmówi, ale w końcu spojrzał na mnie i wymamrotał:

- Niech będzie.

- Doskonale! - wykrzyknęła radośnie Vandy. - Panno Mercer, proszę zaatakować pana Crossa.

Gapiałam się na nią jak głupia. Nigdy nie biegałam nawet z packą na muchy, a ta kobieta żądała ode mnie, żebym rzuciła się na faceta z zaostrzonym drewnianym kołkiem?

Uśmiech zastygł na twarzy Vandy.

- No, rusz się.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że nagle odkryłam w sobie wojowniczą księżniczkę i fachowo skoczyłam na Archera z wysoko uniesioną bronią i obnażonymi kłami. To byłoby niezłe.

Bez przekonania uniosłam kołek na wysokość mniej więcej ramienia i powłócząc nogami zrobiłam dwa, może trzy kroki do przodu.

Nagle za gardło chwyciły mnie mocne palce, ktoś wyrwał mi kołek z ręki, a w prawym udzie poczułam ostry, piekący ból, po czym wylądowałam na ziemi, uderzając w nią tak mocno, że straciłam dech.

A jakby tego nie wystarczyło, gdy już upadłam, coś twardego i ciężkiego - kolano Archera, jak uznałam - uderzyło mnie w mostek. Jakby chciał się upewnić, że nie zostało w moich płucach nawet najmniejsze tchnienie. Czubek kołka zadrapał mnie w delikatną skórę podbródka. Spojrzałam, rżąc, w twarz Archera.

W jednej chwili odskoczył ode mnie, ale ja byłam tylko w stanie przetoczyć się na bok, podciągnąć kolana pod brodę i czekać, aż tlen wypełni na nowo moje ciało.



- Doskonale! - dobiegł mnie gdzieś z oddali głos Vandy. Dosłownie widziałam gwiazdy przed oczami, a każdy chrapliwy oddech sprawiał wrażenie, jakbym miała płuca wypełnione potłuczonym szkłem.

Dobłą stroną tego zajścia było to, że całkowicie przeszło mi zadurzenie w Archerze. Koniec. Chłopak, który wbija mi rzepekę w żebra, musi liczyć się z tym, że romantyczne uczucia ulotnią się szybko jak kamfora.

W tej samej chwili poczułam ramiona chwytające mnie za ręce i unoszące do góry.

- Przepraszam - mruknął Archer, ale ja tylko rzuciłam mu wściekłe spojrzenie. Gardło miałam suche i spuchnięte i nie miałam ochoty przepychać przez nie słów.

Zwłaszcza tych wszystkich, które pragnęłam rzucić mu w twarz.

- Świetnie - oznajmiła radośnie Vandy. - Pan Cross wykazał się doskonałą techniką, aczkolwiek ja osobiście przy-dusiłabym przeciwnika nieco dłużej.

Przy tych słowach Archer kiwnął do mnie lekko głową, a ja zastanowiłam się, czy właśnie dlatego w końcu wykonał polecenie - gdyby moją przeciwniczką została Vandy, efekt byłby znacznie gorszy. Nie obchodziło mnie to. I tak byłam wkurzona.

- A teraz, panie Cross, Czwórka - zaświergotała Vandy. Tym razem jednak Archer pokręcił głową.

- Nie

- Panie Cross - upomniała go ostro, ale chłopak rzucił jej kołek pod nogi.

Czekałam na jakieś wybebeszenie albo chłostę, albo przynajmniej uwagę w dzienniku, ale na twarz Vandy znów wypełził fałszywy uśmiech. Podniosła kołek i podała mi go.

Byłam przekonana, że lada moment zwymiotuję. Czy na sali nie ma żadnego innego nowego ucznia, którego mogłaby podręczyć? Rozejrzałam się i dostrzegłam kilka współczujących twarzy, ale w oczach wszystkich pozostałych malowała się ogromna ulga, że to nie oni obrywają.

- Doskonale. Patrzcie i ucicie się, dzieci. Czwórka. Proszę podejść, panno Mercer.

Ale ja stałam w miejscu, gapiąc się tylko na nią.

Zacisnęła usta w irytacji, po czym bez ostrzeżenia chwyciła mnie nagłym ruchem za rękę. Tym razem byłam jednak przygotowana, a poza tym zła i obolała. Nie myśląc, zrobiłam nogą wykop w przód.

Mocno.

Patrzyłam, jak stopa w tenisówce uderza w pierś Vandy, zupełnie jakby noga należała do kogoś innego. Bo przecież nie mogła być moja. Nigdy w życiu nikogo nie kopnęłam, a już z pewnością nie zaatakowałabym nauczycielki.

Ale to właśnie zrobiłam. Kopnęłam ją w pierś, a ona upadła na niebieski materac, niedaleko

miejsca, gdzie chwilę wcześniej leżałam ja.

Słyszałam, jak pozostali uczniowie zbiorowo wstrzymują oddech. Naprawdę. Cała pięćdziesiątka wydała w tej samej chwili stłumiony krzyk.

W tym momencie uzmysłowiłam sobie potworność mojego czynu.

Przyklęłam i podałam jej rękę.

- O Boże! Nie... nie chciałam...

Odrzuciła moją dłoń i podniosła się na nogi, dysząc ciężko. Zawaliłam koszmarnie.

- Panno Mercer - powiedziała, niemal wypuszczając dym nozdrzami i przypominając szykującego się do szarży byka - czy jesteś w stanie podać jakikolwiek powód, dla którego nie miałabyś dostać kary na cały najbliższy miesiąc?

Poruszyłam ustami, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa.

W tym momencie przypomniałam sobie radę Elodie, jakby ktoś zesłał mi ją z nieba.

- Podobają mi się pani tatuaże! - wyrzuciłam z siebie. Przed chwilą tylko mi się wydawało, że klasa zamarła.

Teraz usłyszałam wokół siebie dźwięki podobne do tych, które wydaje powietrze uchodzące z dętki.

Vandy przechyliła lekko głowę i zmrużyła swoje maleńkie oczka.

- Że co?

- Po... podobają mi się pani tatuaże. Wzorki. Pani, no, dziary. Są naprawdę fajne.

Nigdy wcześniej nie widziałam kogoś, kogo trafia apopleksja, ale miałam wrażenie, że to właśnie groziło Vandy. Z rozpaczą rozejrzałam się po tłumie uczniów, aż napotkałam wzrok Elodie. Uśmiechała się promiennie, a ja uświadomiłam sobie, że właśnie popełniłam śmiertelny błąd.

- Mam nadzieję, że nie planowałaś żadnych zajęć w wolnym czasie, panno Mercer - syknęła szyderczo Vandy. - Za karę praca w piwnicy. Przez resztę semestru.

Semestru? Potrząsnęłam głową. Kto słyszał kiedykolwiek o karze, która trwałaby osiemnaście tygodni? To szaleństwo! Na dodatek praca w piwnicy? Co to takiego?

- Ależ proszę pani - usłyszałam czyjś głos, więc podniosłam wzrok i zobaczyłam Archera spoglądającego bezczelnie na Vandy. - Ona nie wiedziała. Nic wychowano jej tak jak nas, Vandy odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

- Doprawdy, panie Cross? Uważa pan, że kara panny Mercer jest niezasłużona?

Nie odpowiedział, ale ona skinęła głową, jakby potaknął.

- Doskonale. W takim razie odbędziecie ją razem.

Elodie pisnęła głośno i to przynajmniej dało mi odrobinę satysfakcji

- Wy dwoje, wynosić się z sali gimnastycznej i marsz do pani Casnoff - oznajmiła Vandy,

masując sobie mostek.

Archer znalazł się za drzwiami, ledwie skończyła mówić, ale ja wciąż nie mogłam się otrząsnąć ze zdumienia, nie mówiąc już o bólu. Pokuśtykałam do drzwi, ignorując wściekle spojrzenia Elodie i Chaston.

Archer wyprzedził mnie całkiem sporo. Szedł tak szybko, że ledwie go dogoniłam.

- Podobają ci się jej „wzorki”? - warknął, kiedy wreszcie się z nim zrównałam. - Jakby ona nie miała dość innych powodów, żeby cię nienawidzić.

- Przepraszam, ale o co się na mnie wściekasz? Ty na mnie? Omal nie zgmiotłeś mi kręgosłupa kolanem, chłopie, więc może byś się zachowywał.

Zatrzymał się tak nagle, że wyprzedziłam go o trzy kroki, zanim się zatrzymałam i obróciłam.

- Gdyby Vandy wykonała ten manewr, byłabyś w tej chwili w przychodni. Ponownie przepraszam, że uratowałem ci tyłek

- Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek ratował mi tyłek - odburknęłam, czerwieniąc się.

- Jasne - wycedził, ruszając w stronę domu. Nagle dotarło do mnie coś, co powiedział.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że ona ma dość innych powodów, żeby mnie nienawidzić?

Najwyraźniej nie zamierzał się zatrzymywać, więc musiałam znów podbiec.

- To przez twojego tatę ona ma te „dziary”. Chwyciłam go za łokieć, ale palce ześlizgnęły się po spoconej skórze.

- Zaczekaj. Co to znaczy?

- To znaki tego, że przeszła Redukcję. Są symbolem jej hańby, a nie powodem do dumy. Dlaczego ty...

Ruszył dalej, zapewne dlatego, że wwiercałam w niego wzrok.

- Elodie - mruknął.

- Tak - odparowałam. - Twoja dziewczyna i jej przyjaciółki bardzo mi się przysłużyły radami na temat Vandy!

Westchnął i potarł kark, przez co podkoszulek opiął mu się jeszcze bardziej na piersi. Nie, żeby mnie to obchodziło.

- Słuchaj, Elodie... ona...

- Nic mnie to nie obchodzi - odparłam, przerywając mu ruchem ręki. - Chcę wiedzieć, w jakim sensie Vandy ma te tatuaże przez mojego tatę?

Archer spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- No nie. -Co?

- Ty naprawdę nic nie wiesz?

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak wyraźnie, że podnosi mi się ciśnienie, ale teraz to musiało być to. Troszkę jak wtedy, kiedy czułam przepływ magii, ale dorzucie do tego żądze

mordu.

- Nie. Nie wiem. Czego?- wydusiłam z siebie.

- Że twój tato jest przewodniczącym Rady. A to znaczy, że to on nas wszystkich tu zesłał.

## ROZDZIAŁ 12

Ta informacja sprawiła, że zrobiłam coś, co nie zdarzyło mi się nigdy w życiu.

Rozkleiłam się jak modelowa histeryczka. Czyli wybuchnęłam płaczem. I to nie tragicznie i pięknie, eleganckimi łzami. Nie, to był okropny płacz z czerwoną twarzą i zasmarkanym nosem.

Zazwyczaj bardzo staram się nie płakać przy ludziach, a zwłaszcza przy chłopakach, w których się podkochiwałam, zanim usiłowali mnie udusić.

Z jakiegoś jednak powodu odkrycie, iż jest jeszcze coś, czego o sobie nie wiedziałam, przerwało tamę.

Archer, muszę mu to zapisać na plus, nie wyglądał na całkowicie obrzydzonego moim szlochem i nawet wyciągnął rękę, jakby chciał położyć mi ją na ramieniu. Albo mnie szepnąć. Zanim jednak zdołał mnie pocieszyć lub dokonać kolejnego naruszenia mojej nietykalności cielesnej, odwróciłam się na pięcie i uzupełniłam obraz histeryczki o ucieczkę.

Nie było to piękne.

Ale na tym etapie nie zależało mi już. Biegłam z ogniem w piersi i w gardle, co było wypadkową przyduszenia przez Archera i potoku łez.

Słyszałam głuchy tupot stóp na trawniku i jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to jaką jestem idiotką.

Nie mam pojęcia o zakłęciach blokujących.

Nie mam pojęcia o tatużach.

Nie mam pojęcia o wielkich, głupich, złych Włoskich Oczach.

Nie mam pojęcia o własnym tacie.

Nie mam pojęcia o tym, co to znaczy być czarownicą.

Nie mam pojęcia o tym, nie mam pojęcia o tamtym, nie mam pojęcia o owym.

Nie byłam pewna, jak długo biegłam, ale kiedy dotarłam do stawu na tyłach szkoły, nogi mi drżały i kłuło mnie w boku. Musiałam usiąść. Na szczęście tuż nad wodą stała niewielka kamienna ławka. Bieg i płacz pozbawiły mnie tchu do tego stopnia, że olałam mech pokrywający siedzisko i opadłam na kamień. Był rozgrzany słońcem, więc skrzywiłam się

nieznacznie.

Siedziałam z łokciami opartymi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach, wsłuchana w oddech, który rozrywał mi płuca. Pot skapywał mi z czoła na uda i zaczęło mi się nieco kręcić w głowie.

Byłam po prostu..... wkurzona. Dobrze, więc mama wściekła się o to, że tato jest czarnoksiężnikiem. Niech jej będzie. Ale dlaczego nie pozwoliła mi przynajmniej z nim pogadać? Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wiedzieć coś o Vandy, zanim tu wylądowałam. Wystarczyłoby przyjacielskie: „Och, a tak nawiasem mówiąc, twoja wuefistka nienawidzi mnie serdecznie i rozciąga tę nienawiść również na ciebie! Powodzenia!”.

Jęknęłam i położyłam się na ławce, ale podskoczyłam natychmiast, kiedy dotknęłam nagim ramieniem gorącego kamienia.

Niewiele myśląc, położyłam dłoń na ławce i pomyślałam: wygoda.

Ze wskazującego palca zeskoczyła maleńka srebrna iskierka i natychmiast ławka zaczęła się wyginać i wyciągać, aż zamieniła się w piękny, luksusowy, aksamitny szezlong o obiciu we wściekle różowe paski. Ewidentnie pozostawałam pod wpływem Jenny.

Wyłożyłam się na tym nowym wygodnym siedzisku, czując w całym ciele przyjemne wibracje. Nie posługiwałam się magią, odkąd przybyłam do Hekate, i zapomniałam, jak dobrze się czuję po rzuceniu nawet najprostszego zaklęcia. Nie potrafię wyczarować czegoś z powietrza - mało która czarownica to potrafi, a na dodatek jest to poważna czarna magia - ale umiem zmieniać przedmioty w ich inne wersje.

Położyłam więc sobie rękę na piersi i z uśmiechem patrzyłam, jak niebieski strój gimnastyczny faluje i kurczy się, aż w końcu zobaczyłam na sobie biały podkoszulek na ramiączkach i szorty khaki. Następnie wskazałam palcem na krawędź jeziora i przyglądałam się wodzie wznoszącej się z jego powierzchni spiralnie w górę i zwijającej się w walec. Po chwili przed moim nosem zakołysała się szklanka mrożonej herbaty.

Byłam z siebie całkiem zadowolona i więcej niż troszkę pijana magią. Rozparłam się na szezlongu i pociągnęłam łyk herbaty. Może i jestem niedojdą, ale przynajmniej umiem posługiwać się zaklęciami, prawda?

Siedziałam tak przez jakiś czas, osłaniając oczy spoconym przedramieniem, słuchając odgłosów ptaków i cichego szumu fal uderzających o brzeg. Przez te kilka minut po trafiłam zapomnieć o tym, że powrót do szkoły oznacza dla mnie poważne problemy.

Opuściłam rękę i zwróciłam głowę w kierunku jeziora.

Na drugim brzegu, naprzeciwko mnie, stała jakaś dziewczyna. Jezioro było dość wąskie,

wiec widziałam ją dokładnie: była to ta sama zjawa w zielonej sukience, którą zauważyłam pierwszego dnia pobytu w Hekate. I tak samo jak wtedy patrzyła prosto na mnie.

Było to co najmniej niesamowite. Nie wiedząc, co zrobić, uniosłam dłoń i niepewnie pomachałam.

Tamta podniosła rękę w odpowiedzi. Po czym znikła. Nie przebiegało to stopniowo jak w przypadku ducha Isabelle. Po prostu w jednej chwili tam stała, a potem jej nie było.

- Zdziwniej i dziwniej - powiedziałam, a mój głos pośród ciszy zabrzmiał nieco za głośno, przyprawiając mnie o dreszcz.

Dobry nastrój zaczął się ulatniać, kiedy minęło magiczne podniecenie, a ja spojrzałam na siebie. Słodkie i znacznie fajniejsze ubranie zamieniło się z powrotem w strój gimnastyczny. Dziwne. Moje zaklęcia zazwyczaj wytrzymują dłużej. Szezlong pod moimi plecami też zrobił się jakby twardszy i uświadomiłam sobie, że zostało mi najwyżej pięć minut wylegiwania się, zanim przemieni się z powrotem w rozgrzany omszały kamień.

W myślach powędrowałam znów ku rodzicom i ich ewidentnej tendencji do okropnych łągarstw. Ale mimo że usiłowałam wywołać w sobie słuszny gniew na nich, że wpakowali mnie w to bagno, wiedziałam, że tak naprawdę to nie była ich wina.

Problem w tym, że zaczynały się spełniać moje najgorsze koszmary. Bycie odmieńcem w grupie ludzi, od których rzeczywiście jest się inny m, to jedno. Bycie wyrzutkiem w grupie wyrzutek to zupełnie inna sprawa.

Westchnęłam i wyciągnęłam się na szezlongu, który zaczął już z jednej strony obrastać mchem. Zamknęłam oczy.

- Sophia Alice Mercer, świruska między świrami - wymamrotałam.

- Przepraszam?

Otworłam oczy i zobaczyłam pochyloną nade mną postać. Stała dokładnie na tle słońca, co sprawiało, że widziałam tylko czarną sylwetkę, ale uczesanie nie pozostawiało wątpliwości, iż jest to pani Casnoff.

- Czyżbym miała kłopoty? - zapytałam, nie podnosząc się.

To zapewne była tylko halucynacja spowodowana przez upał, ale mogłam przysiąc, że dostrzegłam na jej twarzy uśmiech, kiedy pochyliła się i położywszy mi rękę pod ramię, podniosła mnie do pozycji siedzącej.

- Zdaniem pana Crossa jesteś skazana na pracę w piwnicy przez resztę semestru, a więc owszem, śmiem twierdzić, że masz poważne kłopoty. Ale to sprawa pani Vanderlyden, a nie moja.

Spojrzała na mój wściekle różowy szezlong i skrzywiła się z niesmakiem. Położyła dłoń na oparciu mebla i moje zaklęcie rozpadło się w deszczu liliowych iskier, a szezlong zamienił się

w bardzo dystyngowaną jasnoniebieską dwuosobową sofę z obiciem w wielkie kwitnące róże.

- Teraz lepiej - powiedziała szorstko, siadając koło mnie. - A zatem, Sophio, zamierzasz mi wyjaśnić, dlaczego siedzisz sobie nad jeziorem, zamiast pójść na następną lekcję?

- Przeżywam fazę buntu, proszę pani - odparłam. - Czuję potrzebę zwierzenia się pamiętnikowi albo czegoś w tym rodzaju.

Pani Casnoff parsknęła cicho.

- Sarkazm nie jest pożądaną cechą u młodych dziewcząt, Sophio. A ponieważ nie przyszedłam tu po to, żeby folgować twoim zachciankom z okazji użalania się nad samą sobą, wołałabym, żebyś powiedziała mi prawdę.

Spojrzałam na nią. Wyglądała bezbłędnie w swoim wełnianym kostiumie w kolorze jasnego beżu (Znowu wełna w taki upał! Co jest z tymi ludźmi?) i westchnęłam. Moja mama, która jest naprawdę fajna, ledwie mnie rozumiała. W jaki sposób więc miałyby mi pomóc ta zwiednięta stalowa magnolia z idealnie polakierowanymi włosami?

Niemniej wzruszyłam ramionami i wyrzuciłam to z siebie.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy być czarownicą. Wszyscy pozostali wychowywali się w tym świecie, a ja nie, i to jest obciach.

Wydeła usta i już myślałam, że zruga mnie za ten „obciach”, ale ona powiedziała zupełnie coś innego.

- Zdaniem pana Crossa nie wiedziałas, że twój ojciec jest obecnie głową Rady.

- Zgadza się.

Strzepnęła niewidoczny pyłek ze swej garsonki.

- Nie wiem wiele o przyczynach, dla których twój ojciec postępuje tak, a nie inaczej, ale jestem przekonana, że miał swoje powody, aby ukrywać przed tobą swoje stanowisko. A poza tym twoja obecność tutaj jest... sprawą bardzo delikatną, Sophio.

- Co pani ma na myśli?

Milczała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w jezioro. W końcu odwróciła się do mnie i ujęła mnie za rękę. Pomimo upału jej skóra była chłodna i sucha, troszkę jak pergamin, a kiedy spojrzałam jej w oczy, uświadomiłam sobie, że jest starsza niż na początku myślałam. Jej oczy otaczała siateczka drobnych zmarszczek.

- Chodź do mojego gabinetu, Sophio. Musimy porozmawiać o kilku sprawach.

## ROZDZIAŁ 13

Gabinet pani Casnoff mieścił się na parterze, obok salonu z wrzecionowatymi krzesłami. Przechodząc tamtędy teraz, zauważyłam, że krzesła zostały zastąpione przez znacznie

ładniejsze i wyglądające solidniej fotele, a lekko zapleśniałe kanapy miały tapicerkę wymienioną na nową w radosne biało-żółte pasy.

- Skąd się wzięły nowe meble? - zapytałam. Zerknęła przez ramię.

- To nie nowe meble tylko zakłęcie percepcyjne. -Zakłęcie...?

- Jeden z pomysłów Jessiki Prentiss. Meble w tym budynku odbijają stan umysłu patrzącego. W ten sposób można mierzyć wasz poziom zadowolenia ze szkoły poprzez to, co widzicie.

- Czyli ja sobie tylko wyobrażałam obrzydliwe meble?

- W pewnym sensie tak.

- A co z wyglądem domu z zewnątrz? Bez urazy, wie pani, ale on jest nadal dość paskudny. Pani Casnoff roześmiała się cicho.

- Nie, zakłęcie dotyczy jedynie wspólnych części budynku: salonów, klas i tak dalej. Hekate musi utrzymać co nieco ze swojej posępnej atmosfery, nie uważasz?

Obróciłam się na progu gabinetu i rozejrzałam się jeszcze raz po salonie. Teraz dostrzegałam, że kanapy, fotele, a nawet zasłony migoczą i lekko falują, jak w rozgrzanym powietrzu. Dziwaczne.

Myślałam, że gabinet pani Casnoff będzie największym, najwspanialszym pomieszczeniem w tym budynku. Wicie, wypełnionym po sufit starymi księgami, ciężkimi dębowymi meblami, z oknami rozpościerającymi się od podłogi po sufit.

Ona jednak wprowadziła mnie do niewielkiego, pozbawionego okien pokoju. Pachniało tu mocno jej lawendowymi perfumami, ale wyczułam jeszcze jakiś mocniejszy ostry zapach. Po krótkiej chwili zorientowałam się, że to herbata. W niewielkim czajniku elektrycznym, stojącym z dala od krawędzi biurka, które wcale nie było drewnianym koszmarem z moich wyobrażeń, tylko zwykłym stolikiem, gotowała się woda.

Były tu książki, ale ułożone w sterty pod wszystkimi ścianami. Usiłowałam odczytać tytuły na grzbietach, ale te, które nie wyblakły całkowicie, były w nieznanych mi językach.

Jedynym przedmiotem w gabinecie pani Casnoff, który nie rozmiął się całkowicie z moimi oczekiwaniami, był jej fotel. Trudno zresztą nazwać ten mebel fotelem - przypominał raczej tron. Wysoki, ciężki, obity purpurowym aksamitem.

Krzesło stojące po drugiej stronie biurka było niższe o dobre dwanaście centymetrów, a kiedy na nim usiadłam,

od razu poczułam się, jakbym miała sześć lat. I o to, jak podejrzewam, chodziło.

- Herbaty? - zapytała pani Casnoff, siadając wyprostowana na swoim tronie. - Poproszę.

Przez chwilę milczałyśmy tymczasem ona nalewała mi filiżankę mocnej czerwonej herbaty, do której, nie pytając, dodała mleka i cukru.

Wypiłam łyk. Herbata smakowała dokładnie tak jak ta, którą przyrządzała mama w



deszczowe zimowe dni; dni, które spędzałyśmy zwinięte na kanapie, czytając lub rozmawiając. Ten dobrze znany z domu smak był wielkim pocieszeniem i poczułam, że trochę się rozluźniam.

O co zapewne również chodziło.

Spojrzałam na panią Casnoff.

- Skąd pani...

Zbyła moje pytanie machnięciem ręki.

- Jestem czarownicą, Sophio.

Skrzywiłam się. Od zawsze nie znosiłam manipulacji. Podobnie jak węży. I Britney Spears.

- Zna pani zatem zakłęcie, które sprawia, że herbata smakuje jak... herbata?

Pani Casnoff pociągnęła łyk ze swojej filiżanki, a ja odniosłam wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

- Szczerze mówiąc, to troszkę więcej niż coś takiego. -Wskazała na czajnik. - Zajrzyj do niego.

Wychyliłam się i zdjęłam pokrywkę. Czajnik był pusty.

- Twoim ulubionym napojem jest poranna herbata zaparzana przez twoją mamę. Gdyby to była lemoniada, znalazłabyś ją w swoim kubku. Jeśli gorąca czekolada, dostałbyś właśnie jej filiżankę. To podstawowe zakłęcie uspokajające, bardzo przydatne, jeśli trzeba kogoś oswoić. To właśnie działa się z tobą do chwili, kiedy odezwała się twoja podejrzliwa natura.

Rany. Była niezła. Nigdy nawet nie próbowałam rzucać zaklęcia, które miałyby tak szeroki zakres i rozsądny cel.

Nie zamierzałam jednak dać jej poznać, jakie zrobiło to na mnie wrażenie.

- A gdybym najbardziej lubiła piwo? Czy dostałabym omszały kufel?

Uniosła ramiona w geście, który był stanowczo zbyt elegancki, żeby nazywać go wzruszeniem ramion.

- W takim przypadku zapewne musiałabym kombinować.

Wyjęła skórzaną teczkę spomiędzy papierów zalegających na jej biurku i usadowiła się z powrotem na tronie.

- Powiedz mi, Sophio - odezwała się - co naprawdę wiesz o swojej rodzinie?

Oparła się wygodnie i założyła nogę na nogę. Wyglądała tak luzacko, jak tylko było to możliwe.

- Niewiele - odparłam ostrożnie. - Mama pochodzi z Tennessee, jej oboje rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała dwadzieścia lat...

- Nie o tej stronie rodziny miałyśmy rozmawiać - przerwała mi pani Casnoff. - Co wiesz o krewnych ze strony ojca?

Nie usiłowała już nawet kryć zaciekawienia. Poczułam się nagle tak, jakby od mojej odpowiedzi zależało coś bardzo ważnego.

- Wiem tyle, że ojciec jest czarnoksiężnikiem i nazywa się James Atherton. Mama poznała go w Anglii, powiedział jej, że tam się wychował, ale ona nie była pewna, czy to prawda.

Pani Casnoff odstawiła z westchnieniem filiżankę i zaczęła przeglądać zawartość teczki<sup>^</sup>,

- Zobaczmy, dopiero co widziałam tu... - mamrotała pod nosem, zsunawszy okulary z czubka głowy na oczy. -O, jest.

Wyciągnęła coś z teczki i nagle zatrzymała się w pół ruchu, patrząc mi prosto w oczy.

- Sophio, to bardzo ważne, żeby wszystko, o czym teraz będziemy rozmawiać, pozostało między nami. Twój ojciec poprosił mnie, żebym podzieliła się z tobą tą wiedzą, kiedy uznam, że nadszedł czas. Wydaje mi się, że właśnie tak się stało.

Potaknęłam. Co więcej można powiedzieć na coś takiego?

Najwyraźniej jej to wystarczyło, ponieważ podała mi czarno-białe zdjęcie, z którego spoglądała na mnie młoda kobieta. Była może o kilka lat ode mnie starsza, a sądząc po jej ciuchach, zakładałam, że zdjęcie pochodzi z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Miała na sobie ciemną sukienkę, która powiewała wokół jej tydek, jakby poruszana przez łagodny wiatr. Jej twarz okalały jasne włosy, blond albo rude.

Tuż za nią widać było frontową werandę Hekate Hall. Okiennice były wówczas białe. Dziewczyna uśmiechała się, ale wyglądało to na wymuszony uśmiech. I te jej oczy. Wielkie, szeroko rozstawione, bardzo jasne. I bardzo znajome.

Podobne oczy widziałam tylko raz: na jedynym zdjęciu ojca, które posiadałam.

- Kto... - Głos załamał mi się lekko. - Kto to jest? Spojrzałam na przyglądającą mi się uważnie panią Casnoff.

- To - powiedziała, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty - jest twoja babcia, Lucy Barrow Atherton.

Moja babcia. Przez długą chwilę miałam wrażenie, że nie złapię oddechu. Wpatrywałam się w jej twarz, rozpaczliwie usiłując odnaleźć w niej swoje rysy.

Nie byłam w stanie. Miała wystające kości policzkowe, podczas gdy ja mam twarz raczej okrągłą. Jej nos był zbyt długi, by przypominać mój, a usta za wąskie.

Wbiłam wzrok w tę twarz, która pomimo uśmiechu wyglądała bardzo smutno.

- Ona tu była? - zapytałam.

Pani Casnoff uniosła z powrotem okulary na czubek głowy i potaknęła.

- Lucy właściwie wychowała się w Hekate, oczywiście zanim powstała tu szkoła. Myślę, że to zdjęcie pochodzi z czasów krótko przed urodzeniem się twojego ojca.

- Czy pani... czy pani ją znała? Pokręciła przecząco głową.

- To było, zanim ja się tu pojawiłam. Ale większość Pro-digium oczywiście o niej słyszało. Jej dzieje są wyjątkowe.

Przez kilka lat zastanawiałam się, kim właściwie jestem, skąd pochodzę. I oto odpowiedź znajdowała się w zasięgu ręki.

- Dlaczego?

- Kiedy tu przyjechałaś, opowiedziałam ci o pochodzeniu Prodigium, pamiętasz?

To było raptem dwa tygodnie temu, pomyślałam. Oczywiście, że pamiętam. Postanowiłam jednak dać sobie spokój z sarkazmem.

- Jasne. Aniołowie. Wojna z Bogiem - odpowiedziałam.

- Zgadza się. A jednak w twoim przypadku nikt w rodzinie nie objawiał zdolności aż do roku 1939, kiedy twoja prababka Alice miała szesnaście lat.

- Myślałam, że czarownicą trzeba się urodzić. Mama mówiła, że tylko wampiry zaczynają jako ludzie.

Pani Casnoff potaknęła.

- Zazwyczaj tak właśnie jest. Niemniej zawsze trafi się jakiś człowiek, który postanowi odmienić swój los. Znajdzie księgę zaklęć albo odkryje specjalną inkantację, co pozwoli mu napęłnić się pierwiastkiem boskim, mistycznym. Mało kto jest w stanie przeżyć taki eksperyment. Twoja prababcia była jedną z nielicznych.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, pociągnęłam spory łyk herbaty. Była chłodna, a rozmokły cukier osiadł na dnie filiżanki.

- Jak się jej to udało? - spytałam w końcu. Pani Casnoff westchnęła.

- Sama chciałabym wiedzieć. Jeśli nawet Alice zwierzała się komukolwiek, to nie zachowały się na ten temat żadne dokumenty. Wiem tylko to, co udało się wyszperać tu i ówdzie. Wygląda na to, że zadawała się z wyjątkowo nieprzyjemną czarownicą, która usiłowała zwiększyć własną moc dzięki czarnej magii - czyli magii, która została zakazana przez Radę już w siedemnastym wieku. Nikt nie wie dokładnie, co łączyło Alice z tą kobietą - o ile wiem, nazywała się pani Thorne. Nie wiemy nawet, czy twoja babcia wiedziała, kim ona była. W każdym razie stało się tak, że zaklęcie przeznaczone dla pani Thorne przemieniło zamiast niej Alice.

- Chwileczkę, powiedziała pani przecież, że pani Thorne posłużyła się do tego zaklęcia czarną magią, zgadza się?

Pani Casnoff potaknęła.

- Owszem. I to wyjątkowo okropną. Alice miała wielkie szczęście, że przemiana jej nie zabiła. Pani Thorne nie miała tyle szczęścia.

Nagle poczułam się tak, jakbym połknęła garść kostek lodu, ale choć żołądek mi zamarzał, jednocześnie czułam krople potu występujące na czoło.

- To znaczy... że moja prababcia została czarownicą dzięki czarnej magii? Temu najgorszemu, najgroźniejszemu rodzajowi magii, jaki istnieje?

Pani Casnoff ponownie potaknęła. Wciąż nie spuszczała ze mnie badawczego wzroku \

- Twoja prababcia była wybrykiem natury, Sophio. Przepraszam. Wiem, że to okropnie brzmi, ale nie da się tego określić inaczej.

- Jak... - Mój głos zabrzmiał jak skrzek, więc odchrząknęłam. - Co się z nią stało?

Dyrektorka westchnęła.

- Odnalazł ją w końcu pewien członek Rady z Londynu. Wcześniej zamknięto ją w szpitalu dla obłąkanych, ponieważ bełkotała i bredziła o czarownicach i demonach. Ten człowiek z Rady przywiózł ją wraz z twoją babcią Lucy do Hekate.

- Z moją babcią? - spojrzałam na trzymane w rękach zdjęcie.

- Tak. Kiedy znaleziono Alice, była w ciąży. Rada zaczęła do narodzin twojej babci, zanim przywiozła je obie tutaj.

Nalała sobie kolejną filiżankę herbaty. Miałam wrażenie, że nie ma ochoty mówić mi nic więcej, ale musiałam zadać to pytanie.

- Co się stało później?

Pani Casnoff mieszała herbatę z takim wyrazem skupienia, jakby przeprowadzała operację na żywym mózgu.

| Alice nie przystosowała się dobrze do przemiany - odpowiedziała, nie patrząc na mnie. - Po trzech miesiącach spędzonych tu, w Hekate, zdołała jakoś uciec. Nie ma co do tego pewności, ale prawdopodobnie dysponowała bardzo potężną mocą. A potem... - Pani Casnoff urwała i pociągnęła łyk herbaty.

- A potem? - powtórzyłam. Podniosła w końcu wzrok.

- Została zamordowana. Przez L'Occhio di Dio.

- Skąd wiadomo, że to...

- Mają bardzo charakterystyczne sposoby pozbywania się nas - odparła zdecydowanie. - W każdym razie Lucy, którą tu zostawiła, pozostała w Hekate, a Rada ją obserwowała.

- Że co? Jak jakiś eksperyment naukowy? - Nie zamierzałam powiedzieć tego tak ostro, ale czułam coś więcej niż przerażenie.

- Moc Alice przekraczała wszelkie znane miary. Była dosłownie najpotężniejszą czarownicą, jaką kiedykolwiek znało Prodigium. Koniecznie trzeba było się przekonać, czy ten poziom magii został przekazany jej córce, która była przecież w połowie człowiekiem.

-I co?

- Został. A następnie twojemu ojcu. - Podniosła na mnie wzrok- - I tobie.

## ROZDZIAŁ 14

Po tej rozmowie pani Casnoff dała mi wolne na resztę popołudnia, żebym, jak to określiła, „zastanowiła się nad tym, czego się dowiedziałam”. Ja jednak nie miałam nastroju do zastanawiania się. Pomaszerowałam prosto na drugie piętro. W niewielkiej niszy na moim korytarzu znajdowało się kilka czerwonych aparatów telefonicznych, z których uczniowie mogli korzystać. Były zakurzone, bo nikt ich nie używał, ponieważ większość Prodigium w Hekate nie potrzebowała techniki, żeby kontaktować się z rodzinami. Wampiry posługiwały się telepatią, chociaż Jenna i tak nie dzwoniłaby do domu. Zmiennokształtni mają jakiś rodzaj stadnej świadomości, a elfowie wykorzystują wiatr lub latające owady, żeby wysyłać informacje. Tego ranka widziałam Nauzykaę szepczącą coś do ważki.

Jeśli chodzi o czarownice i czarnoksiężników, istnieje ponoć mnóstwo najrozmaitszych zaklęć, dzięki którym można rozmawiać z innymi osobami - od słów pojawiających się na ścianie po koty przekazujące wiadomości. Niestety ja nie znałam żadnego z tych czarów, a nawet gdybym znała, to i tak nadają się one wyłącznie do kontaktów z innymi czarownicami. A ponieważ mama jest człowiekiem, byłam skazana na telekomunikację.

Podniosłam słuchawkę, krzywiąc się z powodu uczucia lepkości w spoconej ręce.

Parę sekund później mama odebrała telefon.

- Tato jest szefem Rady - oznajmiłam, zanim skończyła mówić „cześć”.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Och, Sophie, zamierzałam ci o tym powiedzieć.

- Ale nie powiedziałaś - odparłam, ze zdumieniem czując, że coś ściska mnie w gardle.

- Sophie...

- Nic mi nie powiedziałaś. - Piekły mnie oczy i miałam wrażenie, że nie wyduszę z siebie ani słowa. - Nie powiedziałaś mi, kim jest tato, nie powiedziałaś, że jestem zapewne najpotężniejszą czarownicą, wiesz, jakby... w historii. Nie powiedziałaś mi, że to tato, no wiesz... skazał mnie na ten zakład.

- Nie miał wyboru - odparła mama zmęczonym głosem. - Gdyby jego córkę ominęła kara, jak by to wyglądało w oczach reszty Prodigium?

Otarłam policzek wierzchem dłoni.

- Jasne, bardzo bym nie chciała zaszkodzić mu w karierze - odpowiedziałam.

- Kochanie, może zadzwonię do twojego taty i wtedy...

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ludzie chcą mnie zabić?

Mama wydała coś w rodzaju zduszonego jęku.

- Kto ci to powiedział? - zapytała, a w jej głosie pobrzmiwał gniew jeszcze większy niż mój.

- Pani Casnoff - odpowiedziałam.

Dyrektorka zaraz po tym, jak zrzuciła bombę na temat moich zdolności, wyjaśniła mi, że to był jeden z powodów wysłania mnie do Hekate. Żebym była bezpieczna. „Nie możesz mieć tego za złe ojcu - powiedziała. - L'Occhio di Dio zabiło również Lucy w 1974 roku, a i na życie twojego taty było kilka zamachów. Przez piętnaście lat był w stanie utrzymywać istnienie córki w tajemnicy. Ale teraz... To tylko kwestia czasu, kiedy L'Occhio di Dio to odkryje, a ty byłabyś bezbronna w zwykłym świecie". „A co... co z tymi Irlandczykami?" - wychrypiałam. Pani Casnoff odwróciła wzrok. „Brannickami nie musimy się w tej chwili martwić" - powiedziała krótko. Wiedziałam, że to nieprawda, ale byłam w zbyt wielkim szoku, żeby się z nią kłócić.

- Czy to prawda? - zapytałam mamę. - Czy tato wpakował mnie tutaj, ponieważ zagraża mi niebezpieczeństwo?

- Daj mi natychmiast panią Casnoff do telefonu. - Mama nie odpowiedziała na moje pytanie. Teraz słyszałam w jej głosie nie tylko gniew, ale również strach.

-Czy to prawda? - powtórzyłam. Ponieważ nie odpowiedziała, zapytałam raz jeszcze, krzycząc.

Gdzieś w głębi korytarza usłyszałam skrzypienie. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam Taylor wyglądającą z pokoju. Na mój widok pokiwała tylko nieznacznie głową i zamknęła drzwi.

- Sophie - powiedziała mama - słuchaj, my... pogadamy, kiedy przyjedziesz do domu na ferie zimowe, okej? Nie chciałabym rozmawiać o tym przez telefon.

- A więc to prawda - powiedziałam, zanosząc się płaczem.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Zastanawiałam się już, czy się nie rozłączyła. W końcu jednak westchnęła ciężko.

- Porozmawiamy o tym później.

Trzasnęłam słuchawką. Telefon zatrzeszczał z oburzeniem.

Osunęłam się po ścianie na podłogę, podciągnęłam kolana pod brodę i oparłam na nich głowę.

Przez chwilę siedziałam tak bez ruchu, oddychając głęboko i starając się powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Jakaś cząstka mnie miała dziwaczne poczucie winy; fakt bycia

superczarownicą czy czymś w tym rodzaju chyba powinien wywołać podniecenie. Ale nie wywołał. Najchętniej zostawiłabym lśniąca skórę, fruujące włosy i oszałamiający wygląd Elodie i jej dziewczynom. Sama wolałabym otworzyć małą herbaciarnię albo inny sklepik, gdzie mogłabym sprzedawać książki o astrologii i czakramach. To byłoby fajne. Mogłabym nawet nosić powiewną fioletową szatę...

Potrząsnęłam głową, żeby przerwać ten mentalny monolog. Znowu dostałam gęziej skórki. Poczułam się dziwnie.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że na końcu korytarza stoi dziewczyna znad jeziora. Z tak bliska widziałam, że jest mniej więcej w moim wieku. Miała zmarszczone czoło, a kwiecista sukienka powiewała wokół jej nóg, jakby na wietrze.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, żeby zapytać ją, kim jest, odwróciła się szybko na pięcie i odeszła. Nasłuchiwałam, ale jej buty nie wydawały żadnego dźwięku w zetknięciu z drewnianą podłogą.

Gęsia skórka rozpełzła mi się po całej skórze. To zapewne dziwne: chodzić do szkoły dla potworów, a równocześnie bać się duchów, ale już wszystko zaczynało trącić komedią. Widziałam tę dziewczynę po raz trzeci i za każdym razem miałam wrażenie, że badawczo mi się przygląda. Ale dlaczego?

Wstałam powoli i ruszyłam korytarzem przed siebie. Zatrzymałam się na rogu, bojąc się trochę, że dziewczyna może tam być, czekać na mnie.

Co ona może ci zrobić, Sophie? - pomyślałam. Krzyknąć „buu!”? Przejść przez ciebie? To przecież duch, na miłość boską. A mimo to wstrzymywałam dech, kiedy wychodziłam zza rogu.

I wpadłam na coś całkiem materialnego.

Chciałam krzyknąć, ale wyszło mi tylko jękliwe „aaach!”

Podtrzymały mnie czyjeś ręce.

- Hej - powiedziała Jenna, śmiejąc się cicho.

- Och. Cześć - powiedziałam, ledwie chwyając oddech po tym zderzeniu i czując ogromną ulgę.

- Wszystko w porządku? - Przyglądała mi się z niepokojem.

- To był długi dzień.

Uśmiechnęła się. §

- Z pewnością. Słyszałam już o zajściu z Vandy. Jęknęłam. Przez te rodzinne sekrety, zabójców i duchy

zapomniałam całkowicie o grożącym mi bezpośrednio niebezpieczeństwie.

- To wszystko moja wina. Nie powinnam była słuchać Elodie.

- Owszem, nie powinnaś - potaknęła Jenna, kręcąc na palcu swój różowy kosmyk. - Czy to prawda, że dostałaś dyżury w piwnicy na resztę semestru?

- Aha. Co to jest, tak swoją drogą?

- Okropieństwo - odpowiedziała bezlitośnie. - Rada trzyma tam wszystkie wyrzucone przedmioty magiczne, które po prostu walają się po piwnicy. Uczniowie na dyżurach usiłują skatalogować te śmieci.

- Usiłują?

- Wiesz, to są straszne graty, ale graty magiczne, więc się rozłają. Katalogowanie nie ma sensu, ponieważ nic nie zostaje na swoim miejscu.

- Super - mruknęłam.

- Uważaj, Sophie. Pijawka wygląda na głodną.

Spojrzałam ponad ramieniem Jenny i zobaczyłam stojącą na końcu korytarza Chaston. Nigdy wcześniej nie widziałam jej bez towarzystwa Elodie i Anny, więc doznałam niejakiego szoku. Chaston skrzywiła się pogardliwie, ale sprawiało to raczej wrażenie nieudolnego naśladownictwa Elodie niż prawdziwej pogardy.

- Spadaj, Chaston - odparłam ze złością.

- Czarownica na kolację - rzuciła jeszcze z paskudnym chichotem, zanim znikła w swoim pokoju.

Stojąca obok mnie Jenna pobladła jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Może to była gra świateł, ale miałam wrażenie, że jej oczy przez ułamek sekundy błysnęły czerwienią.

- Pijawka - mruknęła. - To coś nowego.

- Ej - powiedziałam, potrząsając ją za ramię. - Nie daj im się sprowokować. Zwłaszcza jej. Nie jest tego warta.

Jenna potaknęła.

- Masz rację - powiedziała, ale nie spuszczała wzroku z drzwi Chaston. - Idziesz na klasyfikację zmiennokształtnych?

Pokręciłam głową.

- Casnoff dała mi wolne - odparłam. Jenna na szczęście nie zapytała dlaczego.

- Super. W takim razie do zobaczenia na kolacji.

Kiedy sobie poszła, chciałam przez chwilę wrócić do pokoju i poczytać albo po prostu się zdrzemnąć, ale zamiast tego zbiegłam na dół, do biblioteki. Jej pomieszczenia, podobnie jak reszta budynku, wydawały mi się teraz znacznie mniej zaniedbane. Fotele nie przypominały już gotowych mnie pożyć grzybów i nawet sprawiały wrażenie całkiem wygodnych.

Wystarczyła chwila przechadzki wzdłuż regałów, żeby znaleźć to, czego szukałam.

Księga była czarna i miała popękany grzbiet. Zamiast tytułu na okładce widniało wici kie



złote oko.

Usiadłam w jednym z foteli i podciągnęłam nogi, po czym otwarłam księgę na przypadkowej stronie. Znalazłam trochę ilustracji na błyszczącym papierze, w większości reprodukcji obrazów, aczkolwiek dołączono tam też kilka niewyraźnych fotografii rozpadającego się zamku we Włoszech, który miał być główną siedzibą UOcchio di Dio. Przewracałam kartki, aż znalazłam obrazek, który zapamiętałam z książki mamy. Był równie okropny jak tamten: leżąca na plecach czarownica z wielkimi ze strachu oczami i ciemnowłosy mężczyzna pochylający się nad nią ze srebrnym sztyletem. I Oko wytatuowane na jego piersi.

Zostawiłam ilustracje i zajęłam się tekstem.

*Stowarzyszenie powstało w 1129 roku we Francji jako odłam zakonu templariuszy i pierwotnie stanowiło organizację rycersko-zakonną, której zadaniem było oczyszczanie świata z demonów. Siedziba przeniosła się wkrótce do Italii, gdzie zakon przyjął oficjalną nazwę L'Occhio di Dio - Oko Boga. Zgromadzenie zasłynęło wkrótce okrutnymi czynami wobec Prodigium, ale znane było również z ataków na ludzi wspierających Prodigium. Po pewnym czasie przekształciło się ze zgromadzenia rycerskiego w formację zbliżoną do organizacji terrorystycznej. Wielce tajemnicze L'Occhio di Dio jest elitarną grupą zabójców, którzy mają tylko jeden cel - całkowite zniszczenie Prodigium.*

- Milutkie - mruknęłam pod nosem. Przerzuciłam kolejne kilka stron. Reszta książki zawierała dzieje przywódców grupy i ich najznakomitszych ofiar.

Przejrzałam listę nazwisk, ale nie znalazłam na niej Alice Barrow. Może pani Casnoff się myliła i Alice nie była wcale aż tak grubą rybą.

Miałam już odłożyć książkę na półkę, kiedy mój wzrok przyciągnęła czarno-biała ilustracja, przyprowadzając mnie o dreszcz. Przedstawiono na niej czarownicę leżącą na łożku z przechyloną głową i pustym spojrzeniem. Za nią stali dwaj posepni mężczyźni w czerni, spoglądający na jej ciało. Mieli koszule rozchylone na tyle, żeby dało się dojrzeć tatuaże na piersi. Jeden z nich trzymał długi, wąski, zastrzony kołek, zupełnie jak szpikulec do lodu. Drugi miał w ręce słoik podejrzanie wyglądającego ciemnego płynu. Spojrzałam na podpis pod obrazkiem.

*Jakkolwiek wydarcie serca jest najpowszechniej stosowanym przez Oko sposobem zabijania ofiar, znane są również przypadki spuszczenia krwi istot Prodigium. Czy dzieje się tak, aby obarczyć winą wampiry, czy też z innych powodów, niewiadomo.*

Patrzyłam z drzeniem na czarownicę o martwych oczach. Nie miała na szyi dziur jak Holly, ale ci mężczyźni najwyraźniej w jakiś sposób pozbawili ją krwi.

Jednak to przecież niemożliwe. Znajdowaliśmy się na wyspie, a wokół tego miejsca umieszczono więcej zaklęć zabezpieczających, niż byłabym w stanie policzyć. Nie ma możliwości, żeby ktoś z Oka przedarł się tu niezauważony.

Przerzuciłam jeszcze raz karty książki, szukając rozdziałów poświęconych pokonywaniu przez Oko zaklęć ochronnych, ale wszędzie czytałam, że oni nie posługują się magią, wyłącznie brutalną siłą.

Później, gdy już przemyślałam książkę do pokoju, pokazałam ten obrazek Jennie.

Myślałam, że ją to zainteresuje, jednak ona ledwie rzuciła okiem, po czym odwróciła się i weszła do łóżka.

- L'Occhio di Dio nie zabija w ten sposób - powiedziała, gasząc światło. - Oni nigdy się nie ukrywają, nic z tego. Oni chcą, żeby ludzie wiedzieli, że to ich robota.

- Skąd to wiesz? - zapytałam.

Leżała przez chwilę w milczeniu i pomyślałam już, że mi nie odpowie.

Ale nagle w ciemności rozległ się jej głos.

- Ponieważ widziałam ich w akcji na własne oczy.

## ROZDZIAŁ 15

Dwa dni później zaczęłam dyżur w piwnicy.

Powinno może od razu zaznaczyć, że nigdy wcześniej nie byłam w żadnej piwnicy. Prawdę mówiąc, nie widzę powodu do odwiedzania takich miejsc, chyba że chodzi o wino.

Ta konkretna piwnica wyglądała wyjątkowo nieprzyjemnie. Przede wszystkim za podłogę miała klepisko... bueee. Powietrze było zimne pomimo upału na zewnątrz i śmierdziało stęchlizną oraz wilgocią. Dodajcie do tego wysokie sklepienie z nagimi żarówkami, maleńkie okienko wychodzące na stertę kompostu za szkołą, a także ciągnące się w nieskończoność półki z zakurzonymi gratami. Nagle zrozumiałam, dlaczego cały semestr dyżurów piwnicznych jest takim koszmarem. Na dodatek Vandy postanowiła być okrutna i przeznaczyła na nie trzy wieczory w tygodniu, zaraz po kolacji. Kiedy więc wszyscy odpoczywali w pokojach albo pisali zadania z epiki dla Lorda Byrona, Archer i ja zajmowaliśmy się katalogowaniem śmieci, które Rada uznała za zbyt ważne, żeby wyrzucić, ale niedostatecznie ważne, żeby trzymać w kwaterze głównej w Londynie.

Jenna usiłowała mnie rano pocieszyć, mówiąc, że przynajmniej będę pracowała z seksownym

chłopakiem.

- Archer nie jest seksowny - odparowałam. - Usiłował mnie zabić, a jego dziewczyna to diablica.

Muszę jednak przyznać, że kiedy staliśmy obok siebie na stopniach piwnicy, słuchając bełkotu Vandy na temat tego, co mamy tu robić, nie byłam w stanie powstrzymać się od zerkania na niego i stwierdziłam, że niezależnie od morderczych skłonności i demonicznych sympatii był piekielnie seksowny. Jak zwykle miał poluzowany krawat i podwinięte rękawy koszuli. Patrzył na Vandy tym swoim znudzonym, lekko rozbawionym wzrokiem, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

Ta poza doskonale służyła ekspozycji jego klatki piersiowej i barków. Czy to nie skrajna niesprawiedliwość, że ze wszystkich ludzi to właśnie Elodie udało się go poderwać? To znaczy gdzie tu sprawiedliwość, skoro...

- Panno Mercer! - burknęła Vandy, a ja podskoczyłam tak wysoko, że omal nie straciłam równowagi.

Chwyciłam się poręczy, a Archer podtrzymał mnie za łokieć.

Po czym mrugnął do mnie, a ja natychmiast skierowałam całą uwagę z powrotem na Vandy, jakby była ona najbardziej fascynującą osobą, jaką w życiu spotkałam.

- Czy mam coś powtórzyć, panno Mercer? - syknęła szyderczo.

- N-nie. Wszystko zrozumiałam - wyjąkałam.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie. Sądzę, że zamierzała wygłosić jakąś dosadną puentę. Ale Vandy, podobnie jak większość wrednych ludzi, była głupia, więc w końcu tylko coś warknęła i przepchnęła się między mną a Archerem w górę schodów.

- Macie godzinę! - rzuciła jeszcze przez ramię.

Pradawne drzwi nie tyle zaskrzypiały, ile zawyły z bólu, kiedy nimi trzasnęła. |

Ku swemu przerażeniu usłyszałam zgrzyt klucza w zamku.

-Czy ona właśnie zamknęła nas tu na klucz?- zapytałam Archera głosem znacznie wyższym, niż zamierzałam.

- Aha - odparł, zbiegając po schodach, żeby wziąć jeden z segregatorów, które Vandy położyła na niebezpiecznie chybotliwym rzędku słoików.

- Ale czy to.\*, nie wbrew przepisom? Uśmiechnął się, ale nie podniósł wzroku znad notatek

- Musisz zapomnieć o uroczych ludzkich pomysłach takich jak przepisy, Mercer.

Nagle uniósł głowę z szeroko otwartymi oczami.

- O rany! Właśnie mi się coś przypomniało.

Odłożył segregator i przez chwilę szukał czegoś w kieszeni.

- Masz - powiedział, podchodząc i wsuwając mi coś w dłoń.

Spojrzałam w dół. Paczka chusteczek higienicznych.

- Dupek. - Rzuciłam mu chusteczki pod nogi i ruszyłam w głąb piwnicy, czując, że się przeraźliwie rumienię.

- Nie dziwię się, że chodzisz z Elodie - mruknęłam, podnosząc segregator i robiąc wielkie przedstawienie z przewracaniem kartek. Było ich dwadzieścia, na każdej wymieniono około pięćdziesięciu przedmiotów. Przebiegłam oczami po liście, na której znajdowały się między innymi takie eksponaty, jak „Pętla: Rebecca Nurse” i „Odcięta ręka: A. Voldarf.

Wyciągnęłam dziesięć pierwszych stron i podałam je Archerowi wraz z długopisem.

- Weź połowę - powiedziałam, nie patrząc mu w oczy, i pomaszero wałam ku półkom położonym jak najdalej, tuż pod niewielkim okienkiem.

Przez chwilę stał bez mchu i byłam pewna, że chciał coś

powiedzieć, ale w końcu tylko westchnął i udał się na drugi koniec pomieszczenia.

Przez mniej więcej kwadrans pracowaliśmy w całkowitym milczeniu. Jakkolwiek Vandy zajęło wieczność wytłumaczenie nam, o co chodzi, robota okazała się w ramie łatwa, choć kosmicznie żmudna. Musieliśmy oglądać przedmioty na półkach, a następnie odszukać ich nazwy na liście i zapisywać, na którym regale i półce się znajdowały. Problem polegał na tym, że żaden z eksponatów nie został wcześniej opisany, czasami więc ciężko było wymyślić, czym jest. Na przykład na półce G 5 leżał kawałek czerwonego materiału, który równie dobrze mógł być „Kawałkiem okładki grymuaru: C. Catellan”, jak i „Skrawkiem ceremonialnej szaty: S. Cristakos”!

Oczywiście mogło to też być coś zupełnie innego, na dodatek ujętego na liście Archera. Szło by nam szybciej, gdybyśmy pracowali razem, ale ja wciąż się wściekałam o chusteczki.

Przykucnęłam i wyciągnęłam z dolnej półki zniszczony skórzany bęben. Przebiegłam wzrokiem listę, ale nic takiego nie znalazłam. Wiedziałam, że nie powinnam była się przy Archerze rozplakać, ale nie mogłam się pogodzić z faktem, że okazał się takim draniem i się ze mnie naśmiewał. Nie, żebyśmy byli dobrymi kumplami, nie, ale tamtego pierwszego wieczoru miałam wrażenie, że troszkę się zaprzyjaźniliśmy. Najwyraźniej się myliłam.

- To był żart - odezwał się nagle Archer.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że kuca tuż za mną.

- Spadaj. - Wróciłam do półki.

- O co ci chodziło z tym o mnie i Elodie? - zapytał. Przewróciłam oczami, wstałam i przeszłam ku regałowi H.

- Naprawdę tak trudno się domyślić? Przecież ona miała ze mnie niezły ubaw tamtego dnia, więc wypada, żebyś ty jako jej chłopak również się ze mnie wyśmiewał. To bardzo piękne, kiedy pary mają podobne zamiłowania.

- Ej - warknął. - Ja też tu jestem z powodu zabaw Elodie, pamiętasz? Usiłowałem ci pomóc.

- A ja cię wcale o to nie prosiłam - odparłam, udając, że niezwykle zainteresowało mnie coś, co z początku wyglądało jak kupka liści pływających w słoiku z jakimś bursztynowym płynem.

Po czym uświadomiłam sobie, że nie są to liście, ale małe ciała elfów.

Z trudem powstrzymałam odruch odrzucenia tego jak najdalej i wydania jakiegoś dźwięku w rodzaju „BU-UUUUUUUUU!!!”. Przerzuciłam kartki w poszukiwaniu wpisu, który mówiłby o „małych martwych elfach”.

- No więc nie martw się - warknął Archer, przeglądając swoją listę. - To się już nie powtórzy. Milczeliśmy przez chwilę, wpatrzeni w nasze listy.

- Widziałaś coś, co mogłoby być kawałkiem sukna z ołtarza? - spytał w końcu.

- Sprawdź G 5 - odparłam.

A potem on powiedział ot tak:

- Ona nie jest taka zła, wiesz. Elodie. Musisz ją tylko lepiej poznać.

- To właśnie zaszło między wami dwojgiem?

-Co?

Przełknęłam ślinę, czując się nagle nieswojo. W sumie nie miałam ochoty słuchać poetyckich zachwyków Archera nad Elodie, ale ciekawość zwyciężyła.

- Jen na mówiła mi, że swego czasu byłeś dumnym członkiem klubu Wrogów Elodie. Co się zmieniło?

moją niewyparzoną gębę. Czerwona jak burak rzuciłam Archerowi ukradkowe spojrzenie.

Przyglądał mi się absolutnie zdumiony. Po czym wybuchnął śmiechem.

Roześmiałam się także i po chwili siedzieliśmy oboje na klepisku, ocierając łzy płynące nam z oczu. Dawno już z nikim się nie śmiałam, dawno też nie robiłam sobie niewybrednych żartów i nie pamiętałam już, jakie to fajne. Przez moment zapomniałam o oczywistościach, że jestem wytworem czarnej magii, a na dodatek prześladowuje mnie duch.

Czułam się świetnie.

- Wiedziałem, że cię lubię, Mercer - powiedział Archer, kiedy w końcu przestał się zanosić śmiechem, a ja byłam bardzo zadowolona, że mogę zwalić winę za moje rumieńce na tę głupawkę.

- Zaczekaj - powiedziałam, opierając się o regał i usiłując złapać oddech. - Skoro wszyscy zostają zaręczeni w wieku trzynastu lat, to czy ona też nie ma kogoś, kto się z nią ożeni?

Potaknął.

- Ale, jak ci mówiłem, jest to dobrowolne. Zaręczyny można negocjować. A wiesz, ja mam opinię niezłej partii.

- Co za skromność - prychnęłam, rzucając w niego długopisem.

Złapał go bez trudu.

Gdzieś ponad nami drzwi wydały z siebie znów ten przeraźliwy zgrzyt, więc oboje skoczyliśmy na równe nogi z poczuciem winy, jakbyśmy się obściskiwali albo co.

Nagle myśli zalał mi obraz mnie i Archera całujących się pod jedną z półek i poczułam, że rumieniec rozlewa mi się z policzków na całe ciało. Wcale nie zamierzałam gapić się na jego usta. Kiedy podniosłam wzrok, Archer patrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Ale podobnie jak wtedy kiedy spojrzał na mnie na schodach pierwszego wieczoru, teraz też pozbawiło mnie to oddechu. W zasadzie to nawet się ucieszyłam, kiedy rozległ się nad nami krzyk Vandy,

- Mercer! Cross!

Jej szorstki, nieprzyjemny głos podziałał na mnie jak zimny prysznic i całe napięcie znikło. Moje lubieżne myśli rozwiały się, kiedy tylko wynurzyliśmy się z piwnicy.

- Środa, ta sama godzina, to samo miejsce - rzuciła za nami Vandy, gdy pognaliśmy w kierunku schodów.

Elodie oczywiście czekała na Archera na drugim piętrze, siedząc na zniszczonej niebieskiej kanapie. Stojąca obok lampa rzucała miękkie złote światło na jej nieskazitelną skórę i podkreślała czerwone błyski we włosach.

Odwrociłam się do Archera, ale on gapił się na Elodie jak... no, jak ja na niego.

Nie zwracałam sobie nawet głowy mówieniem mu dobranoc tylko pobiegłam na górę, do pokoju.

Jenny nie było, a po całej tej ohydzie piwnicy zdecydowanie potrzebowałam prysznic. Porwałam ręcznik z kufra, wyjęłam podkoszulek i spodnie od piżamy z komody.

Na piętrze panowała cisza. Chłopcy i dziewczyny mogli przebywać razem do dziewiątej, a że minęła dopiero siódma, zakładałam, że wszyscy siedzą jeszcze we wspólnych pokojach na dole.

Kiedy dotarłam do łazienki i otwierałam drzwi, myślami tyłam wciąż przy Archerze (i ogólnej obciachowości bycia zakochanym w kimś, kto chodzi z boginią). W pomieszczeniu było gęsto od pary i ledwie widziałam cokolwiek przed sobą. Kiedy zrobiłam krok do przodu, poczułam wokół stóp ciepłą wodę. Słyszałam też, że gdzieś jest odkręcony kran.

- Hej? - zawołałam.

Nikt nie odpowiedział, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś zostawił płynącą wodę dla żartu. Pani Casnoff nie byłaby zachwycona. Gorąca woda nie działa dobrze na dwóch setletnie podłogi.

W tym momencie jednak para zaczęła się przeredzać, wypływając przez otwarte drzwi za

moimi plecami. A ja zobaczyłam, dlaczego kran był wciąż odkręcony. Uświadomienie sobie tego, co miałam przed oczami, zajęło mi dłuższą chwilę. Z początku pomyślałam, że może Chaston po prostu zasnęła w wannie, a woda zaróżowiła się od jakichś soli kąpielowych czy innych kosmetyków. Po czym zorientowałam się, że jej oczy nie były zamknięte, ale tylko półprzymknięte, jakby była pijana. A tym, co zabarwiło wodę na różowo, była jej krew.

## ROZDZIAŁ 16

Zauważyłam maleńkie ranki od ukłuc tuż pod żuchwą oraz dłuższe, znacznie paskudniejsze szramy na obu nadgarstkach, z których krew spływała wciąż na podłogę.

Niewiele myśląc, rzuciłam się ku Chaston, mamrocząc pod nosem zaklęcie leczące. Wiedziałam, że nie było najlepsze. Raz w życiu udało mi się wyleczyć otarte kolano, ale uznałam, że i tak warto spróbować. Na moich oczach dziurki w jej szyi zasklepiły się na moment, po czym skóra rozstała się ponownie. Pociągnęłam nosem. Dlaczego moja magia jest tak beznadziejna?

Chaston zamrużyła powiekami i poruszyła ustami, jakby usiłowała coś powiedzieć.

Pobiegłam do drzwi.

- Pani Casnoff! Dziewczyny! Pomocy!

W drzwiach pokoi pojawiło się kilka twarzy.

- O Boże - usłyszałam czyjś jęk. - Tylko nie to.

Pani Casnoff pojawiła się na schodach w szlafroku i z włosami zaplecionymi w długi, opadający na plecy warkocz. Kiedy tylko zorientowała się, skąd dochodzą moje krzyki, pobladała. A mnie z jakichś powodów załamał widok jej tak przestraszonej twarzy. Kolana pode mną zadrżały i poczułam, że coś mi ścisnęło gardło.

- To... to Chaston - wyjąkałam. - Ona... Jest mnóstwo krwi...

Pani Casnoff chwyciła mnie za rękę i zajrzała do łazienki. Zaciśnęła mocniej palce na mojej dłoni. Pochyliła się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Sophio, idź i zawołaj Cala najszybciej, jak zdołasz. Wiesz, gdzie jest jego mieszkanie?

W głowie miałam coś na kształt jajecznicy, jak w kreskówce.

- Ogrodnika? - zapytałam głupkowato. Czego pani Casnoff mogła od niego chcieć? Czy on jest jakimś ratownikiem medycznym czy co?

Dyrektorka potaknęła, nie puszczając mojej ręki.

- Tak. Cala - powtórzyła. - Mieszka obok jeziora. Znajdź go i powiedz mu, co się stało.

Odwróciłam się i pobiegłam ku schodom. Po drodze zobaczyłam Jennę wychodzącą z

naszego pokoju. Chyba mnie zawołała, ale wybiegłam już przez główne drzwi w mrok nocy. Mimo że za dnia było ciepło, teraz panował taki chłód, że na całych rękach zrobiła mi się gęsia skórka. Jedyne światło dochodziło ze szkoły za moimi plecami - wielkie prostokątne okien rzucały ogromne jasne plamy na trawnik. Wiedząc, że jezioro jest po mojej lewej, skierowałam się biegiem w tamtą stronę. Zimne powietrze raniło mi płuca jak nóż. Przed sobą widziałam ciemny niewyraźny kształt i żywiłam szczerą nadzieję, że jest to domek Cala, a nie na przykład jakaś szopa. Mimo że usiłowałam odsunąć od siebie panikę, przed oczami miałam wyłącznie wykrwawiającą się na śmierć Chaston i jej krew na czarno-białych kafelkach.

Z bliska przekonałam się, że budynek przede mną był zdecydowanie domkiem, nie szopą. Ze środka dobiegała cicha muzyka, w oknie świeciło się słabe światło.

Dyszałam tak ciężko, że nie byłam pewna, czy uda mi się wydobyć z siebie choćby jedno słowo.

Zaczęłam walić w drzwi, które niemal natychmiast się otwały i przede mną stanął Cal.

Wyobrażałam go sobie jako starego i zwałistego plus obowiązkowy element opryskliwości, więc dość mnie zszokował widok młodego przystojniaka, którego pierwszego dnia w szkole wzięłam za czyjś starszego brata. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat, a jedynym ustępstwem na rzecz stereotypu była flanelowa koszula i lekko poirytowane spojrzenie.

- Uczniom nie wolno... - zaczął, ale przerwałam mu natychmiast.

- Pani Casnoff przysłała mnie po ciebie. Chodzi o Chas-ton. Ona jest ranna.

Jak tylko powiedziałam „pani Casnoff, ogrodnik zamknął za sobą drzwi, po czym wyminął mnie i pobiegł przez podwórze w kierunku domu. Choć nie miałam już siły na bieg, dzielnie powlekłam się za nim.

Kiedy dotarłam z powrotem do łazienki, zdążyli już wyjąć Chaston z wanny i owinać ją w ręcznik. Rany na szyi i rękach miała zabandażowane. Wciąż jednak była bardzo blada i miała zamknięte oczy.

Ubrane w piżamy Elodie i Anna stały przytulone koło umywalki, pociągając nosami. Pani Casnoff klęczała przy głowie Chaston, mruczając coś pod nosem, ale czy było to po prostu coś uspokajającego, czy magia, nie miałam pojęcia.

Gdy zobaczyła Cala, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, znosząc napięcie, w związku z czym wyglądała teraz bardziej jak zaniepokojona babcia niż groźna dyrektorka szkoły.

- Dzięki - powiedziała cicho.

Wstała, a ja zobaczyłam, że jej jedwabny szlafrok jest cały mokry na kolanach i zapewne zniszczony. Ona jakby tego nie zauważała.



- Do mojego gabinetu - powiedziała do Cala, który przyklęknął i wziął Chaston na ręce.

Pani Casnoff wyszła na korytarz i rozgarnęła ramionami tłum zgromadzonych przed łazienką uczniów.

- Dajcie przejść, dzieci. Zapewniam was, że pannie Burnett nic nie będzie. To tylko drobny wypadek.

Wszyscy się cofnęli, a Cal wyszedł z łazienki z Chaston w ramionach. Jej policzek opierał się o jego pierś i zobaczyłam, że miała posiniałe wargi.

Kiedy cała trójka znikła na schodach, usłyszałam za sobą czyjeś tęskne westchnienie. Odwróciłam się i dostrzegłam Siobhan opartą o framugę drzwi.

- O co chodzi? - zapytałam. - Nie mów mi, że oddałabyś dobrowolnie nieco krwi, byle tylko on cię w ten sposób nosił.

Siobhan poruszyła się dopiero, kiedy Elodie i Anna wyszły z łazienki wstrząśnięte i blade. Elodie utkwiała wzrok w czymś, co znajdowało się za mną, i zmrużyła oczy.

- To ty - burknęła.

Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą w drzwiach naszego pokoju Jennę.

- To twoje dzieło - ciągnęła Elodie, zbliżając się powoli do wampirzycy, która, dowodząc tego, że jest albo bardzo odważna, albo całkiem szalona, stała w miejscu, nie spuszczając z niej oczu.

Nastrój panujący na korytarzu się zmienił. Myślę, że jakkolwiek wszystkie martwiłyśmy się o Chaston, wszystkie również wyczekiwałyśmy starcia Elodie z Jenną. Może po części po to, żeby zatrzeć w pamięci tę kałużę krwi na po sadzce, a może dlatego, że nastolatki to okropne stworzenia, które lubią patrzeć na walkę między innymi dziewczynami. Kto wie?

Spokój Jenny zachwiał się na moment i spojrzała w dół, na swoje stopy. Niemniej kiedy podniosła z powrotem głowę, miała ten sam znudzony, apatyczny wyraz twarzy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Kłamiesz! - wrzasnęła Elodie, a po jej policzkach potoczyły się łzy. - Wszyscy jesteście zabójcami, wy, wampiry! Nie ma tu dla ciebie miejsca.

- Ona ma rację - odezwał się ktoś śpiewnie i zobaczyłam, że przez tłum przepycha się Nauzykaa, trzepocząc gniewnie skrzydłami i powodując wokół siebie lekki wiaterek. Zaraz za nią stała Taylor z szeroko otwartymi ciemnymi oczami.

Jenna się zaśmiała, ale był to wymuszony śmiech. Rozejrzałam się dookoła: wokół niej zgromadził się tłumek. Wyglądała na bardzo kruchą i samotną.

- No i co? - zapytała drżącym lekko głosem. - Żadna z was nigdy nie zabiła? Żadna z was, czarownice, zmienne i elfki? Wampiry to jedyne stworzenia, którym zdarza się odbierać życie?

Oczy wszystkich były utkwione w Elodie. Chyba spodziewaliśmy się, że za moment skoczy Jennie do gardła.

Ale ona miała moc i wiedziała o tym doskonale. Jej zielone oczy rzucały iskry, kiedy wydeła usta w pogardliwy grymas.

- Co ty w ogóle wiesz? Nawet nie jesteś prawdziwym Prodigium.

Oddech, który wszystkie wstrzymywałyśmy, zamienił się w jednoczesny jęk. Powiedziała to. To, co wszystkie od dawna myślały, ale żadna nigdy nie odważyła się wyrazić głośno.

- Moc naszych rodzin ma swe źródło w starożytności -ciągnęła Elodie z pobladłą twarzą, jeśli nie liczyć dwóch

czerwonych plam na policzkach. - Jesteśmy potomkami aniołów. A czym ty jesteś? Żalosa ludzką istotą, którą pożywił się pasożyt. Jesteś potworem. Jenna drżała.

- A więc jestem potworem. A co z tobą, Elodie? Holly powiedziała mi, co ty i twoje przyjaciółeczki usiłowałyście zrobić.

Myślałam, że Elodie odparuje czymś równie nieprzyjemnym, ale ona tylko pobladła jeszcze bardziej. Anna przestała płakać i chwyciła kurczowo Elodie za rękę.

- Chodźmy - powiedziała błagalnie piskliwym głosem.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła Elodie, ale wyglądała teraz na przestraszoną.

- Akurat, nie wiesz. Ten wasz bezsensowny sabat usiłował wezwać demona^

Mogłoby się wydawać, że teraz tłum krzyknie. Ja krzyknęłam. Reszta milczała.

Elodie nie spuszczała wzroku z Jenny, ale wydało mi się, że Anna pisnęła.

Zmieszana tym spojrzeniem Jenna zaczęła trąkotać.

- Powiedziała mi, że chcecie więcej mocy i że chcielibyście odprawić rytuał przyzwania, i potrzebowałyście w tym celu ofiary. I... i musiałyście pozwolić demonowi pożywić się... pożywić się kimś, więc.

Elodie odzyskała spokój.

- Demona? Uważasz, że mogłybyśmy przyzwać tu demona, a pani Casnoff, Vandy i cała Rada nie rzuciliby się na nas? Wybacz,

Ktoś w tłumie zaśmiał się szyderczo i napięcie minęła. Jedna osoba, która się roześmieje, daje do tego prawo wszystkim pozostałym, więc cały tłum ryknął śmiechem.

Jenna stała wsłuchana w ten prześmiewczy rechot dużo dłużej, niż ja bym wytrzymała.

Następnie przepchnęła się koło mnie, pomaszzerowała korytarzem do naszego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Kiedy znikła, zaczęły się szepty.

- Kto będzie następny? - spytała cicho Nauzykaa Siobhan. Siobhan wzruszyła błękitnymi skrzydłami.

- Ja tylko podfrunęłam, żeby złapać autobus - powiedziała. - Nie zasłużyłam na to, żeby

zamykali mnie tu z zabójcami.

- Jenna nie jest zabójczynią - oznajmiłam, ale zdałam sobie sprawę, że wcale nie wiem tego na pewno. Była wampirem. Wampiry żywią się ludźmi.

I może czarownicami.

Nie. Odsunęłam od siebie tę myśl na wspomnienie tego, jak bardzo Jenna starała się nie patrzeć na moją krew w pierwszym dniu.

Ku memu zdumieniu następną, która się wtrąciła, była Taylor.

- Sophie ma rację. Nie ma żadnych dowodów, że Jenna kogokolwiek zabiła.

Nie miałam pojęcia, czy powiedziała tak dlatego, że naprawdę w to wierzyła, czy też po prostu chciała wkurzyć Nauzykaę, ale i tak byłam jej wdzięczna.

- Dzięki - powiedziałam, jednak w tej samej chwili między mną a Taylor stanęła Beth.

- Nie wierzyłabym w ani jedno słowo Sophie Mercer, Taylor.

Wybałuszyłam na nią oczy. Gdzie się podziało całe nasze bratanie się przez wacanie włosów?

- Rozmawiałam z innymi łakami i dowiedziałam się, że jej tato jest przewodniczącym Rady.

Na te słowa rozległy się pomruki, a kilka starszych dziewcząt rzuciło mi ponure spojrzenia. Młodsze rozglądały się tylko niepewnie. Cholera.

- To jej tato wpuścił wampiry do Hex - mówiła dalej Beth. Spojrzała na mnie i zobaczyłam błysk kłów wysuwających się z dziąseł. - Oczywiście, że ona będzie świadczyć za niewinnością Jenny. Inaczej narażałaby posadę tatusia.

Nie miałam na to wszystko czasu.

- Nigdy nie spotkałam mojego ojca i z pewnością nie jestem tutaj ze względu na jego plany polityczne czy co tam. Złamałam zasady i zesłano mnie do Hex. Jak nas wszystkie.

Taylor zmrużyła oczy.

- Twój tato jest szefem Rady?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, na schodach pojawiła się pani Casnoff. Miała na sobie nadal mokry szlafrok i wyglądała na nieźle zestresowaną, ale nie była już śmiertelnie blada, co wzięłam za dobry znak.

- Proszę o uwagę, dziewczęta - powiedziała głosem, który zabrzmiał donośnie, mimo że się zbytnio nie wysilała. - Dzięki staraniom Cala panna Burnett odzyskała przytomność i wygląda na to, że wraca do zdrowia.

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi, a szepty zagłuszyły pytanie, które zadałam Annie, nachylając się ku niej.

- O co chodzi z tym Calem?

Spodziewałam się pogardliwej uwagi o tym, że jestem głupia. Jednak Anna najwyraźniej

poczuła zbyt wielką ulgę, słysząc, że Chaston przeżyje, żeby silić się na wredność.

- To mag - odparła. - Niezwykle potężny. Potrafi leczyć rany, z którymi nie radzą sobie inne czarownice i czarnoksiężnicy.

- Dlaczego w takim razie nie uleczył Holly? - zapytałam i teraz zarobiłam pogardliwe spojrzenie. Miło wiedzieć, że Anna wracała do równowagi.

- Holly już nie żyła, kiedy ją znaleźli, podziękujmy naszej małej koleżance. Cał może leczyć tylko żywych, nie po\* trafi wskrzeszać umarłych. Tego nikt nie potrafi.

- Och - powiedziałam niezbyt mądrze, ale ona już odwróciła się do Elodie.

- Jej rodzice przyjadą po nią jutro - ciągnęła tymczasem pani Casnoff - i mam nadzieję, że panna Burnett dołączy do nas z powrotem po przerwie zimowej.

- Czy ona coś powiedziała? - spytała Elodie. - Kto jej to zrobił?

Pani Casnoff zmarszczyła lekko brwi.

- Jeszcze nie. A ja radzę, żebyście dobrze pomyślały, zanim zaczniecie rozsiewać plotki na temat tego wypadku. My ze swej strony traktujemy to bardzo poważnie, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest panika.

Elodie otworzyła usta, ale jedno spojrzenie pani Casnoff powstrzymało ją od kolejnej nieprzyjemnej uwagi.

- W porządku - powiedziała dyrektorka, klaszcząc w ręce. - Wszyscy do łóżek. Porozmawiamy rano.

## ROZDZIAŁ 17

Kiedy wróciłam do pokoju, Jenna była w środku. Siedziała na komodzie przy oknie z głową opartą o kolana.

- Jenna?

Nie podniosła wzroku.

- Znowu to samo - powiedziała zduszonym głosem. - Tak samo jak z Holly.

Wciągnęła głęboko powietrze i wzdrygnęła się.

- Kiedy zobaczyłam ich wynoszących Chaston z łazienki. .. było dokładnie tak samo. Dziury

w szyi, cięcia na nadgarstkach. Tyle tylko, że Chaston była biała. Holly by-była prawie... prawie szara, kiedy ją wyciągnęli... - Głos jej się załamał.

Usiadłam na łóżku i położyłam rękę na jej kolanie.

-Hej - powiedziałam cicho - to nie twoja wina.

Spojrzała na mnie czerwonymi z gniewu oczami.

- Tak, ale inni myślą inaczej, zgadza się? Wszyscy uważają mnie za, jak to oni mówią? Świra krwiopijcę?

Zeskoczyła z komody.

- Jakbym sama się o to prosiła - mruknęła cicho, wy-ciągając ubrania z szuflady i rzucając je na łóżko. - Jakbym chciała w ogóle przychodzić do tej przeklętej szkoły.

- Jen - zaczęłam, ale ona odwróciła się do mnie z wściekłością.

-Nienawidzę tej szkoły! - krzyknęła. - Nie... nienawidzę głupich lekcji w rodzaju historii czarostwa w dziewiętnastym wieku. Chciałabym się uczyć matmy albo innych równie banalnych rzeczy. Chciałabym jeść lunch, prawdziwy lunch, w szkolnej stołówce, a po lekcjach dorabiać i iść na bal maturalny.

Usiadła ze szlochaniem na łóżku, jakby uleciała z niej cała złość.

- Nie chcę być wampirem - szepnęła, po czym wybuchnęła płaczem, ukrywając twarz w czarnym podkoszulku, który trzymała w rękach.

Rozejrzałam się po pokoju i po raz pierwszy cały ten róż nie wydał mi się wesoły, ale pełen smutku - jakby Jenna rozpaczliwie trzymała się tego życia, które miała wcześniej. Bywają takie chwile, kiedy milczenie jest najlepsze, i uznałam, że obecna sytuacja do takich należy. Przeszłam więc przez pokój i usiadłam obok niej na łóżku, głaszcząc ją po głowie tak samo jak mama mnie tego wieczoru, gdy dowiedziałam się, że jadę do Hekate.

Chwilę później Jenna opadła na poduszki i zaczęła gadać;

- Ona była dla mnie bardzo miła - powiedziała cicho. -Amanda.

Nie musiałam pytać, kim była Amanda. Wiedziałam, że Jenna właśnie postanowiła opowiedzieć mi o tym, jak została wampirzycą.

- O to przede wszystkim chodziło. Nie o to, że była słodka, bystra czy zabawna. To wszystko też, ale naprawdę ujęła mnie tym, że była miła. Nikt wcześniej szczególnie się mną nie przejmował. Kiedy powiedziała mi, czym jest i że chciałaby zatrzymać mnie przy sobie na zawsze, wcale jej nie uwierzyłam, Nie wierzyłam, dopóki nie poczułam jej zębów na szyi.

Urwała i w pokoju zapanowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć cichego szmeru wiatru w liściach dębów za oknem.

- Kiedy Przemiana się dokonała, to było... cudowne. Byłam silniejsza i po prostu czułam się świetnie, wiesz? Jakby całe wcześniejsze życie było snem. Te dwie pierwsze noce z nią były czymś najpiękniejszym, co mnie spotkało w życiu. A potem oni ją zabili.

-Oni?

Spojrzała mi prosto w oczy. Moje małe odbicia w jej źrenicach były bardzo blade,:

- Oko - odparła, a mnie przeszedł mimowolny dreszcz. -Było ich dwóch. Włamali się do motelu, w którym się ukrywałyśmy, i zakołkowali ją we śnie. Ale ona obudziła się i zaczęła... zaczęła krzyczeć, i oni musieli przytrzymać ją wspólnymi siłami. A ja pobiegłam do drzwi i po prostu uciekłam. Przez trzy dni ukrywałam się w czyjejsz szopie ogrodowej. Wyszłam tylko dlatego, że zaczynałam umierać z głodu. Ukradłam więc trochę jedzenia ze sklepu, jak tylko włożyłam pierwsze ciastko do ust, myślałam, że umrę. Usiłowałam je pogryźć, ale w końcu wypłułam. Wtedy... - Zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. - Wtedy wyszedł właściciel sklepu i zobaczył mnie klęczącą na parkingu. Zobaczył też papierek i zaczął się drzeć, że wezwie policję, a ja... - Urwała i nie podnosiła na mnie wzroku.

Położyłam lennie dłoń na ramieniu, usiłując ją pocieszyć i przekonać, że nie obchodzi mnie, czy napiła się czyjejsz krwi, ale nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy.

-A potem... potem poczułam się lepiej. Wsiadłam w autobus jadący do centrum i znalazłam rodziców Amandy.

Też byli wampirami. Ojca Amandy przemieniono wiele lat temu, a on potem zrobił to samo s całą rodziną. Skontaktowali się a Radą, a Ja trafiłam tutaj. Spojrzała na mnie.

- Nie miałam być tym czymś - Jęknęła żałośnie. - Nie chcę być taka bez Amandy. Chciałam zostać Wampirzycą tylko po to, żebyśmy zawsze byli razem. Ona mi to obiecała. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Oj - powiedziałam. -Że też dziewczyny są w równym stopniu zabójcze co chłopcy.

Westchnęła i przechyliła głowę, opierając ją o zagłówek. Zamknęła oczy.

- Teraz mnie wywałą.

- Dlaczego?

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- No... halo? Przecież na pewno zwałą sprawę z Chaston na mnie. Holły to jedno, ale dwie dziewczyny w ciągu pół roku? - Potrząsnęła głową. - Ktoś musi za to oberwać i założyć się, że to będę ja. - Dlaczego? - powtórzyłam.

Jenna była jedyną osobą w Hekate, którą mogłam nazwać przyjaciółką. No, może teraz byliśmy przyjaciółmi z Arche-rem, ale na tę przyjaźń kładła się cieniem cała sprawa z tym, że być-może-jestem-w-nim-zakochana. Gdyby Jenna odeszła, zostałabym na łasce Elodie i Anny. Nie ma mowy.

- Wcale nie wiesz, czy cię wyrzucą. Chaston może pamiętać, co się z nią stało. Zaczekaj i pogadaj z panią Casnoff, okej? Może do jutra wszystko się uspokoi.

Drwiące prychnięcie powiedziało mi, jak bardzo prawdopodobny wydawał się jej ten scenariusz. Chwilę później zaczęła wkładać ubrania z powrotem do szafy. Wstałam i pomogłam jej.

- Jak tam dyżur w piwnicy?

- Dennie.

- A twoje beznadziejnie bezsensowne zadurzenie w Archerze Crossie?

- Wciąż beznadziejne i wciąż bezsensowne.

Potaknęła, wieszając jeden ze swoich wielu żakietów He-kate.

- Dobrze wiedzieć.

Układałyśmy ubrania w przyjaznym milczeniu.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że Elodie i jej sabat usiłowały wezwać demona?

- Holly powiedziała mi, że pracowały nad czymś takim -odparta, zamykając szafę. - Casnoff nawijała przez cały czas, że L'Occhio di Dio nas pozabija, jak to ona lubi, i one się wystraszyły. Holly mówiła, że myślały, że jeśli wezwą demona, to on da im tyle mocy, że będą bezpieczne w razie zagrożenia.

- Udało im się? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Światło zamigotało, pogrążając nas w ciemności. Z korytarza dobiegły mnie przestraszone krzyki, ale chwilę później rozległ się dudniący głos pani Casnoff.

- Dziś obowiązkowo gasimy światło. Idźcie spać, dzieci. Jenna westchnęła.

- I jak tego miejsca nie kochać?

Wpadając na meble i mrużąc przekleństwa, dotarliśmy w końcu do swoich łóżek.

Rzuciłam się na moje z cichym jękiem. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem wyczerpana, dopóki nie poczułam pod głową miękkiej poduszki. Prawie już spałam, kiedy usłyszałam szept Jenny.

- Dziękuję.

- Za co? - mruknęłam w odpowiedzi.

- Za to, że jesteś moją przyjaciółką.

- Oj - odparłam. - To najbardziej obciachowa rzecz, jaką kiedykolwiek ktoś do mnie powiedział.

Udała, że krzyczy z oburzenia, a sekundę później jedna z jej poduszek wylądowała na mojej głowie.

- Chciałam być miła - oznajmiła, ale słyszałam w jej głosie rozbawienie.

- Daj sobie spokój - odparowałam - moje przyjaciółki powinny być wredne i paskudne.

- Okej - odpowiedziała i za moment obie zasnęłyśmy.

Obudził mnie krzyk Jenny i smród dymu.

Usiadłam na łóżku kompletnie zamroczona. Poranne światło padało przez okno prosto na łóżko wampirzycy. Zabrało mi chwilę zorientowanie się, że właśnie stamtąd unosi się dym. Z łóżka Jenny. J e n n a.

Rozpaczliwie usiłowałam się podnieść, ale zaplątałam się w pościel, a panika utrudniała jej ruchy. Ledwie dotknęłam stopami podłogi, skacząc ku jej łóżku, żeby przykryć ją moją kołdrą. Zobaczyłam przy tym jej rękę. Błada zazwyczaj skóra była teraz bardzo czerwona, a w kilku miejscach pojawiły się pęcherze.

Niewiele myśląc, wpakowałam Jennę do szafy.

Kiedy już znalazła się w środku, porwałam jej prześcieradło i zasłoniłam szparę pod drzwiami. Jenna płakała, ale przynajmniej nie wyła już z bólu.

- Co się stało? - krzyknęłam przez drzwi szafy.

- Mój krwawy klejnot - zaszlochala. - Zginął! Podbiegłam do jej łóżka i zajrzałam pod spód.

Może po

prostu spadł, powtarzałam sobie. Może zapięcie się zepsuło, a może zaplątał się w poduszki.

Bardzo chciałam, żeby tak było.

Zrzuciłam wszystko z łóżka, nawet materac, ale krwawego klejnotu Jenny nigdzie nie było.

Poczułam, że wzbiera we mnie wściekłość.

- Zaczekaj - krzyknęłam.

- Chwilowo raczej nigdzie alf nie ruszę! - odkrzyknęła, kiedy byłam już w drzwiach.

W korytarzu zobaczyłam parę dziewcząt. Z jedną z nich, Laurą Harris, chodziłam na magiczną ewolucję. Zrobiła wielkie oczy na mój widok.

Pobiegłam do pokoju Elodie i waliłam pięścią w drzwi. Otworzyła, a ja wepchnęłam się koło niej do środka.

- Gdzie to jest?

- Gdzie jest co? - zapytała. Pod oczami miała głębokie cienie.

- Krwawy klejnot Jenny. Wiem, że go zabrałaś, więc powiedz mi, gdzie jest?

Oczy Elodie rozblęły.

- Nie zabrałam jej głupiego kamienia. Chociaż gdybym to zrobiła, czułabym się całkowicie usprawiedliwiona po tym, co ona zrobiła wczoraj Chaston.

- Ona nic nie zrobiła Chaston, a ty mogłaś ją zabić! - wrzasnęłam.

- Skoro nie ona zaatakowała Chaston, to kto? - zapytała Elodie, podnosząc głos.



Pod jej skórą przebiegały drobniutkie niteczki światła, a włosy zaczynały trzeszczeć. Czułam, że moja magia pulsuje niczym drugie serce.

- Może ten demon, którego usiłowałyście wezwać - odparowałam.

Elodie prychnęła z niesmakiem. - Jak już mówiłam wczoraj, gdyby tu był demon, pani Casnoff wiedziałaby o tym. Wszyscy wiedzielibyśmy.

- Co tu się dzieje?

Obie litę odwróciłyśmy. W drzwiach stała Anna z mokrym ręcznikiem w ręce.

- Sophie uważa, że zabrałyśmy głupi kamień wampira - powiedziała jej Elodie.

- Co? To niepoważne - odrzekła Anna, ale w jej głosie słychać było napięcie.

Zamknęłam oczy, usiłując uspokoić gniew i magię. Następnie wyobraziłam sobie naszyjnik Jenny.

- Krwawy klejnot - mruknęłam.

Elodie przewróciła oczami, ale jedna z szuflad Anny wysunęła się z głośnym skrzypnięciem.

Spod sterty ubrań podniósł się naszyjnik z błyszczącym czerwono kamieniem.

Popłynął do mojej ręki, a ja zacisnęłam na nim palce.

Na twarzy Elodie odmalowało się przez moment zaskoczenie. Po czym znikła

- Masz, po co przyszłaś, więc się wynoś.

Anna stała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Miałam ochotę powiedzieć coś miażdżącego, żeby poczuła wstyd z powodu swojego uczynku, ale w końcu uznałam, że nie warta

Kiedy wróciłam do pokoju, szloch Jenny zdążył zamienić się w ciche popłakiwanie.

Uchyliłam drzwi szafy i podałam jej wisiołek. Kiedy założyła go z powrotem na szyję, wyszła z ukrycia i usiadła na łóżku, trzymając się za poparzoną rękę.

Zajęłam miejsce obok niej. - Ktoś powinien to opatrzeć.

Potaknęła. Oczy miała wciąż czerwone i zapuchnięte od łez.

- To Elodie i Anna? - zapytała.

- Owszem. A właściwie Anna. Nie wydaje mi się, że Elodie o tym wiedziała, ale nie, żeby nie pochwałała.

Jenna wzdrygnęła się i wypuściła powietrze z płuc. Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam jej różowy kosmyk z oczu.

- Musisz porozmawiać o tym z panią Casnoff.

- Nie - odparła. - Nie ma mowy.

- Jenno, one mogły cię zabić - upierałam się. Wstała, otulając się moją kołdrą.

- To tylko pogorszy sprawę - powiedziała zmęczonym głosem. - Przypomni wszystkim, że wampiry są inne od was wszystkich. Że tu nie ma dla mnie miejsca.

- Jenno... - zaczęłam.

- Powiedziała, daj temu spokój, Sophie! - warknęła, odwrócona do mnie plecami.

- Przecież jesteś ranna...

Wtedy ona obróciła się szybkim ruchem. Jej oczy błyszczały czerwono, twarz wykrzywiała wściekłość. Kły się wysunęły, a Jenna chwyciła mnie z sykiem za ramiona. W jej twarzy nie pozostał żaden ślad mojej przyjaciółki.

Tylko potwór.

Wydałam zduszony okrzyk bólu i strachu, a ona nagle mnie puściła. Kolana się pode mną ugięły i osunęłam się na podłogę.

Natychmiast znalazła się przy mnie - stara dobra Jenna z bladoniebieskimi oczami, w których malowało się poczucie winy.

- Och, Sophie, tak mi przykro! Czasami, kiedy się zestresuję. .. - Po jej policzkach płynęły łzy. - Nigdy bym cię nie skrzywdziła - dodała błagalnie.

Nie ufałam swojemu głosowi, więc tylko skinęłam głową.

- Dziewczęta? Wszystko w porządku?

Jenna spojrzała za siebie. W drzwiach stała pani Casnoff z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

~ Jak najbardziej - odpowiedziałam, podnosząc się. - Poślizgnęłam się, a Jenna chciała mi pomóc wstać.

- Rozumiem - powiedziała pani Casnoff, lustrując nas obie wzrokiem, zanim odezwała się znowu. - Jeśli nie masz nic przeciwko, Jenno, chciałabym z tobą przez chwilę porozmawiać.

- Pewnie - odparła Jenna głosem, w którym nijak nie było słychać pewności.

Patrzyłam chwilę za nimi, po czym usiadłam na łóżku przyjaciółki. Bolały mnie ramiona. Palce Jenny zostawiły ślady.

Siedziałam tak, pocierając odruchowo bolące miejsca, a od odoru spalonej skóry Jenny wciąż robiło mi się mdło. Siedziałam i myślałam.

## ROZDZIAŁ 18

Tydzień później sprawy wcale nie miały się lepiej. Nie było żadnych wieści od Chaston, toteż Jenna pozostała podejrzaną numer jeden.

Po kolacji znalazłam się znów w piwnicy z Archerem. Był to nasz czwarty wspólny wieczór na dole i zdołaliśmy już nawet nabrać pewnej rutyny. Przez jakieś pierwsze dwadzieścia minut pracowaliśmy przy półkach. Połowa tego, co skatalogowaliśmy poprzednim razem, zdążyła się w międzyczasie przemieścić, toteż większość czasu zajmowało nam uporanie się z

tymi zmianami Kiedy już to zrobiliśmy, przychodziła pora na przerwę i rozmowy. Te ostatnie zasadniczo nie wykraczały poza ogólne tematy rodzinne i od czasu do czasu jakieś obraźliwe uwagi, co nie było niczym dziwnym. Poza tym że oboje byliśmy jedynakami, Archer i ja w zasadzie nie mieliśmy żadnych wspólnych cech. On wychował się w bardzo bogatej rodzinie i mieszkał w wielkim domu na wybrzeżu Maine. Ja pomieszkowałam z mamą w czym się da, od chatki w Vermont po sześć tygodni w tanim hotelu. A mimo to zawsze bardzo czekałam na te rozmowy. Tak naprawdę zaczynałam myśleć z przerażeniem o tych dniach, kiedy nie miałam dyżuru w piwnicy, co było niemal zbyt żalosne, żeby się nad tym zastanawiać.

Archer siadł tam gdzie zawsze, czyli na schodach, a ja wdrapałam się na puste miejsce na samym szczycie regału M. Archer wskazał na stertę pustych i zakurzonych słoików leżącą w kącie. Dwa z nich uniosły się w powietrze, skręciły i powyginały, aż zamieniły się w puszki coli. Następnie machnął dłonią w moim kierunku i jedna z nich poszybowała prosto w moje ręce. Złapałam ją i z zaskoczeniem przekonałam się, że jest lodowato zimna.

- Jestem pod wrażeniem. - powiedziałam ze szczerym uznaniem, a Archer skinął głową w podziękowaniu.

- Jasne, zmiana słoików w colę. Niech świat zadrży przed moją potęgą.

- To przynajmniej dowodzi, że nadal masz moc. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli?

Cholera.

- No, wiesz, ja tylko... ludzie plotkują, że wyjechałeś w zeszłym roku, bo chciałeś, żeby ci ją odebrano.

Zakładałam, że znał te pogłoski, ale on wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

- A więc tak wszyscy myślą. Ha.

- Wiedzą, że tak się nie stało - dodałam szybko. - Większość widziała, jak powstrzymujesz Justina pierwszego dnia.

W kąciku jego ust igrał uśmieszek. Archer popatrzył na mnie.

- Zły pies.

Przewróciłam oczami, ale nie byłam w stanie nie uśmiechnąć się w odpowiedzi.

- Zamknij się. Gdzie w takim razie pojechałeś?

Wzruszył ramionami i oparł łokcie na kolanach. - Po prostu potrzebowałam zrobić sobie przerwę. To się zdarza. Rada zapowiada, że nie wypuści nikogo z Heka-te, ale zazwyczaj udzielają urlopu, jeśli napisze się podanie. W moim przypadku pewnie uznali, że mi się należy, zwłaszcza z powodu Holly.

- Fakt - powiedziałam, ale wzmianka o Holly spowodowała, że moje myśli wróciły znów do Chaston. Jej rodzice przyjechali po nią dzień po wypadku. Spędzili w gabinecie pani Casnoff

ponad dwie godziny, a potem dyrektorka przyszła po Jennę.

Kiedy Jenna wróciła do pokoju, nie powiedziała ani słowa, tylko położyła się na łóżku i gapiała się w sufit

Nagła zmiana nastroju musiała być widoczna na mojej twarzy, ponieważ Archer zapytał:

- Jak się miewa Jenna? Dziś nie przyszła na kolację. Westchnęłam i oparłam się o ścianę.

- Nie jest dobrze - odpowiedziałam. - Nie chce chodzić na lekcje ani na posiłki. Ledwie wstaje z łóżka. Nie wiem, co jej powiedzieli wtedy w gabinecie, ale wszyscy uważają, że sam fakt wezwania potwierdza jej winę.

Potaknął.

- Owszem. Elodie jest nieźle wkurzona.

- Oj, ależ mi przykro. Mam nadzieję, że nie dostanie od tego zmarszczek.

- Nie mów tak.

- Słuchaj, jest mi przykro, że twoja dziewczyna się wkurza, ale moja jedyna przyjaciółka została oskarżona o coś, czego nie zrobiła, a Elodie najgłośniej krzyczy o jej winie. Jakoś nie mam nastroju, żeby było mi jej żal, rozumiesz?

Myślałam, że odbije piłeczkę, ale on najwyraźniej postanowił dać spokój. Wstał ze schodów i podniósł swój segregator.

- Widziałaś coś. co wyglądałoby na „Opętany instrument. J. Mompesson”?

- Niewykluczone.

Zeskoczyłam z półki i podeszłam w miejsce, gdzie kiedyś znalazłam bęben, ale oczywiście nie było go tam. Kiedy go wreszcie znaleźliśmy (schował się za stertą książek, które rozpadły się, jak tylko je przesunęliśmy. „Mam szczerą, szczerą nadzieję, że nie było to nic ważnego” - brzmiał jedyny komentarz Archera), godzina prawie się skończyła.

Usłyszałam trzask zamka nad naszymi głowami. Vandy przestała przychodzić po nas do piwnicy. Ograniczała się do odryglowywania drzwi.

Rzuciliśmy segregatory na ziemię i pospieszyliśmy ku schodom.

Kiedy się na nie wspinaliśmy, mogłam przysiąc, że kątem oka dostrzegłam błysk zieleni, ale kiedy się obróciłam, niczego nie zobaczyłam. Poczułam, że włosy jeżą mi się na głowie i potarłam się bezwiednie po karku.

- Wszystko w porządku? - spytał Archer, otwierając drzwi.

- Owszem - odparłam, ale byłam nieźle wystraszona. -Tylko... Mogę zadać ci bardzo dziwne pytanie?

- To mój ulubiony rodzaj pytań.

- Jak myślisz, czy ktoś w tej szkole mógłby wezwać demona?

Myślałam, że się roześmieje albo powie coś ironicznego, ale on zatrzymał się za drzwiami piwnicy i spojrzał na mnie tym swoim poważnym wzrokiem.

- Dlaczego o to pytasz?

- Jenna powiedziała coś takiego tamtej nocy. Ona uważa, że Holly mogła zginąć dlatego, że... no, ktoś wzywał demona.

Archer przetrwał tę informację przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie, to niemożliwe. Pani Casnoff natychmiast by się zorientowała, gdyby na terenie szkoły był demon. One są raczej mało dyskretne.

- Dlaczego? Czyżby były zielone i miały wielkie... - Udało mi się nie zarumienić i dodałam szybko: - Rogi?

- Niekoniecznie. Potrafią wyglądać równie ludzko jak ty czy ja. Niektóre z nich nawet były kiedyś ludźmi.

- Widziałeś kiedykolwiek demona? Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- No, nie. Dzięki Bogu. Lubię moją twarz i chcę ją mieć na miejscu, a nie odgryzioną.

- Pewnie - powiedziałam, kiedy doszliśmy do głównych schodów. - Ale ty jesteś czarnoksiężnikiem. Poradziłbyś sobie z demonem?

- Nie, chyba że miałbym to - odparł, wskazując na witraż z aniołem znajdujący się nad schodami. - Widzisz ten miecz? To diable szkło. Tylko tym da się zabić demona.

- Cóż za oryginalna nazwa - zauważyłam, a on się roześmiał.

- Kpisz sobie - powiedział - ale to prawdziwy hard core. Można go znaleźć wyłącznie w piekle, więc jest dość trudny do zdobycia.

- Rany. - Aż gwizdnęłam, patrząc na okno z podziwem.

- Archie! - Gdzieś na górze schodów rozległ się świergot Elodie.

Wyminęłam Archera i ruszyłam dalej.

- Dzięki. Do zobaczenia.

- Mercer. Odwróciłam się.

Stał u dołu schodów, a w przyćmionym świetle żyrandola był tak przystojny, że aż poczułam ukłucie w piersi.

Patrząc na niego, łatwo było zapomnieć, jak okropnie jest wkurzający.

- Co? - zapytałam najbardziej znudzonym tonem, na jaki byłam w stanie się zdobyć.

- Archer!

Elodie minęła mnie biegiem, a wzrok Archera przeskoczył ze mnie na nią.

Odwróciłam się i pognałam na górę, byle tylko nie zobaczyć jej w jego ramionach.

## ROZDZIAŁ 19

Na początku października Chaston przesłała Radzie pisemne zeznanie, w którym oświadczyła, że nie pamięta żadnych szczegółów ataku, toteż Jenna mogła zostać w szkole. Miałam nadzieję, że ta wiadomość sprawi, iż spod jej oczu znikną cienie, ale tak się nie stało. Ledwie odzywała się do kogokolwiek oprócz mnie, a i wtedy rzadko się uśmiechała. Nie śmiała się w ogóle.

Jeśli chodzi o mnie, to czułam się tak, jakbym w końcu zaczęła przyzwyczajać się do życia w Hekate. Na lekcjach radziłam sobie dobrze. Elodie i Anna były wstrząśnięte przez mniej więcej dwa tygodnie po wypadku Chaston i chwilowo straciły swoje sadystyczne zapędy, w związku z czym przestały mnie prześladować. W zamian za to zaczęły mnie zasadniczo ignorować. W połowie października wróciły jednak do formy, co oznaczało nieprzyjemne zaczepki i rozmowy o ciuchach.

Staralam się unikać kłopotów z Vandy, mimo że zrobiła z Archera mojego stałego partnera na obronnym, zapewne w nadziei, że w końcu przez przypadek mnie zabije. Ale w sumie nie szło nam najgorzej, aczkolwiek bycie zmuszoną do przebywania dłużej w jego towarzystwie stanowiło rodzaj wyszukanej tortury. Prawdę mówiąc, im więcej czasu spędzaliśmy, katalogując przedmioty w piwnicy albo blokując wzajemnie swoje ciosy na obronnym, tym bardziej zaczynałam podejrzewać, że moje zadurzenie mogło przemieniać się w coś innego, czego doprawdy nie miałam ochoty nazywać po imieniu. Nie chodziło już tylko o to, że on był seksowny, choć, oczywiście, odgrywało to pewną rolę - ale o sposób, w jaki przebiegał palcami po włosach. Jak na mnie patrzył: jakbym naprawdę była interesującym partnerem do rozmowy. Jak błyszczały mu oczy, kiedy śmiał się z moich żartów. No przecież: sam fakt, że śmiał się z moich żartów.

I im lepiej go poznawałam, tym bardziej nie na miejscu mi się wydawało, że chodzi z Elodie. Zarzekał się, że mimo pozorów wspinała z niej dziewczyna, jednak przez dwa miesiące mojego pobytu w Hekate słyszałam, jak gadała niemal wyłącznie o zakłęciach na bardziej błyszczące włosy lub znikanie piegów. Mówiąc o tych ostatnich, zazwyczaj zerkała na mnie. Nawet jej praca dla Lorda Byrona była o tym, jak fizyczne piękno wzmaga moc czarownicy, rzekomo dlatego że ułatwia jej kontakty z ludźmi. Było to śmieszne. A teraz, siedząc za nią na lekcji ewolucji magicznej z panią East, nie potrafiłam się powstrzymać od przewracania oczami, kiedy słyszałam, jak trajkocze do Anny o sukience, którą zamierza sobie wyczarować na doroczny bal halloweenowy, który miał się odbyć za dwa tygodnie.

- Większość ludzi uważa, że rude dziewczyny nie powinny nosić różowego - mówiła - ale to zależy wyłącznie od odcienia. Bardzo jasny albo zdecydowanie ciemny są najlepsze. Ostry róż to oczywiście wiocha.

Ostatnie zdanie powiedziała głośniejsze ze względu na lenne, która siedziała obok mnie i wprawdzie udawała, że nie słucha, jednak widziałam, jak chwilę później palce unoszą się jej mimowolnie ku różowemu kosmykowi. Trąciłam ją łokciem. - Nie słuchaj ich. To wredne wiedźmy!

- Słucham, panno Mercer?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam panią East stojącą nad naszą ławką z rękami wspartymi na biodrach. Ogólnie pani East wyglądała, jakby była najfajniejszą nauczycielką w Hekate. Żartowałyśmy z Jenną, że przypomina gotycką seksbombę. Była niewiarygodnie chuda i zawsze nosiła swoje ciemne, kasztanowate włosy spięte z tyłu w ciasny węzeł. Do tego wyłącznie czarne ciuchy i niebotycznie wysokie obcasy - mogłaby bez trudu paradować na wybiegach w Paryżu. Niestety podobnie jak reszta nauczycieli w Hekate pani East najwyraźniej urodziła się pozbawiona poczucia humoru.

Uśmiechnęłam się do niej słabo.

- Em... wiedźmy... to to samo co czarownice.

Klasa wybuchnęła śmiechem - wszyscy z wyjątkiem Elodie i Anny, które zapewne domyśliły się, co naprawdę miałam na myśli, i rzuciły mi wściekłe spojrzenia.

Kąciki ust pani East wygięły się o milimetr w dół, co w jej przypadku równało się grymasowi niezadowolenia. Miałam wrażenie, że ona po prostu boi się zmarszczyć swoją idealnie gładką twarz.

- Cóż za zdumiewające odkrycie, panno Mercer. Wiesz jednak, że nie toleruję przerywania mi podczas lekcji...

- Ja nie przerywałam - przerwałam, a usta pani East wygięły się jeszcze odrobinę, co oznaczało, że właśnie wstąpiłam na teren Wielkiego Wkurzenia.

- Skoro masz tyle do powiedzenia, może zechcesz napisać pracę o różnych rodzajach czarownic? Dwa tysiące słów, powiedzmy? Na jutro.

Jak zwykle moje usta wyrzuciły coś z siebie, zanim mózg zdołał je powstrzymać.

- Co? - krzyknęłam. - To niesprawiedliwe!

- A teraz możesz opuścić moje zajęcia. Kiedy wrócisz, miej przy sobie, proszę, pracę i przeprosiny.

Zdusiłam kolejną ripostę i zebrałam swoje rzeczy odprowadzana współczującym spojrzeniem Jenny oraz drwiącymi uśmiezkami Elodie i Anny. Musiałam użyć całej siły woli, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Zerknęłam na zegarek: miałam czterdzieści wolnych minut przed następną lekcją, więc pospieszyłam na górę, zostawiłam książki i wybiegłam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Był to jeden z tych nieziemsko pięknych dni, które zdarzają się wyłącznie w październiku. Niebo lśniło głębokim błękitem. Drzewa w większości okrywała jeszcze zieleń, chociaż tu i ówdzie pokazywały się już pojedyncze złote i brązowe liście. W powietrzu dał się wyczuwać przyjemny lekko dymny powiew, na tyle chłodny, że byłam zadowolona, że włożyłam dziś marynarkę. I jakkolwiek jakaś część mnie wciąż się piekliła, jak bardzo niesprawiedliwe było to, że zostałam wyrzucona z lekcji, cała reszta cieszyła się z niespodziewanego wolnego czasu, mimo że w zasadzie powinnam pisać teraz tę głupią pracę.

Zanim zdołałam zrobić coś naprawdę obciachowego -na przykład rozłożyć szeroko ręce i zacząć wyśpiewywać na cały głos piosenkę z Pocahontas - usłyszałam za sobą czyjś głos.

- Dlaczego nie jesteś na lekcji?

Odwrociłam się i zobaczyłam ogrodnika Cala stojącego tuż za mną. Jak zwykle nosił się jak drwal: flanela i dżinsy. Tym razem miał nawet w ręce odpowiedni rekwizyt: wielki topór, którego groźne ostrze pobłyskiwało, oparte o jego buty.

Nie mam pojęcia, jaką miałam minę. gapiąc się na ten topór, alt wyobrażenia podpowiadała mi, że mniej więcej przybrałam wyraz twarzy El mera Pudda na widok Królika Bugsa przebranego za dziewczynę: oczy wyłazące z orbit i szczeka spadająca na ziemię.

Zapewne tak to wyglądało, ponieważ Cal, tłumiąc uśmiech, zarzucił sobie topór na ramię.

- Nie bój się. Nie jestem zbrojcem,

- Wiem - burknęłam. - Jesteś tym woźnym uzdrowicielem.

- Ogrodnikiem.

- Na to samo wychodzi.

- Bynajmniej.

Dwa dotychczasowe spotkania z Calem utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest on przystojnym neandertalczykiem^ Po pierwsze miał ekstra ciemnoblonde włosy i wyglądał jak sportowiec. Po drugie rzadko słyszało się, żeby powiedział więcej niż trzy słowa. Ale może było w nim coś więcej.

- Skoro potrafisz leczyć dotykami, dlaczego pracujesz tu jako jakiś Hagrid?

Uśmiechnął się i zauważyłam, że ma bardzo białe i bardzo proste zęby. Co jest z tym miejscem? Nawet ogrodnik wygląda, jakby się urwał ze Słonecznego patrolu.

- Nie powinieneś leczyć gdzieś naprawdę ważnych ludzi, zamiast wrywać tu chwasty i łątać nastolatki?



Wzruszył ramionami.

- Kiedy w zeszłym roku skończyłem Hekate, zaproponowałem Radzie swoje usługi. Oni uznali, że moje talenty najlepiej przydadzą się tutaj, do ochrony najcenniejszych skarbów. Takich jak ty.

Było coś tak bardzo... no nie wiem\* intymnego w sposobie, w jaki to powiedział\* te poczułam, że zbiera mi się na chichot i rumieńce. I szybko się powstrzymałam. Już raz głupio się zadurzyłam. Nie zamierzałam zacząć wodzić oczami za ogrodnikiem, na litość boską.

Może on też się zorientował, że powiedział to dość dziwnie, ponieważ szybko odchrząknął!

- Chodzi mi o was wszystkich. Jesteście przecież ich dziećmi

- Jasne.

- A ty lepiej wracaj do portretów elfów w osiemnastowiecznej Francji czy też do czegokolwiek innego, czym zajmujecie się na tej głupiej lekcji, z której się urwałaś.

Założyłam ręce na piersi, ponieważ zaczął mnie nieco wkurzać, a poza tym bryza znad jeziora zrobiła się całkiem chłodna.

- Prawdę mówiąc, zostałam wyrzucona z lekcji pani East Z ewolucji magicznej.

Prychnął w odpowiedzi

- Dziewczyno. Dyżur w piwnicy przez cały semestr, wyrzucenie z lekcji.

- Nawet mi nie mów - odpowiedziałam. - Najwyraźniej mam w sobie coś takiego, co wkurza wszystkich belfrów w tej szkole.

Ku mojemu zaskoczeniu Cal pokręcił głową.

- Nie sądzę, żeby o to chodziło.

Z oddali dobiegł mnie stłumiony głos gongu oznaczającego przerwę. Wiedziałam, że powinnam pobiec teraz na lekcję Byrona, ale chciałam się dowiedzieć, co Cal miał na myśli

- A o co?

- Spójrz na to z ich punktu widzenia, Sophie. Twój tato jest szefem Rady. Wszyscy w Hekate robią, co w ich mocy,

s vi

żeby cię nie faworyzować. Co może oznaczać, że będą nieco przeginać w drugą stronę, wiesz?

Potaknęłam. Dlaczego nie dziwiło mnie, że kolejna rzecz okazuje się winą mojego taty?

- Dobrze się czujesz? - spytał Cal, przechylając nieznacznie głowę.

- Tak - odpowiedziałam zdecydowanie za szybko i zbyt radośnie. Musiałam zabrzmieć, jakbym się opijała napojów energetyzujących. - Aha - powtórzyłam, tym razem znacznie normalniejszym tonem. - Muszę już iść. Nie chcę się spóźnić!

Pobiegłam, omal nie zderzając się z jednym z jego ramion.

Rany, ten facet ma mięśnie jak ze stali, pomyślałam, przyspieszając.

W rezultacie udało mi się jednak spóźnić na lekcję Byrona. Co oznaczało, że nie tylko oberwałam burę - ułożoną w pentametr jambiczny, o ile się dobrze zorientowałam - ale również musiałam za karę napisać esej o mojej „niewybaczalnie zuchwałej niepunktualności”. - Chyba powinnam wynaleźć jakieś zakłęcie do odrabiania zadań domowych - szepnęłam do Jenny, zajmując swoje miejsce.

Jenna wzruszyła obojętnie ramionami i wróciła do rysowania twarzy w swoim zeszytcie.

Twarzy - nie sposób było tego nie zauważyć - bardzo przypominających Holly i Chaston.

## ROZDZIAŁ 20

Wieczorem pracowałam nad zadaniem dla pani East, podczas gdy Archer katalogował. Esej dla Byrona napisałam na ostatniej lekcji tego dnia, systematyce zmiennokształt-nych. Nasz nauczyciel, pan Ferguson, był do tego stopnia zakochany w brzmieniu swojego głosu, że rzadko zdarzało mu się zwracać uwagę na to, co robiliśmy w ławkach. My z Jen-ną zazwyczaj przesyłałyśmy sobie przez cały czas liściki, ale ostatnio ona zajmowała się głównie bazgraniem w zeszytcie i zamykaniem w sobie.

Archer i ja doszliśmy do etapu, kiedy przez całą godzinę z trudem udawało nam się skatalogować więcej niż dziesięć piwnicznych przedmiotów. Vandy się nie czepiała, co tylko potwierdzało moje podejrzenia, że głównym celem tych dyżurów było zamykanie nas w tej norze na godzinę przez trzy dni w tygodniu. Poza tym wszystkim cała robota była pozbawiona sensu, zważywszy, że wszystkie skatalogowane Przedmioty za każdym razem znajdowały się w innym miejscu. Większość czasu spędzaliśmy więc na rozmowach. ponieważ Jenna pograżyła się w otchłani żalu nad sobą, Archer był jedynym kumplem, jaki mi pozostał. Elodie i Anna dały sobie całkowicie spokój z próbami i włączenia mnie do sabatu i z tego, co słyszałam, poszukiwały teraz odpowiednich białych. Stanowiło to znak, że w ich oczach spadałam poniżej poziomu pogardy. Powtarzałam sobie, że nic mnie to nie obchodzi, ale tak naprawdę byłam bardzo samotna w Hekate.

- Myślisz, że nauczyciele są dla mnie bardziej surowi z powodu mojego taty? - zapytałam Archera, podnosząc na niego wzrok znad rozłożonego na kolanach zeszytu.

- Być może. - Wskoczył na pusty regał. - Prodigium mają zazwyczaj przzerośnięte ego. Nie wszyscy są wielkimi fanami twojego taty, a Casnoff nie chciałaby, żeby inni rodzice uważali, że jesteś lepiej traktowana dlatego, że twój ojciec jest czymś w rodzaju ich króla. - Uniósł

jedną brew. -Co czyni cię Następczynią Tronu.

Przewróciłam oczami.

- Jasne. Wypoleruję tylko koronę i już.

- Och, przestań, Mercer. Myślę, że byłaby z ciebie dobra królowa. Doskonale radzisz sobie ze zgrywaniem ważniaka.

- Nie zgrywam ważniaka! - Prawie że wykrzyczałam te słowa.

Podparł się na łokciach, a na jego twarzy zaigrał złośliwy uśmiezek.

- Ależ moja droga. Pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy, byłaś niemal od stóp do głów pokryta wieczną zmarzliną.

- To dlatego, że ty jesteś draniem - odparowałam. - Powiedziałeś mi, że jestem beznadziejną czarownicą.

- Bo byłaś - powiedział ze śmiechem.

Po czym, jako że był to już stały dowcip, powiedzieliśmy chórem: „Zły pies!” i wybuchnęliśmy śmiechem.

- Po prostu nie przywykłeś do dziewczyn, które nie wodzą za tobą maślanym wzrokiem od pierwszego spotkania, jakbyś był z jakiegoś boysbandu czy co— powiedziałam, kiedy przestaliśmy się zanosić śmiechem.

Wróciłam do swojego zadania, ale podniosłam oczy, kiedy zorientowałam się, że mi nie odpowiedział.

Patrzył na mnie, uśmiechając się lekko, a w oczach miał dziwaczny błysk

- A czemu nie wodziłaś?

-Że co?

- Wiesz, z tego, co powiedziałaś, wynika, że wszystkie dziewczyny się we mnie durzą. Więc dlaczego ty nie? Nie jestem w twoim typie?

Wzięłam głęboki oddech w nadziei, że nie zauważy. Dziwaczne chwile, takie jak ta, zdarzały się nam z Archerem stanowczo zbyt często. Może przez to, że w tej piwnicy spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu na osobności, albo też przez to, że poznaliśmy nieźle swoje ciała, kopiąc się i bijąc podczas obronnego, ale powoli dostrzegałam, że coś zaczyna się zmieniać w naszej znajomości. Nie łudziłam się, że naprawdę mu się podobam, ale niewątpliwie zaczęliśmy flirtować. Czułam się z tym dziwnie, a w takich chwilach całkowicie niepewnie.

- Nie - powiedziałam w końcu, siląc się na obojętny ton. - Zawsze wołałam typ kujona. Arogancy przystojniacy niezupełnie na mnie działają.

- A więc uważasz mnie za przystojniaka?

- Zamknij się.

Odczułam potrzebę zmiany tematu.

- A co z twoją rodziną? - zapytałam. Rzucił mi zdumione spojrzenie.

i Co „co z moją rodziną”?

- Twoja rodzina. Czy oni lubią mojego tatę? Odwrócił na moment wzrok i wzruszył bez przekonania

ramionami, ale ja wyczułam, że coś jest nie w porządku.

- Moja rodzina zasadniczo trzyma się z dala od polityki - oznajmił, po czym podniósł segregator. - Widziałas może

„Kiel wampira: D. Frocelli? Pokręciłam przecząco głową.

Wróciłam do pisania pracy, ale cały czas główkowałam, co takiego mogłam powiedzieć, że Archer zareagował w ten sposób. Przyszło mi do głowy, że przez ostatnie sześć tygodni, kiedy pracowaliśmy razem, rzadko mówił o swojej rodzinie. Nigdy wcześniej mnie to nie zastanowiło, ale oczywiście teraz, kiedy okazało się, że nie ma ochoty o tym rozmawiać, zaczęła mnie zżerać ciekawość.

Zastanawiałam się, czy Jenna ma szansę wiedzieć cokolwiek o przeszłości Archera, ale szybko odrzuciłam tę myśl. Ledwie odzywała się do kogokolwiek i najwyraźniej miała potężnego doła. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było moje nudzenie w kwestii zadurzenia.

Kiedy Vandy po nas przyszła, miałam napisaną większość zadania, a resztę postanowiłam dopisać rano przed lekcjami.

Wracając do pokoju, po drodze minęłam uchylone drzwi sypialni Elodie, skąd dobiegał cichy śpiewny głos Anny.

- Ja tam miałabym podejrzenia, gdyby to był mój chłopak.

Zatrzymałam się przed drzwiami, żeby usłyszeć odpowiedź Elodie.

- Ja też, gdyby ona nie była taką świruską. Wierz mi, skoro już Archer musi być zamknięty w piwnicy z jakąkolwiek dziewczyną z tej szkoły, to dobrze, że to jest Sophie Mercer. On nawet na nią nie spojrzy.

Zabawne. Wiedziałam, że Archer się mną nie interesuje, ale takie stwierdzenie w ustach innej dziewczyny nie należało do przyjemności.

- Ona ma duże piersi - zauważyła Anna.

Elodie tylko parsknęła w odpowiedzi.

- Proszę cię, Anno. Największe piersi nic nie dadzą, kiedy jesteś niska i pospolita. I te jej włosy! - Nie widziałam jej, ale wyobraziłam sobie, jak Elodie wdryga się przy tych słowach. Mnie tymczasem robiło się trochę niedobrze. Wiedziałam, że powinnam sobie stamtąd pójść, ale nie mogłam powstrzymać się od podsłuchiwania. Zastanawiałam się, dlaczego zawsze lubimy słuchać, co inni o nas mówią, nawet jeśli są to okropne rzeczy. I wiecie, przecież

Elodie nie stwierdzała niczego, o czym nie wiedziałabym wcześniej. Jestem niska, pospolita i mam okropne włosy. Sama sobie to wielokrotnie powtarzałam. Dlaczego więc teraz czułam, że zbiera mi się na płacz?

- Tak, ale Archer jest dziwny - powiedziała Anna. - Pamiętasz, jaki był dla ciebie wredny na początku? Nazywał cię przecież głupią lalą i tak dalej. Albo płytką...

- To należy do przeszłości, Anno - oznajmiła ostro Elodie, a ja musiałam powstrzymać się od śmiechu. Wygląda na to, że Archer miał kiedyś nieco rozumu. Co się zmieniło? Czyżby Elodie jednak miała jakieś ukryte zalety, jak się wyraził? Bo ja odnosiłam wrażenie, że, kończąc urwane zdanie Anny, była płytka jak kałuża. - A poza tym nawet gdyby Archerowi odbiło do tego stopnia, że poczułby cokolwiek do Sophie, to po balu nigdy nie pomyśli o tym, żeby spojrzeć na inną dziewczynę.

- Dlaczego?

- Postanowiłam mu się oddać.

Och, buuee. Kto tak mówi? Czemu nie użyła zwrotów w rodzaju „najdelikatniejszy kwiat” albo „cielesne rozkosze”, albo czegoś równie głupiego?

Anna jednak oczywiście pisnęła z zachwytu.

- O Boże, ależ to romantyczne!

Elodie zachichotała, co zabrzmiało dziwacznie w jej wykonaniu. Dziewczyny takie jak ona powinny gdakać.

- Pewnie!

Miałam zdecydowanie dość, więc odeszłam na paluszkach i cicho otworzyłam drzwi mojego pokoju.

lenna jak zwykle leżała zwinięta na łóżku, przykryta jednym ze swoich ostro różowych koców. Ostatnimi czasy często tak robiła, udając, że śpi, żebym nie próbowała z nią rozmawiać. Zazwyczaj ulegałam jej kaprysom i nie zaczynałam rozmowy. Ale tego wieczoru usiadłam na skraju łóżka współlokatorki i to tak, żeby nim lekko zakołysać.

- Wiesz, co właśnie podsłuchałam? - zanuciłam. Odchyliła róg koca i zamrugła do mnie jednym okiem

jak sowa.

- Co?

Powtórzyłam jej rozmowę Elodie i Anny.

- Jesteś w stanie w to uwierzyć? „Postanowiłam mu się oddać”. Fuj. Dlaczego nie mogła użyć po prostu słowa „seks”, wiesz może?

W nagrodę otrzymałam słaby uśmieszek.

- To idiotyczne - przyznała Jen na.

- Kompletnie - zgodziłam się z nią.

- Mówiły cokolwiek o Chaston?

- Ee... nie - odpowiedziałam zdziwiona. - W każdym razie ja nic nie słyszałam. Ale podsłuchałam coś, co mówiła pani Casnoff przy kolacji parę dni temu. Chaston ma się dobrze i wypoczywa z rodzicami na Riwierze czy też w innym równie ekskluzywnym miejscu. Wróci w przyszłym roku.

- Nie jestem w stanie uwierzyć, że one plotkują o chłopakach, kiedy jedna z ich siostrzy nie żyje, a druga omal nie zginęła trzy tygodnie temu.

- Bo one są płytkimi żołzami. Nie, żeby stanowiło to dla mnie nowość.

- Taa.

Zrzuciłam ubranie i włożyłam niebieski podkoszulek Hekate oraz spodnie od pizamy, które przysłała mi w zeszłym tygodniu mama. Były białe we wzorek przedstawiający małe niebieskie czarownice na miotłach. Sądzę, że mama chciała w ten sposób przeprosić za naszą kłótnię. Mnie też było głupio, więc zadzwoniłam i powiedziałam jej o tym. Poczułam się lepiej, kiedy nawiązałyśmy znów przyjacielskie stosunki.

- Rany, naprawdę ponabijałam ci siniaki - powiedziała lenna, siadając.

Spojrzałam na swoje ręce.

- To... nic takiego. Nic się nie stało. Nawet nie boli. Ciągle troszkę bolało.

Oczy Jenny błyszczały i miałam wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

- Strasznie mi przykro z tego powodu, Sophie. Byłam taka przerażona i obolała, i... wiesz, czasami tracę kontrolę.

Poczułam zimny dreszcz, ale udało mi się go zignorować. Jenna była moją przyjaciółką. Tak, pokazała mi kły, ale szybko się pozbierała.

Ale to ty jesteś jej przyjaciółką. Chaston z pewnością nią nie była. A kto wie, jak było z Holly?

Nie. Nie będę o tym myśleć.

Zamiast tego odezwałam się z udanym pomieszanym.

- Tracisz kontrolę nad czym? Pęcherzem? Może powinnaś pójść do lekarza. Nie zamierzam pożyczać ci prześcieradła.

- Jesteś rąbnięta. - Zachichotała.

- Trafił świr na świra!

Przez resztę wieczoru gadałyśmy i udawałyśmy, że uczymy się ewolucji magicznej. Kiedy gaszono światła, Jenna niemal wróciła do swojej dawnej formy.

- Dobranoc Jenno - powiedziałam, kiedy lampki zgasły.

- Dobranoc, Sophie.

Wpatrywałam się w pochyły sufit, a w głowie miałam mętlik: Archer, Elodie i Anna, Jenna, ta rozmowa z Calem nad jeziorem. Zasnęłam, zastanawiając się, czy Archer wie o tym, że ma w najbliższym czasie zostać dumnym defloratorem Elodie.

Nie miałam pojęcia, która była godzina, kiedy się obudziłam i zobaczyłam stojącą przy moim łóżku dziewczynę w zielonej sukience. Serce skoczyło mi do gardła. To musi być sen, powtarzałam sobie, to nie dzieje się naprawdę.

Ona jednak westchnęła z rozdrażnieniem i powiedziała z brytyjskim akcentem:

- Sophio Mercer, ależ z c i e b i e kłopotliwa osóbką.

## ROZDZIAŁ 21

Usiadłam na łóżku, mrugając powiekami. To była ta dziewczyna, którą widywałam, odkąd przyjechałam do Hekate, ale tym razem nie wyglądała wcale jak duch: sprawiała wrażenie istoty całkowicie cielesnej.

- No więc? - zagaiła, unosząc jedną ze swych pięknych brwi. - Idziesz czy nie?

Spojrzałam na łóżko Jenny. Widziałam tylko ciemny kształt. Ale jej równy, spokojny oddech upewnił mnie, że spała. Dziewczyna podażyła wzrokiem w tamtym kierunku.

- Och, nią się nie przejmuj - powiedziała, machając lekceważąco ręką. - Nie obudzi się i nie podniesie alarmu. Nikt tego nie zrobi, postarałam się o to.

Zanim zdążyłam zapytać, co właściwie miała na myśli, odwróciła się i przepłynęła przez drzwi.

Siedziałam jak zamurowana, aż pojawiła się ponownie na Progu.

~ Na litość boską, Sophio, chodźmy! Wiedziałam oczywiście, że wycieczka z duchem to Bardz<sup>o</sup> Zły Pomysł. Wszystkie części ciała mi to podpowiadały. Skóra sprawiała wrażenie śliskiej, a żołądek zaciskał mi się w węzeł. Ale bezwiednie odsunęłam kołdrę, chwyciłam rzuconą na oparcie krzesła marynarkę i dogoniłam dziewczynę na schodach.

- Doskonale - powiedziała. - Mamy mnóstwo roboty, a nie za wiele czasu.

- Kim ty jesteś? - szepnęłam.

Rzuciła mi znów poirytowane spojrzenie.

- Mówiłam ci, że nie musisz mówić szeptem. Nikt nas nie usłyszy.

Zatrzymała się na schodach i odrzuciła głowę do tyłu.

- Casnoff! Vandy! Sophia Mercer wstała z łóżka i intryguje z duuuuuuuuchem!

Instynktownie się skuliłam.

- Ciiii!

Ale zgodnie z tym, co powiedziała, wyglądało na to, że nikt nie usłyszał. Jedyne dźwiękami przerywającymi ciszę było stłumione tykanie dużego zegara w głównym holu i mój chrapliwy oddech.

- Widzisz? - powiedziała, odwracając się do mnie z promiennym uśmiechem. - O wszystko zadbałam. Chodź ze mną.

Zbiegła po paru ostatnich schodach i zanim się zorientowałam, znalazłyśmy się na zewnątrz. Noc była chłodna i wilgotna, a trawnik skrzypiał nieprzyjemnie pod nogami. Spojrzałam w dół, żeby się upewnić, że pod stopami mam tylko trawę, i zauważyłam, że otaczała je niesamowita zielonkawa poświata. A poza tym widziałam swój cień, mimo że nie było księżyca.

Obróciłam się na pięcie i spojrzałam za siebie, na Hekate. I wydałam zduszony krzyk.

Cały budynek był zamknięty w wielkim opalizującym bąblu, który jarzył się mdłym zielonym światłem. Bąbel nieustannie się poruszał, falując i rozsiewając dookoła blado zielono iskierki. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam, nigdy nawet nie czytałam o takim zaklęciu.

- Robi wrażenie\* co? - powiedziała z dumą dziewczyna. - To podstawowe zaklęcie usypiające, które sprawia, że ofiary są całkowicie nieczułe na otaczający je świat przez co najmniej cztery godziny. Ja tylko... rozszerzyłam je.

Nie podobało mi się, że użyła słowa „ofiary”.

- Im... nic się nie stanie?

- Och, są całkowicie bezpieczni - odparła. - Po prostu śpią. Jak w bajce.

- Ale... pani Casnoff ma tam mnóstwo zaklęć. Nikt nie jest w stanie po prostu wejść i rzucić tak wielkiego czaru.

- Ja jestem! - odpowiedziała dziewczyna, chwytając mnie za rękę.

Jej uścisk był równie cielesny i realny jak mój. Byłam pewna, że pani Casnoff mówiła, że duchy nie są w stanie dotknąć ludzi. Zanim jednak zdążyłam o to zapytać, dziewczyna odciągnęła mnie dalej od budynku.

- Zaczekaj. Nie możemy nigdzie iść, dopóki nie powiesz mi, kim jesteś i co tu robisz. I dlaczego się za mną włóczysz?

Westchnęła.

- Och, Sophio, miałam nadzieję, że jesteś choć trochę bardziej domyślna. Naprawdę tak trudno zgadnąć, kim jestem?

Przyglądałam się jej długiej do kolan kwiecistej sukience i jasnozielonemu swetrowi. Kręcone włosy sięgały jej do ramion i były upięte do tyłu spinkami. Przeniosłam wzrok w dół i zauważyłam, że miała na sobie okropne brązowe buty. Zrobiło mi się jej trochę żal: duch duchem, ale nikt nie powinien być skazany na wieczność w brzydkich butach.

A potem spojrzałam jej w oczy. Były wielkie i szeroko rozstawione i mimo że odbijało się w nich zielone światło, byłam pewna, że są niebieskie.

Moje oczy.



Brytyjski akcent z lat czterdziestych i moje oczy.

- Alice? - zapytałam, a serce podeszło mi do gardła. Uśmiechnęła się szeroko.

- Znakomicie! A teraz chodź ze mną i...

- Chwilę, chwilę - powiedziałam, podnosząc rękę do skroni. - Twierdzisz, że jesteś duchem mojej prababci?

Znowu to pełne irytacji spojrzenie. -Tak.

- No więc co tu robisz? Czemu się za mną włóczysz?

- Wcale się za tobą nie włóczę - odpowiedziała z przekąsem. - Ukazywałam ci się. Wcześniej nie byłaś gotowa na spotkanie ze mną, ale teraz jesteś. Musiałam ciężko się napracować, żeby do ciebie dotrzeć, Sophio. Czy możemy wreszcie przestać gadać i zabrać się do roboty?

Pozwoliłam jej pociągnąć się dalej, głównie dlatego, że bałam się, żeby mnie nie zamordowała za nieposłuszeństwo, ale również dlatego, że obudziła się we mnie ciekawość. Mało komu zdarza się, żeby duch prababci wyciągał go z łóżka.

Oddaliśmy się od budynku szkoły i ruszyliśmy w dół zbocza, w kierunku szklarni. Zastanawiałam się, czy zabrała mnie tam, żeby poćwiczyć, ale nie dotarliśmy do samej sali gimnastycznej, Alice skręciła bowiem w lewo, ciągnąc mnie ku lasom.

Nigdy nie byłam w lesie otaczającym Hekate i miałam ku temu powody: jest tam upiornie jak diabli. A nocą jeszcze bardziej. Nadepnęłam bosą stopą na kamień i skrzywiłam się. Coś miękkiego otarło mi się o policzek. Pisnęłam cicho.

Słyszałam, że Alice mruczy pod nosem kilka słów; i na-gle przed nami pojawiła się spora kula świetlna, tak jasna, że musiałam osłaniać oczy. Alice znów coś wymamrotała i kula pomknęła w górę, jakby ktoś pociągnął za sznurek. Unosiła się teraz parę metrów nad naszymi głowami, rzucając światło we wszystkich kierunkach.

Jeśli ktoś myśli, że w świetle las stał się mniej koszmarny, to się myli. Stał się jeszcze gorszy. Teraz po ziemi poruszały się cienie, a gdzieś błyskały oczy dzikich zwierząt. Natknęliśmy się na wyschnięty potok i ku mojemu zdumieniu Alice wskoczyła do niego z gracją. Zrobiłam to samo, ale znacznie bardziej nieporadnie, potykając się o nierówny grunt i klnąc pod nosem.

Las był przerażający, ale okazał się niczym w porównaniu z korytem strumienia. Tu ostre kamienie wbijały mi się w bosc stopy i miałam wrażenie, że gdziekolwiek spojrzę, tam są ciemne dziury i wystające korzenie, wyglądające jak wnętrza jakiegoś ogromnego zwierzęcia. W końcu chwyciłam Alice za rękę i zaciskałam mocno powieki, dopóki nie zatrzymałyśmy się niespodziewanie.

Otwarłam oczy i natychmiast tego pożałowałam.

Przede mną wznosiło się niewysokie ogrodzenie z kutego żelaza, z którego łuszczyła się rdza.

Za płotem stało sześć nagrobków. Cztery z nich były lekko przechylone i porośnięte mchem, ale dwa pozostałe sterczały prosto, białe jak kość.

Nagrobki stanowiłyby już same w sobie dość niepokojący widok, jednak coś innego na tym niewielkim cmentarzu sprawiło, że serce skoczyło mi do gardła, a w ustach poczułam metaliczny smak strachu.

Posąg, który miał jakieś dwa i pół metra, może nieco więcej. Anioł wyrzeźbiony z jasnoszarego kamienia, o szeroko rozpostartych skrzydłach. Były one tak dokładnie wyczelowane, że widziałam pojedyncze pióra. Również szaty anioła zdawały się falować i unosić na nieistniejącym wietrze. W jednej dłoni trzymał miecz. Jego rękojeść wyrzeźbiono z tego samego kamienia, co całą postać, głownię zaś wykonano z czegoś, co wyglądało jak ciemne szkło, połyskujące w świetle kuli. Drugą rękę anioł trzymał wyciągniętą przed siebie, dłonią do przodu, jakby nakazywał komuś, żeby się zatrzymał. Na anielskiej twarzy malował się taki wyraz surowego autorytetu, że byłby w stanie zawstydzić samą panią Casnoff.

Znałam skądś tego anioła i uświadomiłam sobie nagle z przestraszeniem, że to jego widziałam na witrażu w Hekate. To ten anioł, który wygnał Prodigium.

- Co... - Urwałam i odchrząknęłam. - Co to za miejsce? Alice przyglądała się aniołowi z bladym uśmiechem

- To tajemnica - odpowiedziała.

Zadygotałam i otuliłam się szczelniej marynarką. Chciałam zapytać Alice, co miała na myśli, ale poważny wyraz jej twarzy podpowiadał mi, że szanse na odpowiedź były nikłe. Czy ulotka Hekate nie mówiła czegoś o tym, że jedną z najważniejszych zasad jest zakaz chodzenia do lasu? Zakładałam do tej pory, że las jest po prostu niebezpieczny.

Ale może chodziło o coś więcej.

Podniósł się wiatr, poruszając liśćmi i przyprawiając mnie o szczykowanie zębami. Czemu nie przyszło mi do głowy wziąć buty, zastanawiałam się, usiłując rozgrzać stopy, pocierając jedną o drugą.

- Masz - powiedziała Alice, wskazując na moje stopy.

Przez moment poczułam mrowienie, po czym na stopach pojawiły mi się najpierw grube białe skarpety, a potem moje ulubione puchate czerwone kaptcie. Te, które wedle moich informacji leżały sobie spokojnie na dnie szuflady w Vermont.

- Jak to zrobiłaś?

Alice tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

Po czym nagle, bez ostrzeżenia machnęła mocno ręką.

Poczułam silne uderzenie w pierś, które zważyło mnie z nóg. Upadłam na ziemię ze zdumionym „Aaaaau!” Usiadłam i rzuciłam jej wściekłe spojrzenie.

- Co to było?

- To - odparła ostro— było śmiesznie łatwe zakłęcie ataku, które powinnaś być w stanie odeprzeć.

Patrzyłam na nią w szoku. Bycie atakowanym przez Ar-chera na obronnym to jedno, ale atak ni stąd, ni zowąd ze strony własnej prababci to wstyd.

- Jak mogłam je odeprzeć, skoro nie miałam pojęcia, że coś takiego zrobisz? - odparowałam.

Alice podeszła do mnie i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać. Nie przyjąłem jej pomocy, głównie dlatego że byłam wkurzona, ale także dlatego, że sprawiała wrażenie, jakby ważyła jakieś czterdzieści kilo, i uznałam, że skończyłoby się to tym, że obie znalazłybyśmy się na ziemi

- Powinnaś wyczuć moje zamiary, Sophio. Ktoś, kto ma tak wielką moc jak ty, zawsze może uprzedzić atak.

- O co tu chodzi? - zapytałam, strzepując ziemię i sosnowe igły z tyłka. - To jakieś Gwiazdne Wojny? Powinam wyczuwać „zakłócenia Mocy”?

Teraz przyszła kolej na Alice, żeby zamrunąć powiekami z zakłopotaniem.

- Nieważne - wymamrotałam. - W każdym razie, skoro obserwowałam mnie przez całe sześć tygodni, to zapewne zauważyłaś, że wcale nie mam żadnej „wielkiej mocy\*! Jestem tak jakby najmniej potężną czarownicą w okolicy. Prawdę mówiąc, wspaniałe rodzinne supermoce jakoś mnie ominęły.

Alice pokręciła głową.

- Wcale nie. Czuję to. Twoja moc jest równie wielka jak moja. Tyle tylko, że na razie nie wiesz, jak się nią posługiwać. Dlatego właśnie tu jestem. Żeby ci pomóc ją ukształtować i wyostrzyć. Żeby przygotować cię do roli, którą musisz odegrać.

Podniosłam na nią wzrok.

- Znaczy się jesteś, no, jakby mistrzem Yodą?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Przepraszam. Muszę przestać robić popkulturowe aluzje. Co to za rola, co to ją niby mam odegrać?

Alice patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym całkiem zgłupiała. I muszę jej przyznać, że właśnie tak się czułam.

- Przewodniczącej Rady.

## ROZDZIAŁ 22

- Okej, ale niby dlaczego miałabym tego chcieć? - zapytałam, śmiejąc się nerwowo. - Nie mam pojęcia o Prodigium i jestem obciachową czarownicą.

Wiatr szarpał moje włosy, zawiewając mi je na usta i oczy. Przez zakrywające mi twarz kosmyki zobaczyłam, że Alice macha w moją stronę ręką. Włosy odgarnęły się same z twarzy i zebrały na szczycie głowy w tak ciasny węzeł, że aż poczułam napływające do oczu łzy.

- Sophio - powiedziała Alice tonem, jakiego zazwyczaj używa się w stosunku do histeryzujących dzieci. - Ty tylko myślisz, że jesteś obciachową.

Słowo „obciachową” zabrzmiało komicznie elegancko W arystokratycznej wymowie, więc omal się nie roześmiałam. Chyba uznała to za dobry znak, bo wzięła mnie za rękę. Jej skóra była miękka i lodowato zimna w dotyku. - Sophio - powiedziała cicho-jesteś niezwykle potężna. Twoim jedynym niedostatkim jest to, że byłaś wychowywana przez człowieka. Właściwy trening i dobre wskazówki pomogą ci zawstydzić wszystkie pozostałe dziewczęta. Jak to ty i ta twoja przyjaciółka półkrwi je nazywacie? Czarownice z Clearasilu?

- Jenna nie jest półkrwi - powiedziałam szybko, ale ona puściła to mimo uszu.

- Możesz być znacznie, znacznie potężniejsza niż którakolwiek z nich. A ja mogę ci pokazać jak.

- Ale po co? - zapytałam.

Uśmiechnęła się enigmatycznie i poklepała mnie po ramieniu. Wiedziałam wprawdzie, że Alice zmarła w wieku osiemnastu lat, co czyniło ją raptem dwa lata starszą ode mnie, ale w jej zachowaniu było coś bardzo babcioatego. A po całym życiu spędzonym tylko z mamą jako jedyną rodziną sprawiało mi to przyjemność.

- Ponieważ jesteś z mojej krwi - odpowiedziała. - Ponieważ zasługujesz na to, żeby być lepszą. Żeby stać się tym, czym masz się stać.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czyżby oznaczało to zostanie szefową Rady? Pomyślałam sobie o moim niegdysiejszym marzeniu, aby posiadać małą okultystyczną księgarenkę, wróżyć z ręki i nosić obszerną fioletową szatę. Wydało mi się to teraz takie odległe i prawdę mówiąc, jakby głupie.

A następnie przypomniały mi się Elodie, Chaston i Anna roztaczające wokół siebie poświatę i kwitujące w bibliotece. Wyglądały jak boginie i mimo że czułam strach, jednocześnie im zazdrościłam. Czy to możliwe, żebym była lepsza od nich?

Alice roześmiała się.

- Och, będziesz od nich znacznie lepsza. Super. A więc ona czyta mi w myślach.

- Chodź, nie zostało nam już dużo czasu. Przeszliśmy przez cmentarz na polanę otoczoną dębami.

- Tu będziemy się spotykać - powiedziała Alice. - Tu nauczę cię, jak być taką czarownicą, jaką powinnaś być.

- Wiesz, że ja mam lekcje, co? Niemożę zarywać całych nocy.

Alkce zdjęła z szyi wisiołek. Jej dłonie rozpromienił blask jaśniejszy niż unosząca się wciąż nad nami kula. Chwilę później światło nagle zgasło, a ona podała mi naszyjnik.

Był tak rozgrzany, że z trudem wzięłam go do ręki. Zwyczajny srebrny łańcuszek z kwadratową zawieszka wielkości mniej więcej znaczka pocztowego. W samym środku znajdował się czarny kamień w kształcie łzy.

- Masz. To pamiątka rodzinna - po wiedziała.,,- Póki to nosisz, nigdy się bardzo nie zmęczysz.

Spojrzałam z podziwem na klejnot - Mogę nauczyć się tego zaklęcia?

Po raz pierwszy Alice naprawdę się rozpromieniła, tak bardzo, że uśmiech rozświetlił jej zwyczajną, niezbyt ładną twarz.

Nachyliła się i ujęła moje dłonie, przyciągając mnie blisko, aż nasze twarze prawie się dotknęły.

- Tego i mnóstwa innych - szepnęła. A kiedy zaczęła się śmiać, szybko zaraziła mnie tą wesołością.

Kilka godzin później już się nie śmiałam. Nie byłam nawet w stanie się uśmiechnąć.

- Jeszcze raz! - warknęła Alice.

Jak dziewczyna jej postury mogła mieć tak donośny głos? Westchnęłam i się skuliłam. Skupiłam się najmocniej, jak umiałam, na pustej przestrzeni przede mną, z całej siły wyobrażając sobie mający się tam pojawić ołówek. Przez pierwszą godzinę przerabialiśmy zaklęcia blokujące. Udawało mi się nie najgorzej blokować magiczne ataki Alice, mimo że ich nie wyczuwałam. Ale teraz pracowałyśmy nad wyczarowywaniem przedmiotów z powietrza. Zaczęłyśmy od drobiazgów, stąd ołówek, a Alice twierdziła, że wszystko zależy od właściwej koncentracji.

Koncentrowałam się tak mocno, że zaczynałam mieć obawy, że ilekroć zamknę oczy, będę przed tobą widziała jasnożółte ołówki HB. Wprawiłam w drżenie źdźbła trawy, a w chwili szczególnej frustracji cisnęłam w stronę Alice kamieniem, ale ołówka jak nie było, tak nie było.

- Może zaczęłybyśmy od czegoś jeszcze mniejszego? - zaproponowała Alice. - Na przykład od spinacza. Albo mrówki.

Rzuciłam jej zabójcze spojrzenie i wzięłam głęboki wdech.

Ołówek, ołówek, ołówek, myślałam. Jasnożółty ołówek z miękką różową gumką, taki zwyczajny, proszę, proszę...

I nagle poczułam. To wrażenie wody unoszącej się spod moich stóp ku opuszkom palców. Ale to nie była po prostu woda. To była rwąca rzeka. Całe moje ciało wypełniały wibracje. Czułam żar pod powiekami, co okazało się przyjemne i przywodziło na myśl nagrzanym słońcem fotel w samochodzie w chłodny dzień. Twarz mnie bolała i uświadomiłam sobie, że to od uśmiechu.

Ołówek wynurzał się z powietrza powoli, z początku rozmazany i niewyraźny, aż wreszcie całkiem się zmaterializował. Trzymałam ręce wyciągnięte przed siebie, czując wciąż pulsowanie magii w całym ciele, i odwróciłam głowę do Alice, żeby powiedzieć jej coś w rodzaju „Proszę, proszę!”

Ona jednak nie patrzyła na mnie, ale przeze mnie -w miejsce, gdzie znajdował się ołówek. Obróciłam się z powrotem i krzyknęłam. To nie był jeden ołówek.

Przedemną widniała sterta ze trzydziestu ołówków układających się jeden na drugim, a kolejne wyskakiwały z powietrza.

Opuściłam ręce i magia natychmiast przestała płynąć, jakbym przerwała połączenie.

- O rany! - krzyknęłam cicho.

- No, no. - Tak brzmiał jedyny komentarz Alice.

- To... - Gapiłam się na stertę ołówków. - To ja to zrobiłam - powiedziałam w końcu, dając sobie jednocześnie mentalnego kopniaka za wiekową mądrość tej uwagi

- W rzeczy samej - powiedziała Alice, potrząsając nieznacznie głową. Uśmiechnęła się. - A nie mówiłam?

Roześmiałam się, ale w tym samym momencie coś przyszło mi do głowy.

- Chwila. Mówiłaś, że zaklęcie usypiające wystarcza na mniej więcej cztery godziny. - Zerknęłam na zegarek, - Już minęły prawie cztery godziny, a potrzebujemy co najmniej pół godziny, żeby się stąd wydostać. Jak mamy wrócić na czas?

Alice uśmiechnęła się i pstryknęła palcami. Koło niej nagle pojawiły się dwie miotły.

- Chyba żartujesz - powiedziałam.

Uśmiechnęła się szeroko, wskoczyła na miotłę i pofrunęła w górę. Zawróciła i unosiła się teraz nad moją głową, a jej śmiech niósł się echem po lesie.

- Wsiadaj, Sophio! - zawołała. - Bądź raz w życiu tradycyjna!

Stałam mocno, chwytając jednocześnie smukły kij od miotły.

- To mnie utrzyma? - krzyknęłam do Alice. - Nie wszyscy mają rozmiar XS!

Tym razem nawet nie zapytała mnie, o co chodzi. Roześmiała się po prostu.

- Na twoim miejscu bym się pospieszyła! - odkrzyknęła. - Od całorocznego dyżuru w piwnicy

dzieli cię zaledwie kwadrans!

Wsiadałam na miotłę, sadowiąc się na niej okrakiem. Nie zrobiłam tego tak elegancko jak Alice, ale kiedy mój nowy środek lokomocji nagle wzbił się w powietrze, przestałam się przejmować tym, czy wyglądam dystyngowanie.

Chwyciłam mocniej rączkę i krzyknęłam i zaskoczenia, czując na twarzy chłodny powiew wiatru. Znalazłam się w powietrzu.

Zakładałam, że miotła popędzi przed siebie, a ja będę się jej kurczowo trzymać, wrzeszcząc ze wszystkich sił. Ona jednak raczej szybowała. Wstrzymywałam oddech nie ze strachu, ale dlatego, że odczuwałam czystą, nieskrępowaną radość. Powietrze było zimne, lecz także przyjemne i kiedy leciałam za Alice z powrotem do szkoły, zebrałam się na odwagę, żeby spojrzeć w dół na przemykające pode mną czubki drzew. Alice zgasiła kulę świetlną, więc widziałam głównie ciemną bezkształtną masę, ale nic mnie to nie obchodziła. Latałam - naprawdę, naprawdę latałam.

Gwiazdy nad głową były jak na wyciągnięcie ręki, a serce rosło mi w piersi. W oddali widziałam zieloną poświatę bąbla otaczającego Hekate i miałam nadzieję, że nigdy tam nie dolecimy, że będę mogła na zawsze zatrzymać to uczucie lekkości i wolności.

Zbyt szybko nastąpił ten moment, kiedy wylądowałyśmy tuż przed werandą. Policzki spierzchły mi z zimna, a palce zdrętwiały, ale na twarzy miałam obłąkańczy uśmiech.

- To - oznajmiłam - była najwspanialsza rzecz pod słońcem. Dlaczego wszystkie czarownice tego nie robią?

Alice roześmiała się, zsiadając z miotły.

- Obawiam się, że jest to uważane za zbyt banalne.

- Bzdura - powiedziałam. - Kiedy zostanę przewodniczącą Rady, ogłoszę miotłę jedynym dozwolonym środkiem transportu.

Alice roześmiała się znowu. - Miło to słyszeć.

Bąbel wokół Hekate zaczął tymczasem blednąć.

- To pewnie oznacza, że muszę wracać - powiedziałam.! A więc jutro w tym samym miejscu o tej samej porze?

Alice potaknęła i sięgnęła do kieszeni, by wyjąć niewielką sakiewkę.

- Weź to.

Woreczek był miękki, a jego zawartość sypka.

- Co to jest?

- Ziemia z mojego grobu. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała dodatkowej mocy do zaklęć, natrzyj odrobiną ręce. Powinno wystarczyć.

- Okej. Znaczy, dziękuję. - Fajnie będzie mieć dopalacz do magii, ale po prawdzie trochę mi

się flaki przewracały. Ziemia z grobu? Fuj.

- I, Sophio - dodała Alice, kiedy się odwróciłam, żeby wrócić do pokoju.

- Tak?

Podeszła do mnie i wzięła mnie w ramiona, przyciągając moją głowę do swoich ust. Przez moment myślałam, że pocałuje mnie w policzek albo coś w tym rodzaju, ale ona szepnęła tylko:

- Uważaj na siebie. Oko cię widzi nawet tutaj.

Odkoczyłam z walącym mocno sercem i nagłą suchością w ustach, jednak zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Alice posłała mi pełen smutku uśmiech i rozplynęła się w powietrzu.

## ROZDZIAŁ 23

- I jak? - zapytałam bez tchu Archera tydzień później. -Wybrałeś już idealny odcień różu na smoking?

Mieliśmy obronę, a ja straciłam dech tylko dlatego, że właśnie wykonałam atak, który rzucił chłopaka na ziemię po raz piąty tego dnia. Niedotlenienie w moich płucach nie miało nic wspólnego z tym, że wyglądał fantastycznie w obcisłym podkoszulku. Nie mogłam uwierzyć, że udało mi się go tyle razy pokonać. Albo on tracił kondycję, albo ja ją zyskiwałam w bardzo szybkim tempie. Oczywiście nigdy nie zamierzałam startować w zawodach strongmanów, ale i tak szło mi niesamowicie dobrze. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że zarywałam noce.

Naszyjnik uderzył mnie w pierś, kiedy pochyliłam się, żeby podać Archerowi rękę. Zakłęcie Alice działało jak... no, chyba już wiecie. Przez pierwsze trzy noce sypiałam po mniej więcej dwie godziny, a mimo to budziłam się wyspana. Pierwszego dnia bałam się, że pani Casnoff wezwie mnie do gabinetu i odpyta na okoliczność zaklęcia usypiającego, które ktoś rzucił na szkołę, ale kiedy to nie nastąpiło, zaczęłam się nieco rozluźniać. Teraz nawet nie zawracałam sobie głowy zasypianiem. Leżałam po prostu w ciemności, czując się podekscytowana jak dziecko wypatrujące prezentów gwiazdkowych, i czekałam, aż zielona poświata wleje się przez okno. Wtedy wybiegałam na zewnątrz, wskakiwałam na miotłę i pędziłam przez nocne niebo na cmentarz.

Wiedziałam, że to, co robię, jest niebezpieczne i trochę głupie. Ale kiedy szybowałam po niebie albo rzucałam zaklęcia tak potężne, że nawet nie marzyłam o ich istnieniu, trudno było o tym pamiętać.

Archer uśmiechnął się, kiedy pomogłam mu wstać. - Pytam poważnie - powiedziałam. - Elodie mówiła coś o tym, że macie mieć dobrane stroje. No więc jaki odcień? „Landrynka”? A może „pnąca róża”? Och, mam pomysł! „Rumieniec dziewicy”!



Od balu dzielił nas raptem tydzień i wydawało się, że wszyscy tylko o tym mówią. Nawet Byron kazał nam jako zadanie domowe ułożyć sonet o planowanym stroju. Ja niestety nie miałam pojęcia, co na siebie włożę. Pani East miała nas nauczyć zaklęcia, dzięki któremu wyczarujemy sobie suknie i smokingi. Poprzedniego dnia każdy dostał manekina ubranego w coś, co wyglądało jak poszewka na poduszkę z dziurami na ręce. Nie miałam pojęcia, dlaczego nie mogliśmy przemienić jakichś własnych ciuchów, ale założyłam, że to kolejny idiotyczny przepis Hekate.

Zmieniokształtni i elfowie mieli dostać ubrania z domu, co oznaczało, że przez kilka dni z rzędu do szkoły przychodziły paczki.

No i była jeszcze Jen na. Zapropnowałam, że wyczaruję jej sukienkę, ale ona popatrzyła na mnie jak na wariatkę i powiedziała, że nie ma mowy, żeby poszła na „idiotyczne tańce”.

Pracowaliśmy nad zaklęciami codziennie na lekcjach

pani East, ale jak na razie wszystkie moje próby wychodziły trochę zbyt bufiasto. Pani East twierdziła, że to z emocji, jednak nie dawałam wiary jej tłumaczeniom. Wcale nie ekscytowałam się tym balem. Nie planowałam się nikomu „oddawać”.

- Zamknij się - powiedział pogodnie Archer, unosząc ręce nad głowę, żeby się przeciągnąć. - Jeśli chcesz wiedzieć, to tylko muszkę będę miał różową i wystarczy, dzięki.

Wysiliłam się na uśmiech, starając się jednocześnie nie gapić na kawałek ciała wystający spod podkoszulka, kiedy chłopak się pochylił.

Jak zwykle poczułam suchość w ustach i przyspieszony oddech, a w żołądku pojawiło się to dziwaczne doznanie niemalże smutku.

Nigdy nie przypuszczałam, że ucieszy mnie dźwięk głosu Vandy, ale kiedy krzyknęła swoje „Koniec na dzisiaj!” miałam ochotę ją ucałować.

No dobra, jak się nad tym zastanowić, to może jednak nie. Wystarczyłby uścisk ręki.

- A niech mnie wszyscy diabli - mruknęłam do siebie godzinę później.

Wpatrywałam się w efekt swojej najnowszej próby wyczarowania sukni balowej. Ta przynajmniej uniknęła poważnego nadmiaru bufek, ale miała chorobliwy żółtozielony kolor, który kojarzył mi się z zawartością pieluch niemowlęcych albo okolicą katastrofy jądrowej.

- No cóż, panno Mercer. Rzekłabym, że... robisz postępy - powiedziała pani East z ustami zaciśniętymi tak mocno, że zastanawiałam się, jakim cudem w ogóle wydobywają się z nich słowa.

- Aha - potaknęła Jenna, siedząca na ławce tuż obok mnie. Przez większość lekcji czytała swoje ukochane mangi. - Robisz postępy - dodała dla zachęty, ale zmarszczyła brwi na widok mojego ostatniego dzieła.

- Tak, przynajmniej tym razem nie przewróciłaś trzech ławek - zakpiła za moimi plecami Elodie.

Jej suknia była oczywiście wspaniała.

Zakładałam, że bal jest po prostu odmianą maturalnego, ale dla potworów, w związku z czym suknie będą podobne do tego, co się ogląda w zwykłej szkole. Myliłam się. Suknie, nad którymi pracowała większość dziewczyn, pochodziły wprost z bajki.

Suknia Elodie była niewątpliwie najładniejsza w całej klasie. Miała podniesiony stan, krótkie rękawki, powiewną spódnicę i wyglądała jak coś, co nosi się w książkach Jane Austen. Pokpiwałam z Archera i różowości, ale nawet ja musiałam przyznać, że odcień był naprawdę łaciny. Nic w rodzaju „elektrycznej truskawki”, raczej blady róż, który czasem widuje się we wnętrzu muszli. Połyskiwał jak perła, a Elodie z pewnością będzie w tym wyglądać zabójczo pięknie.

Cholera.

Sfrustrowana powróciłam do własnej sukni. Położyłam dłoń na talii manekina i myślałam uporczywie: Piękna suknia, piękna suknia, coś w błękitach. Okropnie mnie to irytowało, że byłam już w stanie wyprodukować z powietrza coś tak dużego jak krzesło, ale najwyraźniej nie potrafiłam wymyślić sukni, która nie byłaby ohydna. No dobra, krzesło, które wyczarowałam ostatniej nocy, nadawałoby się dla krasnoludka, ale zawsze.

Czułam, że materiał się unosi i przesuwa pod moimi palcami. Proszę, pomyślałam, zaciskając mocno powieki.

Po czym usłyszałam Elodie i Annę wybuchające śmiechem.

Niech to.

Otworzyłam oczy i ujrzałam jaskrawoniebieską tiulową potworność ze spódnicą, która sięgnęłaby mi może do połowy uda. Wyglądałabym w tym jak puszcza lśka narzeczona Ciastkowego Potwora.

Wymamrotałam pod nosem jakieś wyjątkowo nieprzyzwoite przekleństwo, czym zarobiłam karcące spojrzenie pani East. ale o dziwo, nie dostałam kary. Chyba nie była w stanie mieć mi za złe takiej reakcji w obliczu tej sukni

- No. Sophie, to rzeczywiście coś. - Elodie przysunęła się do mnie z ręką wspartą na biodrze. - Zrobisz karierę jako projektantka mody.

- Bardzo śmieszne - mruknęłam, choć miałam ochotę powiedzieć jej parę niemiłych słów.

- Nie wierzę, że mogłam myśleć o zaproszeniu cię do mojego sabatu - dodała, wlepiając we mnie swoje błyszczące zielone oczy.

Tym razem jęknęłam w myślach. Oczy Elodie świeciły tym blaskiem tylko wtedy, kiedy szykowała jakiś wyjątkowo bolesny cios. Ostatnio widziałam ją taką, kiedy rzucała

oskarżenia na Jennę po tym, jak znaleziono Chaston.

- Oto córeczka szefa Rady, która nie umie nawet wyczarować sukni Żaloszne.

- Słuchaj, Elodie, nie mam ochoty na kłótnie. Może... może zostawisz mnie w spokoju, żebym mogła popracować, okej?

Ona jednak jeszcze ze mną nie skończyła.

- A właściwie po co ci suknia balowa? Dla kogo chcesz wyglądać ładnie? Dla Archera? m  
Zachowanie spokoju kosztowało mnie bardzo wiele, zwłaszcza że palce zacisnęły mi się bezwiednie na stojącym przeciwko mnie manekinie.

Elodie pochyliła się bliżej, wąpię więc czy ktokolwiek usłyszał jej szept.

- Myślisz, że nie widzę, jak go pożerasz wzrokiem?

Nie spuszczać oczu z manekina, odpowiedziałam jej najspokojniej, jak umiałam.

- Przestań, Elodie.

- Wiesz, to twoje zadurzenie jest słodziutkie. A przez słodziutkie rozumiem, oczywiście, żaloszne - ciągnęła.

Kątem oka dostrzegłam, że prawie wszyscy przerwali pracę i przyglądali się nam. Pani East udawała, że niczego nie zauważa, wiedziałam więc, że zostałam pozostawiona na pastwę losu.

Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się do Elodie, która stała z wyrazem pogardliwego triumfu na twarzy.

- Och, Elodie - powiedziałam głosem ociekającym słodyczą - nie przejmuj się mną i Archerem. To przecież nie ja zamierzam uwieść go podczas balu.

Klasa wybuchnęła śmiechem, a Elodie zrobiła coś, czego się po niej nie spodziewałam: zaczerwieniła się po uszy i autentycznie zapłula, usiłując wymyślić jakąś celną ripostę.

Pani East wybrała tę właśnie chwilę, żeby nam przerwać

- Panno Mercer! Panno Parris! Do roboty! Odwróciłam się z uśmiechem do swojego manekina.

Błękitna katastrofa, którą znów ujrzały moje oczy, ostudziła nieco uczucie triumfu.

- Twoja magia osłabła czy co? - spytała cicho Jenna.

- Nie, działa tak samo jak zawsze. Woda wzbierająca od stóp i tak dalej.

- Że co? - parsknęła Anna, opierając dłoń na biodrze. Jak czujesz magię?

- No... jakby coś wzbierało przede mną - odparłam, wyrzucając z siebie pospiesznie słowa.

- Tak się nie czuje magii - oznajmiła Anna. Rozejrzałam się i dostrzegłam, że kilka innych czarownic spogląda na mnie z zaskoczeniem.

- Magia przychodzi z góry - ciągnęła Anna. - Jakby coś na ciebie spadało, jak...

- Śnieg - dokończyła Blodie.

Odwrociłam się z powrotem do manekina, czując, że twarz mi płonie. - Moja zatem jest zapewne inna. Słyszałam jakieś szept, ale nie zwracałam na nie uwagi.

- Nauczysz się - powiedziała Jenna, rzucając Annie nieprzyjazne spojrzenie.

- Och, wiem, że będę lepsza - odrzekłam, przebiegając palcami po tiurniurze sukienki (Tiurniura? A niech cię, mocy magiczna.) - Tę suknię robię dla ciebie.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się szeroko.

- Owszem, ale chyba będziemy musiały ją nieco skrócić. Nie powinna się ciągnąć po podłodze.

Pacnęła mnie dłonią po ramieniu i zanim się zorientowałam, zanosiliśmy się śmiechem.

Przez resztę lekcji produkowałam najbrzydsze suknie, jakie byłam w stanie wymyślić, ale oprócz mnie tylko Jenna uważała to za zabawne. Straciłam rachubę, ile razy pani East groziła nam wyrzuceniem z klasy, a Elodie tak często przewracała oczami, że Jenna w końcu spytała ją, czy ma jakiś atak. Wtedy dostałyśmy takiej głupawki, że pani East jednak nas wyrzuciła i kazała nam za karę napisać siedmiostronicową pracę o historii zaklęć modniarskich.

Nie przejęłam się tym. Za to, że Jenna znów się śmiała, mogłabym napisać nawet sto stron.

- Nie wiem, co się zmieniło - powiedziałam tego samego wieczoru do Alice, kiedy łączyliśmy po lesie, zbierając miętę potrzebną do jakiegoś zaklęcia zwalniającego czas. - W jednej chwili była ponurą Jenną z ostatniego miesiąca, a potem nagle znów zostałyśmy przyjaciółkami.

Alice nic nie odpowiedziała.

•- Czy to nie wspaniałe? - zapytałam.

- Tak sędzę.

- Tak sądzisz? - powtórzyłam, parodiując jej akcent.

Wyprostowała się i rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- Chodzi o to, że nie pochwalam przyjaźni z wampirzycą. To niegodne ciebie.

Roześmiałam się.

- O Boże: niegodne mnie? Daj spokój.

Alice westchnęła, wrzucając kolejny pęczek liści do małej skórzanej sakiewki, którą wyczarowała.

- Dobór przyjaciół to twoja sprawa, Sophia Usiłuję to szanować. A teraz opowiedz mi o tej prywatce.

Pochyliłam się, żeby zerwać miętę.

- To będzie bal. Z okazji Halloween. Pewnie będzie super. Zwłaszcza że nie jestem w stanie wyczarować sukni, która nie byłaby skrajnym obciachem. Och, i jeszcze jest bonus: będę musiała przecierpieć patrzenie na dziewczynę, której nie znoszę, a która będzie wyglądała bosko i będzie uwodzić chłopaka, który mi się podoba. Szukuje się niezły ubaw.

- Elodie? Potaknęłam. Alice skrzywiła się.

- Nie mam za grosz sympatii do tej dziewczyny. Była dla ciebie bardzo niemiła. Niewątpliwie dlatego że przerastasza ją mocą. Mało rzeczy jest dla mnie równie odstręczających jak marna czarownica.

- Mów do mnie jeszcze., Alice zamrużyła powiekami. - Już wszystko powiedziałam.

- Nieważne. To po prostu niesprawiedliwe, że ona jest okropną babą, ale jej zaklęcie wyczarowało przepiękną suknię. Będzie wyglądała cudownie.

I uwiedzie Archera, dodałam w myślach. Zapomniałam, że Alice czyta mi w myślach.

- Och. To w Archerze się podkochujesz?

Nie było sensu wypierać się „podkochiwania”, więc potaknęłam.

- Ha - odparła Alice. - Czemu więc nie rzucisz na niego zaklęcia miłosnego? Są niezwykle łatwe.

Wrzuciłam miętę do swojego woreczka.

- Dlatego że... Słuchaj, może to zabrzmie głupio, ale ja naprawdę go lubię i nie chciałabym, żeby on lubił mnie z powodu, no wiesz, zaklęcia.

Myślałam, że Alice zacznie się ze mną spierać, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- Wzajemna atrakcyjność to też rodzaj magii, jak sądzę.

- Ta, tylko że wątpię, żebym kiedykolwiek stała się dla niego atrakcyjna. Myślałam, że może na tym balu... ale nie potrafię nawet wyczarować sobie porządnej sukienki.

Odwróciłam się do Alice.

- Dlaczego kiedy jestem tu z tobą, wychodzą mi duże zaklęcia, a kiedy wracam do szkoły, nic mi się nie udaje?

- Kwestia pewności siebie? - zasugerowała. - W szkole nie czujesz się pewnie i to odbija się na twojej magii.

- Może.

Zbierałyśmy jeszcze przez chwilę miętę, aż wreszcie Alice przerwała milczenie.

- Mówisz, że suknia tej dziewczyny jest piękna? Westchnęłam.

- Owszem. Doskonała.

Alice uśmiechnęła się i mogłabym przysiąc, że w świecie kuli jej zęby autentycznie zabłysły.

- Chciałabyś to zmienić?

## ROZDZIAŁ 24

W dniu balu odwołano lekcje, a ponieważ był to kolejny piękny październikowy dzień, prawie wszyscy spędzali go w ogrodzie. Wszyscy z wyjątkiem mnie. A dokładniej mnie i Jenny. Pomimo krwawego klejnotu nie przepadała za wychodzeniem z budynku. Leżała jak zwykle zwinięta, przykryta kocem, trzymając w ręce mangę.

Usiadłam na swoim łóżku, przyglądając się głupiemu manekinowi, który wciąż okrywała poszewka. Przez większość poranka usiłowałam zmienić ją w coś choćby troszkę bardziej eleganckiego, ale bez powodzenia. Nie mogłam dociec, jak to działa: zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że nie jestem najlepszą czarownicą na świecie, ale zaklęcie transformujące nie powinno sprawiać aż tylu trudności. Prawda, nigdy wcześniej nie próbowałam niczego tak skomplikowanego, ale powinnam przynajmniej być w stanie wyczarować małą czarną. A nawet ona wyszła mi bezkształtna i krzywa. Westchnęłam.

- Ej. Sophie - krzyknęła na to Jenna - to ja mam doła.

O co ci chodzi?

- O tę piekielną sukienkę. - Wskazałam palcem na obmierzłego manekina. - Nic nie działa.

Jenna wzruszyła ramionami.

- No to nie idź na bal.

Rzuciłam jej wściekłe spojrzenie. Ona nie szła, więc nie rozumiała, dlaczego mnie tak na tym zależy. Ja w sumie też nie do końca to rozumiałam, aczkolwiek zapewne istniał tu spory związek z Archerem w smokingu.

Nie miałam jednak ochoty wyjawiać tego Jennie.

- Nie chodzi o bal, chodzi o zasadę. Powinnam umieć rzucić to zaklęcie. Nie jest wcale takie trudne.

- Może ktoś przeklął twojego manekina - zażartowała, wracając do swojej mangi.

Moja ręka powędrowała do kieszeni i zacisnęła się na niewielkim przedmiocie, który niemal wypalał mi dziurę w podszewce.

Kiedy Alice zaproponowała zaczarowanie sukni Elodie, z początku absolutnie odmówiłam.

- Wywalą mnie za rzucanie czarów na inną uczennicę - powiedziałam jej.

- Ale to nie będziesz ty - upierała się Alice - tylko ja. Ty tylko będziesz posłańcem, że tak powiem.

To mnie przekonało, ale muszę przyznać, że poczułam się nieco słabo, kiedy Alice sięgnęła do kieszeni i wydobyła stamtąd maleńką kostkę, zapewne jakiegoś ptaka. To, że nosiła kości w kieszeniach, zasadniczo powinno mnie śmiertelnie wystraszyć, ale zdążyłam już przywyknąć do jej dziwactw. Podobnie jak naszyjnik, który od niej dostałam pierwszego

wieczora, kość lśniła słabą poświatą w jej dłoni. I Podała mi ją z uśmiechem.

- Wystarczy, że wsuniesz to w rąbek jej sukni.

- Mam powiedzieć jakieś specjalne zaklęcie czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Kość sama będzie wiedziała, co zrobić.

Przypomniały mi się jej słowa, kiedy obracałam teraz

w palcach maleńki gładki przedmiot. Miałam go od tygodnia, ale nadal nie użyłam. Alice obiecała mi, że kość tylko zamieni kolor sukni Elodie na jakiś okropny, kiedy dziewczyna ją włoży. Nie brzmiało to więc bardzo źle. Ale mimo wszystko niepokoiłam się. Każde zaklęcie, jakie kiedykolwiek na kogoś rzucałam, psuło się, a chociaż nie znosiłam Elodie, nie chciałam jej przez przypadek zrobić krzywdy. Kość pozostawała więc wciąż w mojej kieszeni.

Ale skoro nie zamierzałam jej użyć, czemu jej nie wyrzuciłam?

Wstałam z łóżka, wzdychając ponownie, i podeszłam do manekina. Mimo że nie miał głowy, wydawało mi się, że kpi sobie ze mnie samą swoją obecnością. Jakby mówił: „I co, ciucmo? Wolę już nosić poszewkę niż którąkolwiek z zaprojektowanych przez ciebie paskudnych sukienek”.

- Zamknij się - mruknęłam. Położyłam mu ręce na biodrach i ponownie skupiłam się najmocniej, jak potrafiłam. -Błękitna, ładna, proszę... - wymamrotałam.

Materiał zafalował mi pod palcami i natychmiast zamienił się we wściekle niebieski, wyszywany cekinami kostium nadający się w najlepszym razie na zawody łyżwiarstwa figurowego.

- Nie, nie, nie! - krzyknęłam, waląc pięściami w manekina tak mocno, że obrócił się na stojaku.

Jenna podniosła wzrok znad książki.

Nieźle boksujesz. ~ Niestety to nie pomaga - burknęłam.

Boże, co jest ze mną nie w porządku? Rzucałam znacznie poważniejsze zaklęcia niż to i nigdy, przenigdy nie wychodziły tak fatalnie.

- Mówię ci - oznajmiła Jenna - że masz zaklętego manekina. Nikomu nie idzie aż tak źle.

- Wiem - odrzekłam, opierając głowę o manekin. - Nawet Sarah Williams, która jest chyba najmarniejszą czarownicą, jaką w życiu spotkałam, wyczarowała bardzo ładną czerwoną sukienkę. Nie aż tak wymyślną jak Elodie, ale...

Urwałam, czując nagłą pustkę w żołądku.

To rzeczywiście nie miało sensu, żebym ja właśnie miała tyle kłopotów z zaklęciem tworzącym suknię. Może Jenna miała rację, może mój manekin jest zaklęty.

Przycisnęłam jeszcze raz ręce do poszewki, ale tym razem nie myślałam o sukience.

- Pokaż się - powiedziałam po prostu.

Przez moment nic się nie działo. Nie byłam pewna, czy powinnam czuć ulgę czy rozczarowanie.

A następnie bardzo powoli na przodzie sukienki pojawiły się dwa błyszczące odciski dłoni w kolorze jasnego burgunda bądź też rozcieńczonego wina.

Poczułam ulgę, ale szybko stłumiła ją fala zimnej złości.

- Jak to zrobiłaś? - spytała Jenna spoza moich pleców. Przyklęła na łóżku, gapiąc się na ślady dłoni.

- To zaklęcie ujawniające - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Pozwala sprawdzić, czy przedmiot był traktowany magią.

- Przynajmniej teraz wiesz, że nie jesteś beznadziejną czarownicą.

Przytaknęłam, ale wewnątrz trzęsłam się z wściekłości. Myślałam, że jestem do niczego, a to wszystko była sprawka Elodie. No bo kogo innego? Kto inny mógłby chcieć mieć pewność, że nie pójdę na bal? Boże, ta sytuacja zanadto przypominała baśniowy scenariusz jak na moje nerwy.

A tak naprawdę przejmowałam się głównie tym, że nie zaczarowałam jej sukni. Ze miałam obiekcje wobec takiego postępk. Ech, pieprzyć to.

- Gdzie jest teraz Elodie? - zapytałam Jen nę. Zrobiła wielkie oczy, więc zapewne wyglądała dość przerażająca

- Em, słyszałam jak Anna mówiła, że idą na plażę z kilkoma osobami

- Doskonale.

Ruszyłam w kierunku drzwi, ignorując wołania Jenny.

- Co ty knujesz?

Pognałam do pokoju Elodie. Na korytarzu nie było nikogo, więc niezauważona wsunęłam się do środka.

Z bijącym mocno sercem - zarówno ze strachu, jak i złości - podeszłam do okna, gdzie stały manekiny Anny i Elodie. Suknia Anny była czarna z fioletową la mówką i krótkim trenem.

Będzie w tym wyglądała znakomicie, ale to nic w porównaniu z dziełem Elodie.

Przez moment się zawahałam.

Po czym przypomniałam sobie dziewczynę wyśmiewającą mnie przy całej klasie, kiedy tak strasznie się męczyłam z wyczarowaniem choćby jednej sukienki, i złość powróciła.

Przykucnęłam i zaczęłam przebierać palcami między cieniutkimi warstwami spódnicy, aż znalazłam dziurkę w obrębieniu. Wsunęłam do środka małą kość i poklepałam ją dodatkowo. Zaświeciła jasno we wnętrzu sukni, rozświetlając wszystkie warstwy różu mdłą czerwienią. Wstrzymałam oddech, ale poświata w końcu znikła, a ja mogłam pospieszyć do drzwi.



Korytarz był nadal pusty, więc przemknęłam bez przeszkód do naszej sypialni.

Jenna siedziała tam, gdzie ją zostawiłam, kiedy weszłam.

- Coś ty zrobiła?

Podeszłam do swojego łóżka i wyciągnęłam schowaną

w nim niewielką sakiewkę z ziemią.

- Powiedzmy, że rewanż należy do zasad fair play. Jenna chciał coś powiedzieć, ale zrezygnowała, widząc

jak wysypuję sobie nieco ziemi na dłoń. Zapewne myślała, że całkiem zwariowałam, kiedy podeszłam do manekina z umazanymi rękami, a następnie chwyciłam go za talię i zamknęłam oczy.

Tym razem nie musiałam nawet myśleć o niczym konkretnym.

- Suknia - powiedziałam.

Jak zwykle poczułam, że materiał wyślizguje mi się z rąk, ale tym razem było to nieco odmienne uczucie. Dłonie miałam gorące i odnosiłam wrażenie, jakby przepływał przeze mnie prąd elektryczny.

Usłyszałam jęk Jenny, a kiedy zrobiłam krok do tyłu i otworzyłam oczy, również zdusiłam krzyk.

Suknia nie była po prostu piękna - była olśniewająca. Uszyta z błyszczącej błękitnej satyny, w której jakby połyskiwały zielone iskierki. Góra przypominała gorset: bez ramion i z fiszbinami z przodu, a kiedy obróciłam manekin, dostrzegłam z tyłu sznurowanie z jasnozielonej wstążki.

Spódnica rozpościerała się dzwonowato od zebranej ciasno talii, ale najbardziej imponujące były pawie pióra biegnące przez cały przód. Zaczynały się tuż poniżej gorsetu i rozszerzały trójkątnie ku dołowi.

- Rany - westchnęła Jenna. - To się nazywa suknia. Sophie, będziesz wyglądała oszałamiająco.

Musiałam przyznać jej rację, ale na tę myśl poczułam zawroty głowy. Będę wyglądała oszałamiająco.

- Co sobie nałożyłaś na dłonie?

Nie byłam jeszcze gotowa, żeby opowiadać Jennie o Alice, a poza tym miałam przecucie, że nie spodobają się jej słowa „ziemia z grobu”, więc wzruszyłam tylko ramionami.

- Magiczny proszek,

Jenna przybrała niedowierzający wyraz twarzy, ale zanim zdążyła zadać mi kolejne pytanie, uśmiechnęłam się do niej promiennie.

- Wyczaruję suknię dla ciebie. Roześmiała się ze zdziwieniem.

- Naprawdę chcesz zrobić dla mnie suknię? Potaknęłam.

- Czemu nie? To będzie niezła zabawa, no i będziesz mogła pójść ze mną na bal.

- Nie sądzę, Sophie - zaprotestowała słabo, ale ja już wyciągałam jedną z jej koszul nocnych z szuflady. Położyłam na niej brudne wciąż od ziemi ręce i pomyślałam po prostu: J e n n a.

Wszelkie próby protestu zamarły na jej ustach, kiedy zobaczyła swoją sukienkę: wściekle różową z wąskimi ramiączkami i błyszczącym pasem w talii, na moje oko wykonanym z prawdziwych diamentów. Ta suknia była dla niej idealna i chwilę później Jenna obracała się, trzymając ją w ramionach.

- Nie wiem, czym jest twój „magiczny proszek” i nie obchodzi mnie to - powiedziała ze śmiechem. - Ale to jest najpiękniejsza sukienka, jaką w życiu widziałam!

Resztę popołudnia spędziłyśmy, buszując wśród naszych butów, aż każda z nas dobrała idealną parę. Do wieczora byłyśmy obie wystrojone i muszę przyznać, wyglądałyśmy bardzo dobrze. Jenna upięła swoje jasnoblond włosy na czubku głowy tak, że tylko różowy kosmyk opadał jej na oko. Moje włosy po raz pierwszy w życiu postanowiły być grzeczne, pozwoliłam więc Jennie uczesać je w węzeł nisko na szyi, z kilkoma lokami zwieszającymi się wokół twarzy.

Zeszliśmy na dół ramię w ramię, śmiejąc się. W wąskim korytarzyku wiodącym do sali balowej tłoczyli się ludzie. Wyciągałam szyję, wypatrując Archera i Elodie, w nadziei, że zobaczą, jak paskudny zrobił się kolor jej sukni, ale nie dostrzegałam ich.

W sypialni byłam pod wielkim wrażeniem sukienek Jenny i mojej, teraz jednak widziałam, że wcale nie miałyśmy najbardziej imponujących strojów w okolicy. Wpadła na mnie wysoka jasnowłosa elfka, a jej suknia, utkana z zimnozielonych iskier, zabrzczała cicho niczym dzwoneczki. Dostrzegłam również zmiennokształtną w sukni uszytej wyłącznie z śnieżnobiałego futra.

Chłopcy wyglądali nieco mniej ekstrawagancko. Większość z nich miała na sobie po prostu smokingi, aczkolwiek co odważniejsi założyli długie płaszcze i bryczesy.

Miałyśmy właśnie wejść do sali balowej, kiedy poczułam dotknięcie na plecach. Myślałam, że to jakaś przypadkowa osoba z tłumu, dopóki nie usłyszałam tuż nad uchem cichego szeptu:

- Oczywiście, że to ty.

## ROZDZIAŁ 25

Usiłowałam się obrócić, ale jest to trudne do wykonania, kiedy stoi się ściśniętym w grupie

ludzi i ma się na sobie obszerną suknię. Skończyło się na tym, że przez przypadek wbiłam łokieć w żebra Jenny, która pisnęła zaskoczona, zanim w końcu zdołałam się odwrócić twarzą do Archera. Oboje zrobiliśmy wielkie oczy, mówiąc „łaa”. Po czym ja natychmiast się zarumieniłam. O Boże, czyja właśnie popatrzyłam na Archera i powiedziałam „łaa”?

Ej... chwileczkę. Czy Archer właśnie popatrzył na mnie i powiedział „łaa”?

Staliśmy, gapiąc się na siebie. Archer zasługiwał na coś więcej niż „łaa”. Ten chłopak dobrze wyglądał nawet w szkolnym mundurku, więc to, co zrobił z nim elegancki strój, zasługiwało na karę. Skłamał w kwestii muchy. Nie miał wcale muchy, tylko zwykły krawat, który na dodatek był czarny, podobnie jak cała reszta jego ubrania.

| Ale nawet nie chodziło o to, jak wyglądał. Chodziło o to, jak na mnie patrzył.

- Ta suknia - powiedział w końcu, nie spuszczać ze mnie wzroku. - To jest... coś.

Zwalczyłam odruch niepewnego skubania rąbki ł po prostu się uśmiechnęłam.

- Dzięki. W końcu udało mi się wyczarować coś znośnego.

Potaknął, ale wciąż wyglądał na kompletnie zaskoczonego i musiałam się niezłe wysilić, żeby nie wybuchnąć głupkowskim śmiechem.

Nagle przypomniało mi się, co powiedział.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że to oczywiście ja? Pokręcił lekko głową, jakby chciał odzyskać jasność myśli.

- Och, tak. Elodie.

Poczułam, że serce zamiera mi w piersi, a krew odpływa z twarzy.

- Zobaczyłem cię z tyłu i powiedziałem, że to musisz być ty. A Elodie oznajmiła, że to niemożliwe.

- Och. - Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam zbliżającą się dziewczynę. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie, ale jej suknia była bez skazy.

„Kość będzie wiedziała, co zrobić”, akurat, pomyślałam, czując równocześnie coś na kształt ulgi. Moja złość ustąpiła, gdy tylko się okazało, że potrafię wyczarować wspaniałą suknię. Uznałam, że to w sumie lepsza zemsta, niż gdybym namieszała przy stroju Elodie.

- Jak ci się udało to wykombinować? - spytała Elodie. Zdołała udać słodki ton, ale w jej oczach czaił się zimny gniew.

Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami. - To dość niesamowite, ale wygląda na to, że miałam zaklętego manekina.

Zmrużyła nieznacznie powieki, zanim spuściła wzrok.

- Dziwne - wymruczała.

- Owszem. Na szczęście udało mi się zdjąć klątwę, a wtedy ta-dam! - Ujęłam w dłonie spódnice, uśmiechając się promiennie, czym zarobiłam ponure spojrzenie Elodie.

- Nie uważasz, że to jest troszkę zbyt...krzykliwe? - zapytała.

Zanim zdążyłam rzucić ciętą ripostę, Archer odwrócił się do niej.

-Daj spokój, El. Sophie wygląda świetnie i dobrze o tym wiesz.

To wystarczyło. Głupkowaty uśmiech nie dał mi się już utrzymać na smyczy. Archer uśmiechnął się i mrugnął do mnie, kiedy wraz z Elodie mijali nas, wchodząc do sali balowej.

Odwróciłam się do Jenny, która przewracała oczami ze śmiechem.

- Ej, n i c nie rozumiesz.

Nie przestawała chichotać, a ja wciąż uśmiechałam się jak wariatka, kiedy weszliśmy na salę. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale jej wygląd zwałił mnie z nóg. Nie było żadnych serpentyn ani balonów. Salę rozświetlało miękkie magiczne światło kul mniejszych i ciemniejszych niż ta, którą zawsze wyczarowywała dla nas Alice. Wszystkie spoczywały na wielkich fioletowych kwiatach, unosząc się wysoko w powietrzu i kołysząc, jakby na delikatnym wietrze. Żyrandole były zgaszone, ale z tej okazji ich kryształy zmieniły kolor na liliowy i w magicznym świetle pobłyskiwały jak ametysty. Lustra zostały odkryte. Myślałam, że to może wkurzyć Jennę, ale kiedy spojrzaliśmy i zobaczyliśmy tylko mnie, wskazała palcem.

- Patrz. W Lustrzanej Krainie wyglądasz cudownie, ale jesteś pozbawiona pary - powiedziała, powodując kolejny atak śmiechu.

Posadzki nie miały już koloru jasnego drewna, jak zazwyczaj, ale były lśniąco czarne. Pokręciłam głową z zachwytem.

- To jest... brak mi słów.

- Aha - potaknęła Jenna, ściskając mnie za rękę. - Tak się cieszę, że namówiłaś mnie na przyjście.

Przez chwilę trzymałyśmy się z boku, patrząc na tańczących. Pamiętałam bal maturalny, na który wybrałam się z Ryanem, gdzie wszyscy tańczyli jak na castingu do raperskiego klipu. Tu było całkowicie inaczej. Czarownice i zmiennokształtni sunęli w rytmie walca, co mnie nieco przeraziło. Nikt mi nie mówił, że w Hekate wymagana jest znajomość tańca towarzyskiego. Elfo wie zgromadzili się razem po jednej stronie sali, tańcząc jakiś dziwaczny układ rodem z elżbietańskiej Anglii.

Dostrzegłam tańczących Archera i Elodie i zatkało mnie, jak pięknie oboje wyglądali: Archer wysoki i mroczny, Elodie zaś z włosami lśniącymi w magicznym świetle i falującą wokół ciała sukienką. Potem jednak spojrzałam na ich twarze i uznałam, że ewidentnie się kłóć. Archer z ponurą miną wpatrywał się w jakiś punkt nad jej głową, a Elodie gadała jak najęta.

Nagle wyrwała dłoń z ręki chłopaka i chwyciła się za bok.

Poczułam ogarniającą mnie falę strachu, kiedy patrzyłam, jak Archer sprowadza ją ze środka

sali. Usiłowała się uśmiechać, ale usta układały jej się raczej w bolesny grymas. Widziałam, jak macha na niego ręką i szepcze coś w rodzaju „nic mi nie jest”. Chwilę później krzyknęła i znów chwyciła się za bok. Anna przepchnęła się przez tłum, ciągnąc za sobą panią Casnoff. Elodie niemal zwijała się z bólu.

- Ciekawe, co się dzieje - odezwała się Jenna.

- Może ma kolkę.

- Aha. Może.

Podniosłam wzrok. Jenna spoglądała na mnie z niepokojem. -Co?

- Coś ty wrobiła z jej suknią po południu? - Nic! - upierałam się, ale marna ze mnie kłamczucha, wiedziałam więc, że wyraz mojej twarzy jest dość nieszczerzy.

Jenna potrząsnęła tylko głową i odwróciła się ku Elodie, którą pani Casnoff i Anna wyprowadzały właśnie z sali. Archer ruszył za nimi, ale Elodie spojrzała na niego i coś powiedziała. Nie słyszałyśmy oczywiście co, ale po jej minie było widać, że jest wkurzona. Cokolwiek powiedziała, Archer cofnął się o kilka kroków i uniósł ręce. Elodie obróciła się z powrotem do pani Casnoff i razem z nią wyszła z sali, a Anna i Archer powlekli się za nimi.

Chłopak wrócił po jakichś dwudziestu minutach, podenerwowany i zły.

Czułam na plecach wzrok Jenny, kiedy przechodziłam ku niemu przez salę.

- Co się stało? - zapytałam.

Utkwił wzrok w drzwiach, przez które wyprowadzono Elodie.

- Nie mam pojęcia. Czuła się świetnie, po czym nagle zaczęła się skarżyć, że suknia ją ciśnie, jakby się kurczyła albo coś w tym rodzaju. Zaciskała się ciągle, aż Elodie zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Pani Casnoff uważa, że suknia mogła być zaklęta.

Cieszyłam się, że na mnie nie patrzył, bo nie zauważył, jak się wzdrygnęłam.

„Kość będzie wiedziała, co zrobić”.

Czy Alice to właśnie zaplanowała, czy też ja coś sknociłam? Może powinnam była użyć kości natychmiast, bo potem jej magia, nie wiem, skwaśniała czy coś przez tydzień, kiedy się wahałam.

Albo taki miała plan, podpowiadał mi jakiś głos. Zamierzała skrzywdzić Elodie.

Czemu jednak Alice chciałaby zrobić coś takiego? Wiedziała, że nie lubię Elodie, ale to chyba zbyt wielka kara. Nie, to z pewnością ja coś namieszałam, jak z tym zaklęciem miłosnym rzuconym na Kevina.

- Hej - odezwał się Archer.

- Ta - odpowiedziałam słabym głosem, po czym uśmiechnęłam się i usiłowałam zabrzmieć bardziej entuzjastycznie. - Wszystko w porządku. Tylko wiesz... dziwna sprawa z Elodie.

- Owszem - potaknął, spoglądając znów ku drzwiom.

- Czy ona się o coś na ciebie wściekła? - odważyłam się zapytać.

Przejechał włosy palcami, wzdychając.

- Chyba tak - odparł. - Powiedziała mi, że powinienem się cieszyć, bo teraz mogę bawić się na balu z osobą, z którą naprawdę chcę. - Spojrzał na mnie. - Chyba miała na myśli ciebie.

Wokół nas było mnóstwo ludzi, ale ja poczułam się nagle straszliwie samotna. W tej samej chwili, mogłabym przysiąc, coś jakby poruszyło się między nami. Zabysła jakaś iskierka, której wcześniej nie było, w każdym razie nie z jego strony.

Odwrócił znowu wzrok, zerknął ku drzwiom, po czym uśmiechnął się do mnie.

- Wiesz, wstyd byłoby nie pochwalić się tą suknią. Zatańczysz?

- Jasne - odpowiedziałam, przyjmując najbardziej obojętny ton, na jaki byłam w stanie się zdobyć, ale serce waliło mi tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Aż bałam się, że to widać. A miałam całkiem spory dekolt.

Archer pociągnął mnie na środek sali, kładąc jedną ciepłą dłoń na moim biodrze, podczas gdy w drugą ujął moją rękę, unosząc ją na wysokość ramienia. Bałam się śmiertelnie, że potknę się o suknię albo nadepnę mu na nogę, ale dzięki chłopakowi pomknęliśmy gładko przez salę.

- Umiesz tańczyć? - spytałam. Zerknął na mnie z uśmiechem.

- Kilka lat temu Casnoff postanowiła uczyć tańca towarzyskiego. Zajęcia były obowiązkowe.

-Mnie też by się przydały.

- E tam, świetnie sobie radzisz. Trzymaj się tylko mnie!

Nigdy nie dostałam lepszych instrukcji. Nie widziałam orkiestry ani głośników, senna muzyka zdawała się sączyć zewsząd i znikąd. Moje palce spoczywały lekko na ramieniu Archerà, kiedy kręciliśmy się wokół sali. Przemknęliśmy obok miejsca, gdzie zostawiłam Jennę. Rozejrzałam się za nią, ale jej nie dostrzegłam. Zastanawiałam się, czy wróciła do pokoju, i poczułam lekkie ukłucie winy. Ale właśnie wtedy Archer zacisnął mocniej palce na mojej talii i całkowicie zapomniałam o lennie.

Podniosłam wzrok, żeby się przekonać, że Archer przyglądał mi się uważnie z miną, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam. No dobrze, nikt nigdy tak na mnie nie patrzył.

- Miała rację - mruknął.

- W jakiej kwestii? - zapytałam głosem, który zabrzmiał obco. Nisko i chrapliwie.

- Chciałem bawić się na balu z tobą.

Poczułam się, jakby w moim wnętrzu właśnie wybuchły miliony fajerwerków. Usta rozciągnęły mi się w uśmiechu, aż zabolą mnie twarz, i po raz pierwszy nie przejmowałam się, że on to zobaczy.

Wiedziałałam, że już się nie durzę w Archerze. Teraz byłam w nim zakochana.

Pochylił się ku mnie i serce mi zamarło.

- Sophie...

Zanim jednak zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, powietrze rozdarł wrzask.

Muzyka natychmiast ucichła. Prawie wszyscy obróci\* li się w kierunku Elodie, która wpadła z powrotem do sali, płacząc się w zielonym jedwabnym szlafroku łopoczącym wokół jej białych nóg. Na twarzy miała wyraz ostatecznego przerażenia.

- Anna! - krzyczała. - To się znów stało! Ona... Boże, ona chyba nie żyje.

## ROZDZIAŁ 26

Na szczęście okazało się, że Anna żyła. Znalaziono ją leżącą w korytarzu tuż przed drzwiami jej pokoju. Elodie powiedziała, że dziewczyna wyszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Kiedy długo nie wracała, Elodie zaczęła się niepokoić i wyszła jej szukać.

Wtedy właśnie ją znalazła, leżącą twarzą do podłogi w kałuży herbaty i własnej krwi, wsiąkających w gruby kremowy dywan. Tak samo jak Holly i Chaston miała w szyi dwie niewielkie ranki, ale jej nadgarstki były całe.

Cał przybył natychmiast, a kiedy pani Casnoff wbiegła na schody, Anna siedziała już z głową wspartą na ramieniu ogrodnika.

I podobnie jak Chaston nie była w stanie powiedzieć, kto ją zaatakował.

Jenna była w naszym pokoju i sprawiała wrażenie, jakby nie miała w ogóle pojęcia, co się stało.

Ale przez dłuższy czas przebywała na piętrze.

Około północy pani Casnoff przysłała po nią. Długo w nocy leżałam na łóżku, nie śpiąc i nie zdejmując sukni. Na szczęście nie miałam dziś spotkania z Alice, nie musiałam więc przejmować się tym, że nagle znajdę się w zasięgu jej zaklęcia usypiającego.

Około trzeciej w końcu zasnęłam, ale przez całą noc rzucałam się i kręciłam na łóżku, prześladowana przez koszmary. Widziałam Jennę z ustami czerwonymi od krwi i Annę klęczącą u jej stóp. Widziałam Archera tańczącego z Elodie, tylko że Elodie była blada, miała zsiniałe usta, a oczy utkwiała w swojej sukni, która zaciskała się wokół niej jak boa dusiciel. A najdziwaczniejsze było to, że widziałam również Alice na cmentarzu. Trzymała się zaciśniętą dłonią żelaznego ogrodzenia, a nad nią pochylali się trzej ubrani na czarno mężczyźni z uniesionymi w górę srebrnymi sztyletami.

Obudziłam się, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły podłogę.

Byłam całkiem zdezorientowana. W ustach czułam lepka suchość, jakbym przez całą noc

jadła gazę opatrunkową Słyszałam również niski, głęboki, dudniący dźwięk. Szybko uświadomiłam sobie, że to dzwon umieszczony na dachu budynku, który zawsze obwieszczał początek i koniec lekcji Dlaczego dzwonił tak wcześnie?

Nagle brutalnie powróciło wspomnienie ostatniego wieczoru. Zerknęłam na łóżko Jenny, które nadal było puste.

Zmusiłam się do wstania i wychyliłam głowę za drzwi. Niektóre dziewczyny zdążyły się już ubrać i spieszyły w stronę schodów. Zobaczyłam Nauzykaę, więc zawołałam za nią:

- Hej! Co się dzieje?

- Apel - odpowiedziała. - Lepiej się przebierz. Zamknęłam drzwi i wyskoczyłam z sukni, która zamieniła się z powrotem w poszewkę, gdy tylko upadła na pod łogę. Następnie ustanowiłam chyba rekord świata w szyb kim ubieraniu Włosy zostawiłam upięte tak jak na balu choć teraz oczywiście kok był potargany i większość włosów spadała mi na twarz. Założyłam jednak, że nikt się tym nie będzie przejmował.

Zebraliśmy się wszyscy w sali balowej, która zamieniła się z powrotem w dobrze znaną mi jadalnię z niedopasowanymi stolikami. Usiadłam z tyłu i zauważyłam, że pod sufitem kołysze się wciąż jedno magiczne światełko, odbijając się od ściany w samym rogu, jakby usiłowało znaleźć drogę ucieczki.

Nauczyciele zgromadzili się na podwyższeniu z przodu sali. Przyszli wszyscy z wyjątkiem Byrona. Pani Casnoff była zmęczona i wyglądała starzej niż kiedykolwiek. Zauważyłam ze zdumieniem, że włosów nie miała upiętych w swój zwyczajowy skomplikowany kok, ale zebrała je w luźny węzeł na karku.

Archer i Elodie siedzieli bliżej przodu, na lewo ode mnie. Elodie była blada, a po twarzy wciąż płynęły jej łzy. Archer obejmował ją ramieniem, szepcząc jej coś we włosy na skroni Nagle, jakby wiedział, że się przyglądam, odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Opuściłam wzrok i zacisnęłam dłonie w pięści, mnąc spódnice.

Z powodu Anny i Jenny niemal zapomniałam o sobie i Archerze, ale teraz wspomnienie wczorajszych chwil pojawiło się z całą mocą, kłując mnie w serce.

Na szczęście pani Casnoff wstała i uniosła ręce, nakazując ciszę. Mogłam więc zwrócić wzrok w nią.

- Moi drodzy - zaczęła. - Jak z pewnością wiecie, wczoraj w nocy miał miejsce kolejny atak. Panna Gilroy ma się dobrze, ale ponieważ był to trzeci wypadek w ciągu niespełna roku, musieliśmy podjąć zdecydowane kroki. Jak z pewnością zauważyliście, nie ma z nami Lorda Byrona. Podobnie jak panny Talbot. Dopóki Rada nie rozwikła zagadki tych ataków, w Hekate nie ma miejsca dla wampirów.

Serce we mnie zamarło, kiedy zewsząd rozległy się oklaski. Pomyślałam o Jennie, która była



wczoraj taka szczęśliwa z powodu swojej różowej sukienki, i poczułam, że oczy mnie pieką. Dlaczego ją zabrali?

Pani Casnoff mówiła coś dalej, głównie o tym, że powinniśmy być ostrożni i uważać na siebie, i że nie wolno zmniejszać czujności, dopóki nie dowiemy się z pewnością, co się stało, ale ja ledwie ją słyszałam. To prawda, że Jenna była w pokoju, kiedy Anna została zaatakowana, ale widywałam wampirzycę, kiedy wracała z kolacji w izbie chorych. Zawsze była wtedy oszołomiona, niemal jak naćpana. A wczoraj w nocy, kiedy Casnoff po nią przysłała, wyglądała po prostu na przestraszona.

Nie zorientowałam się, że apel się skończył, dopóki jeden ze zmiennokształtnych chłopaków, wstając, nie nastąpił mi na stopę.

Podniosłam się jak we śnie i w tej chwili usłyszałam ponownie panią Casnoff.

- Sophio i Elodie, proszę zostać.

Odwrociłam się. Elodie wyglądała na równie zaskoczona jak ja.

- Wy dwie udacie się do mojego gabinetu.

Archer ścisnął lekko rękę Elodie i wyszedł. Nasze oczy spotkały się na moment. Uśmiechnął się do mnie, a ja usiłowałam odwzajemnić uśmiech. Cokolwiek się wydarzyło między nami poprzedniego wieczora, było tylko szaloną chwilą i lepiej będzie udawać, że nic się nie stało. On ewidentnie chodził nadal z Elodie, a ja nie mogłam mieć do niego pretensji. Ona nie tylko była oszałamiająco piękna, ale na dodatek straciła teraz wszystkie przyjaciółki. Musiałby być kompletnym draniem, żeby zrywać z dziewczyną w dzień po tym, jak jej najlepsza kumpela omal nie wykrwawiła się na śmierć.

Nie, żeby takie sytuacje często się zdarzały, jak sądzę.

Poszliśmy razem z Elodie do gabinetu pani Casnoff, wpadając raz po raz na siebie w ciasnych korytarzach.

- Tak mi przykro - zaczęłam, ale Elodie zamknęła mi usta lodowatym spojrzeniem.

- Z jakiegoż to powodu? Dlatego że ty i twoja koleżanka omal nie zabiłyście jednej z moich przyjaciółek, czy też dlatego, że próbowałaś mnie wykończyć za pomocą mojej sukni? I

Byłam zbyt zmęczona, żeby choć próbować dać szansę swoim wątpliwym talentom do kłamania.

- To zaklęcie nie miało ci zrobić krzywdy. Miało tylko zmienić kolor sukni, kiedy ją włożysz. Elodie milczała, a kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że mierzy mnie badawczym wzrokiem.

- To była całkiem potężna magia - powiedziała. - I jakkolwiek nie podoba mi się, że omal nie zostałam uduszona przez sukienkę, chętnie bym się nauczyła takiego fajnego zaklęcia.

- Mogę cię nauczyć, jeśli ty mi pokażesz, jak się rzuca taką klątwę jak ta, którą nałożyłaś na

mojego manekina -zapropnowałam.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pani Casnoff otworzyła przed nami drzwi swojego zagraconego gabinetu.

- Chodźcie, dziewczęta.

Kiedy już obie usiadłyśmy na maleńkich krzeselkach, pani Casnoff stanęła za biurkiem.

- Jestem pewna, że obie wiecie, dlaczego chciałam z wami rozmawiać.

Usiadła, wzdychając. Gdyby była mowa o kimkolwiek innym, zapewne powiedziałabym, że opadła na swój fotel, ale pani Casnoff jest zbyt dystyngowana, żeby opadać. Raczej osunęła się z wdziękiem.

- Z pewnością zauważyliście, że wszystkie trzy ataki dotyczyły wyłącznie waszego sabatu, dziewczęta.

- Ależ ja nie jestem członkinią ich sabatu - wypaliłam ze zdumieniem.

Pani Casnoff zrobiła zdziwioną minę. Zerknęła na Elo-die, która, jak zauważyłam dopiero w tej chwili, unikała wzroku nas obu.

- Dołączyłaś Sopię do sabatu bez jej wiedzy? - spytała pani Casnoff.

- Co? - krzyknęłam. - To jest w ogóle możliwe? Elodie wypuściła gwałtownie powietrze z płuc, aż loki jej zafalowały.

- Widzisz, nie miałyśmy wyboru - powiedziała, nie podnosząc wciąż wzroku z własnych kolan.

Widok Elodie w takim stanie był dziwaczny. Normalnie zdążyłaby przewrócić kilka razy oczami i powiedzieć coś, co ociekałoby pogardą.

Teraz jednak sprawiała wrażenie całkowicie zrezygnowanej.

- Potrzebowałyśmy jej - zwróciła się do pani Casnoff błagalnie. - Nie chciała się zgodzić na dołączenie, więc przeprowadziłyśmy rytuał przyjęcia bez niej.

Pani Casnoff patrzyła na nią gniewnie.

- A czego użyłyście zamiast jej krwi?

- Zakradłam się do jej pokoju i wzięłam trochę włosów ze szczotki - wymamrotała Elodie. - Ale nie sądziłyśmy, że to zadziała. Kiedy wrzuciłyśmy włosy do ognia, podniósł się tylko wielki kłęb czarnego dymu. Nie powinno się tak stać.

- Na litość boską! - wybuchnęłam. - Nie możecie czegoś takiego robić! I pomyśleć, że ja miałam wyrzuty sumienia z powodu tej głupiej kości w twojej sukni.

Gniewne spojrzenie pani Casnoff przeniosło się na mnie.

- Coś ty zrobiła? - spytała głosem tak lodowatym, że aż dziw, iż nie przemieniłam się natychmiast w sopel lodu jak jakiś mamut włochaty.

Elodie najwyraźniej dostrzegła swoją szansę.

- To prawda! To ona omal mnie wczoraj nie zabiła, bo włożyła do mojej sukienki zaklętą kość!

- Tylko dlatego że ty wcześniej z czarowałaś mojego manekina - odparowałam.

- Bo ty usiłowałaś odbić mi chłopaka!

To okazało się ostatnią kroplą dla pani Casnoff.

- Dziewczęta! - krzyknęła, wstając i uderzając obiema dłońmi w blat biurka. - Koniec kłótni o suknie i chłopców. Dwie z waszych siostr są ciężko ranne, a trzecia n i e żyje.

- Ale...|przecież pani się z tym rozprawiła - powiedziała cicho Elodie. - Wyrzuciła pani wampiry.

Dyrektorka zasiadła z powrotem w fotelu i przetarła oczy dłonią.

- Nie mamy pewności, że to sprawka Jenny lub Byrona. Oboje utrzymują, że są niewinni, a wczoraj wieczorem żadne z nich nie było w stanie wskazującym na niedawne spo-^: życie krwi.

Przypomniałam sobie ilustrację z książki o L'Occhio di Dio - tę z czarownicą, której spuszczone krew - oraz słowa Alice, że Oko widzi mnie nawet tutaj.

- Proszę pani - odezwałam się niepewnie - czy pani myśli... Czy uważa pani za możliwe, że L'Occhio di Dio przedostało się do szkoły?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Elodie, ale pani Casnoff uciszyła ją ruchem ręki.

- Widziałam taki obrazek z czarownicą, którą zabili, i ona miała w szyi dwie dziurki, i była pozbawiona krwi,

zupełnie jak Molly, Chaston i Anna. No i pomyślałam, że to przecież możliwe...

Pani Casnoff mi przerwała.

- Ja też znam tę ilustrację, Sophio, ale nie ma możliwości, żeby L'Occhio di Dio przedostało się do Hekate. Mamy tu zbyt wiele zaklęć ochronnych. A nawet gdyby udało im się je jakoś ominąć, to co by zrobili? Kryli się na tej wysepce przez kilka miesięcy, czekając na okazję, żeby dostać się do szkoły? - Pokręciła głową. - To nie ma sensu.

- Chyba że przez cały czas byli w szkole - powiedziałam.

Pani Casnoff uniosła brwi.

- Kto? Ktoś z nauczycieli? Z uczniów? Niemożliwe. -Ale...

Głos pani Casnoff był łagodny, a w jej oczach malował się smutek, kiedy mi przerwała.

- Sophio, wiem, że bardzo chcesz wierzyć w niewinność Jenny. Wszyscy chcielibyśmy, żeby to była prawda. Ale obawiam się, że na razie jest to najbardziej wiarygodne wyjaśnienie. Jenna pojedzie do kwatery głównej Rady, gdzie będzie mogła się bronić. Ale ty musisz pogodzić się z myślą, że może być winna.

Poczułam ucisk w żołądku na myśl o Jennie, samotnej i przerażonej, podróżującej do Londynu, gdzie pewnie ją zakołkują. Może nawet na rozkaz mojego ojca.

Pani Casnoff wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać mnie po dłoni.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, po czym spojrzała na Elodie. - Bardzo mi przykro z powodu was obu. Ale może dzięki temu zdołacie się pogodzić. W końcu tylko wy dwie zostałyście z sabatu. - Przeniosła wzrok z powrotem na mnie, uśmiechając się kwaśno. - Czy ci się to podoba, czy nie. No, dziś macie wolne od lekcji. A dopóki nie nadejdą wieści od Rady w sprawie śledztwa, chcę, żebyście wzajemnie na siebie uważały. Zrozumiano?

Obie wymamrotałyśmy, że tak, i wyszłyśmy z gabinetu.

Resztę dnia spędziłam w pokoju. Bez Jenny sprawiał wrażenie wielkiego i pustego, a ja nie mogłam powstrzymać się od płaczu, patrząc na jej pluszowego lwa, któremu dla żartu nadała imię Bram, oraz na jej książki. Nie pozwolili jej zabrać nic ze sobą.

Nie poszłam na kolację. Nieco po zmroku usłyszałam ciche pukanie do drzwi i głos Archera dobiegający zza nich.

- Sophie? Jesteś tam?

Nie odpowiedziałam i po chwili z korytarza dobiegł mnie odgłos oddalających się kroków.

Leżałam, nie mogąc zasnąć, aż minęła północ i do okien podpełzła zielonkawa poświata zaklęcia Alice.

Zrzuciłam kołdrę i wyskoczyłam z łóżka, nie mogąc się doczekać, kiedy wydostanę się z budynku, wzniosę w niebo i opowiem Alice o wszystkim, co się wydarzyło.

Nie przejmowałam się nawet tym, że robiłam hałas na schodach, zbiegając ku wyjściu.

Naciskałam już na klamkę, kiedy usłyszałam za sobą syk. - Mam cię!

Serce skoczyło mi do gardła. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą u podnóża schodów Elodie ze skrzyżowanymi na piersi rękami i złośliwym uśmiechem na twarzy.

## ROZDZIAŁ 27

- Wiedziałam - oznajmiła głośniejszym głosem. - Wiedziałam, że coś knujesz. Kiedy pani Casnoff się dowie, że rzuciłaś zaklęcie na całą szkołę, pojedziesz za swoją przyjaciółką pijawką do Londynu.

Stałam wciąż przy drzwiach jak wryta, z ręką na klamce. Dlaczego przyłapać mnie musiała akurat osoba, która najbardziej mnie nienawidziła? Nie ruszałam się z miejsca, usiłując wymyślić cokolwiek, co powstrzymałoby ją od pobiegnięcia natychmiast do pani Casnoff.

Nagle przypomniałam sobie wyraz jej twarzy, kiedy pytała mnie o zaklęcie z kością, i coś przyszło mi do głowy. Miałam tylko nadzieję, że Alice się zgodzi.

- Okej, przyłapałaś mnie. - Usiłowałam przywołać głupkowaty uśmieszek na usta, ale obawiam się, że wyglądałam jak niespełna rozumu, ponieważ Elodie cofnęła się o krok, kiedy do niej podeszłam. - Wiesz, bardzo źle szły mi czary, wielkie dzięki tak na marginesie, twoja pomoc była tu nieoceniona, więc wzięłam prywatne lekcje u jednego z tutejszych duchów.

Elodie przewróciła oczami.

- Sophie, proszę - powiedziała. - Nauczyciel magii? Na dodatek duch? Ty chyba uważasz, że mam martwicę mózgu. - Zmrużyła oczy. - Z kim się naprawdę spotykasz? Z facetem? Bo jeśli to jest Archer...

- Między Archerem i mną nic nie ma - oznajmiłam, co zasadniczo nawet nie było kłamstwem. To znaczy ja byłam absolutnie przekonana, że kocham się w tym chłopaku, i co więcej podejrzewałam, że może pocałowałby mnie na balu, gdyby nie wtrąciła się Elodie. Jednak do tego, żebyśmy umawiali się na pokątne schadzki w lesie, nie doszło. Nie, żebym miała coś przeciwko.

Uśmiechnęłam się do Elodie i wyciągnęłam do niej rękę.

- Chcesz nauczyć się naprawdę świetnej magii? Chodź ze mną.

Nie omyliłam się: perspektywa nauczania się nowych sztuczek magicznych była dla Elodie nieodpartą pokusą.

- Dobrze - powiedziała. - Ale jeśli to jakaś pułapka i zginę, to zadręcę cię jako duch.

Alice musiała wiedzieć, że Elodie przybędzie ze mną, ponieważ przed szkołą czekały dwie miotły.

Elodie zrobiła wielkie oczy jak dziecko na widok prezentów pod choinką.

- Latasz na miotle? Uśmiechnęłam się i wskoczyłam.

- Chodź - powiedziałam do niej, powtarzając słowa, jakie skierowała do mnie Alice. - Bądź choć raz tradycyjna.

Chwilę później mknęłyśmy przez noc, a zimne przejrzyste powietrze paliło nas w płucach. Nad nami na atramentowo czarnym niebie migotały gwiazdy. Słyszałam obok siebie śmiech Elodie, a gdy spojrzałam na nią, po raz pierwszy autentycznie uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Kiedy wylądowałyśmy na cmentarzu, przedstawiłam sobie wzajemnie Alice i Elodie. W przypadku tej pierwszej pominęłam informację o tym, że jest moją prababcią, o Elodie natomiast powiedziałam, że „należy do mojego sabatu”.

Słyszając te słowa, Alice rzuciła mi spojrzenie spode łba, ale nie skomentowała tego.

- Dobrze - odezwała się Elodie. - To jaką magię uprawiacie tu, w tym Mieście Umarłych?

- Najróżniejszą - odparła Alice.

W świetle księżyca jej skóra połyskiwała jak porcelana, a policzki barwiły się na różowo. Nawet oczy jakby płonęły jaśniej. Zastanawiałam się, czy to zasługa jakiegoś zaklęcia upiększającego. Jeśli tak, to miałam nadzieję, że się go nauczę przy najbliższej okazji

- Sophie zapoznała się z tworzeniem przedmiotów - ciągnęła Alice - a obecnie pracuje nad zaklęciami przenoszącymi.

Elodie zwróciła się do mnie ze zdumioną miną.

- Umiesz tworzyć rzeczy z niczego?

- Owszem - odparłam, jakby to nie było nic wielkiego, aczkolwiek wciąż nie potrafiłam wyczarować niczego większego niż lampa, a i to przyprawiało mnie o siódme poty.

Skoncentrowałam się na obrazie czegoś małego, co nie pozbawiłoby mnie tchu, machnęłam ręką i w powietrzu tuż przed nosem Elodie pojawiła się szmaragdowa broszka. Szczeka dziewczyny opadła, a ja uśmiechnęłam się do Alice.

Elodie wyciągnęła rękę po broszkę i obracała ją w palcach.

- Naucz mnie tego.

Okazała się pojętną uczennicą. Uczyła się szybciej niż ja, więc po godzinie zdołała wyczarować pióro oraz niewielkiego żółtego motylka. Muszę przyznać, że poczułam ukłu de zazdrości: mnie udawało się przywoływać tylko nieożywione przedmioty. Z drugiej jednak strony Elodie nie zrobiła chyba wrażenia na Alice, która nie chwaliła jej tak często jak mnie.

Kiedy one zajmowały się zaklęciami, ja usiłowałam opanować sztukę przenoszenia samej siebie z miejsca w miejsce. Czar ten wciąż sprawiał mi poważne kłopoty. Alice mówiła, że najlepsze czarownice potrafią przemieszczać się dzięki temu przez ocean, ale ja na razie miałam problem z przesunięciem się o pół metra w lewo.

W końcu obie z Elodie byłyśmy tak wyczerpane i nieco wstawione magią, że usiadłyśmy na trawie, opierając się plecami o ogrodzenie cmentarza, podczas gdy Alice wpatrywała się w mrok, wsparta o drzewo.

- Mam nadzieję, że moja obecność nie jest dla ciebie problemem - odezwała się do niej Elodie.

- Czemu zjawiałaś się dziś z Sophią? - spytała Alice.

W jej głosie brzmiał nie gniew, ale ciekawość, więc postanowiłam odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- Elodie przyłapała mnie na wymykaniu się ze szkoły, więc zaprosiłam ją na przejażdżkę. Uznałam, że ona też może nauczyć się nowych zaklęć.

- Pani Casnoff kazała mi mieć cię na oku - zwróciła się do mnie Elodie, ale z uśmiechem. Nie byłam pewna, czy to z powodu ćwiczenia nowych magicznych sztuczek, czy też naprawdę

cieszyła się, że ze mną tu przyleciała.

- Dlaczego? - spytała Alice i obie z Elodie spoważniałyśmy.

Opowiedziałam jej pokrótce, co się stało z Anną i jak Jenna oraz Byron zostali wygnani.

- Są pewni, że to robota wampira?

- Nie, ale nie mają pojęcia, kto inny mógłby to zrobić -odparła Elodie.

- oko ~ oznajmiła Alice, a ja poczułam, że Elodie sztywnieje.

- Spytałam o to - powiedziałam - ale pani Casnoff twierdzi, że nie mają szans się tu dostać.

Za dużo zaklęć

ochronnych.

Alice roześmiała się gardłowo, a mnie przeszył dreszcz na dźwięk tego śmiechu\*

- Tak, mnie też to mówiono. Nawet moje zaklęcie usypiające rozwała ich żalną obronę.

Naprawdę uważacie, że Oko nie może zrobić czegoś podobnego?

- Oni nie posługują się magią - zauważyłam, ale bez przekonania.

Elodie przysunęła się nieco bliżej do mnie.

- Doprawdy? - zapytała kpiąco Alice.

Podeszła do nas i przykucnęła tuż przede mną. Jej długie białe palce uniosły się ku guzikom zielonego swetra, a kiedy go zdjęła, zaczęła rozpinać sukienkę.

Siedziałam skamieniała z przerażenia, kiedy ściągała lewy rękaw, a następnie opuściła dekolt.

W miejscu, gdzie powinno być serce, ziała wielka otwarta rana.

- To robota Oka, Sophio. Wytropili mnie i ścigali, aż dopadli, a następnie wyrwali mi serce.

Tu. W Hekate.

Mogłam tylko gapić się na tę dziurę i potrząsać głową. Czułam, że Elodie dygocze koło mnie.

- Tak, Sophio - powiedziała cicho Alice. Podniosłam na nią wzrok. Przypatrywała mi się z litością, jakby było jej przykro, że musiała mi to opowiedzieć.

- Nasłał ich na mnie sam przewodniczący Rady, który oszukał mnie, że tu będę bezpieczna, a tymczasem wystawił mnie jak barana na rzeź.

- Ale dlaczego? - spytałam z wysiłkiem szeptem.

- Ponieważ obawiali się mojej mocy. Ponieważ była większa niż ich.

W głowie mi się kręciło i czułam ogólną słabość. Jakoś wszystkie te okropności, które oglądaliśmy pierwszego wieczoru w Hekate, zbladły w porównaniu z tą jedną raną, tą jedną historią.

- Twój ojciec wierzył, że będziesz tu bezpieczna, ponieważ nie znał prawdy o mojej śmierci. Ale ty, Sophio, musisz mi zaufać. Grozi ci tu bardzo poważne niebezpieczeństwo. -Spojrzała na Elodie. - Obu wam zresztą. Ktoś namierza potężne czarownice, a teraz zostałyście tylko wy dwiem

Elodie potrząsnęła rozpaczliwie głową.

- Nie, nie, niemożliwe. To Jenna. To wampir. To... tak musi być.

Twarz Alice przybrała nieodgadniony wyraz, jakby założyła maskę, ale jej oczy zdawały się przewiercać nas na wylot.

- Może masz rację. Ze względu na was obie wołałabym, żeby tak było.

Ujęła najpierw moją dłoń, a potem Elodie.

- Ale na wypadek, gdyby jednak nie było...

Nagle poczułam żar na skórze. Paliło, aż się skrzywiłam, usiłując się wyrwać. Kątem oka widziałam, że Elodie reaguje podobnie, ale Alice nie puszczała naszych rąk, dopóki nie zaczęłyśmy jęczeć. W końcu żar przygasł, a ona rozluźniła uchwyt. Przyjrzałam się swoim palcom spoczywającym na moich kolanach, spodziewając się, że będą przynajmniej zaczerwienione, jeśli nie pokryte pęcherzami, ale wyglądały całkiem normalnie.

- Co to było? - spytała Elodie drżącym głosem.

i Zakłęcie ochronne. Pomoże wam rozpoznać nieprzyjaciół, gdyby zaszła taka potrzeba.

Leciałyśmy wszystkie trzy z powrotem do szkoły w milczeniu. Tym razem nie było miejsca na beztronski śmiech i poczucie nieskrępowanej wolności.

Kiedy wylądowałyśmy, Alice sięgnęła do szyi i zdjęła swój naszyjnik. Był taki sam jak ten, który mi wcześniej podarowała. Elodie nie nałożyła go od razu. Przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem, aż w końcu zacisnęła na nim palce.

- Dzięki za lekcję - powiedziała do Alice, po czym spojrzała na mnie zatroskanym wciąż wzrokiem. - Do zobaczenia jutro, Sophie.

- Naprawdę uważasz, że Oko jest w Hekate? - spytałam Alice, kiedy Elodie zniknęła w budynku.

Alice przyjrzała się szkole. Wielki, pogrążony w mroku dwór wyglądał jak wielooki potwór drzemiący w cieniu.

- Coś tu z pewnością jest - powiedziała w końcu. - Ale nie wiem co. Jeszcze nie wiem.

Spojrzałam za siebie na budynek i wiedziałam, że miała rację. Na szkole położył się cień, który zdawał się podpełzać coraz bliżej ku mnie. Nad naszymi głowami chmury się przesuwwały, zakrywając sierp księżyca, a noc stawała się coraz ciemniejsza. Przerazała mnie myśl o przejściu samotnie przez ciemne korytarze do pustego pokoju.

- Czy ty... - zwróciłam się do Alice, ale ona już zniknęła, pozostawiając mnie samą i drżącą w mroku nocy.



Wydawało mi się, że po tym przedstawieniu „spójrzcie, oto moja otwarta rana w piersi” Elodie nie będzie chciała wybrać się więcej ze mną na spotkanie z Alice, a jednak następnego nocy pojawiła się na schodach.

- Od kiedy znasz Alice? - zapytała, kiedy schodziłyśmy na dół.

- Jakos od połowy października - odpowiedziałam. Kiwnęła głową, jakby to była odpowiedź, której się spodziewała.

- A zatem po Chaston.

- Owszem - potaknęłam. - A co to ma do rzeczy? Nie odpowiedziała.

Chodziła ze mną na spotkania przez następne dwa tygodnie. Alice najwyraźniej nie przeszkadzała jej obecność, a ja byłam totalnie zaskoczona tym, że również nie uważam jej towarzystwa za nieznośne. Prawdę mówiąc, zaczęłam podejrzewać, że mogłabym nawet ją polubić.

To nie tak, że stała się inną osobą, ale z pewnością zrobiła się z niej sympatyczniejsza i łagodniejsza dziewczyna. Może po prostu wykorzystywała mnie, żeby uczyć się u Alice. Bo oczywiście po raptem kilku nocnych ćwiczeniach potrafiła wyczarować z powietrza niewielką sfbę i zabierała się do zaklęcia przenoszącego, które na razie żadnej z nas nie wychodziło.

Myszę jednak, że chodziło o coś więcej niż magię: ona chyba czuła się samotna. Anna i Chaston wyjechały, a mnie nigdy nie przyszło na myśl, że były to w zasadzie jedyne osoby, z którymi rozmawiała, jeśli nie liczyć Archera. A ci dwoje jakby spędzali razem coraz mniej czasu. Elodie mówiła, że jest zbyt zajęta „innymi sprawami” i nie ma czasu na chłopaka, Archer natomiast utrzymywał, że nie chce jej krępować.

Między mną a Archerem też działo się dziwnie. Po balu coś się między nami zmieniło i to swobodne kumpelstwo, będące efektem wspólnych dyżurów piwnicznych, ulotniło się. Teraz zazwyczaj spędzaliśmy całą godzinę, katalogując, zamiast gadać i sprzeczać się, a czasami, kiedy on nie wiedział, że mu się przyglądam, przyłapywałam go zadumanego, z nieobecny spojrzaniem. Nie miałam pojęcia, czy myślał wtedy o Elodie, czy też, podobnie jak ja, czuł rozczarowanie tym niezręcznym dystansem, jaki wytworzył się między nami.

Listopad w Hekate okazał się szary i deszczowy, co doskonale pasowało do mojego nastroju. Mimo że udało nam się trochę zakumplować z Elodie, to nie była Jenna, a ja tęskniłam za swoją przyjaciółką. Jakoś tydzień po ataku na Annę pani Casnoff oznajmiła przy kolacji, że Rada oczyściła Byrona z podejrzeń. Najwyraźniej miał solidne alibi — rozmawiał w tym czasie telepatycznie z kimś z Rady. Ale ilekroć pytałam o Jenę, a robiłam to często, pani Casnoff nigdy nie powiedziała mi nic o miejscu jej pobytu ani o tym, co się z nią działo, więc oczywiście zamartwiałam się przez cały czas.

Mama nie byłaby mamą, gdyby nie wyczuwała, że coś jest na rzeczy, ilekroć do niej dzwoniłam, ale powtarzałam jej, że jestem zawałona nauką. Nie wspominałam ani o Chaston, ani o Annie, ani o Iennie. Tylko bym ją dodatkowo wystraszyła, a ona już i tak miała wystarczająco dużo zmartwień.

Nienawidziłam wieczornej samotności, więc zaczęłam spędzać wolne od piwnicznych obowiązków chwile w bibliotece, czytając o Prodigium, w nadziei, że uda mi się znaleźć coś, co pomoże Jennie. Jak na razie jedynymi stworzeniami, o których wiedziałam, że piją krew ofiar, były wampiry, demony i jeśli wierzyć tamtej księdze, L'Occhio di Dio. Ponieważ pani Casnoff odrzuciła teorię o Oku, zaczęłam szukać w książkach informacji o demonach. Wychodziło jednak na to, że wszystkie dzieła na ten temat, jakie posiadała biblioteka, są po łacinie. Usiłowałam kłaść dłoń na kartce, nakazując „Mów”, ale książki wyglądały na czarodoporne. Udało mi się zrozumieć tylko te kawałki, które już znałam, na przykład o zabijaniu demonów diablím szkłem. Miałam szczerą nadzieję, że w Hekate nie mamy demona, ponieważ nie przypuszczałam, żeby takie szkło można było kupić w supermarkecie. Pewnego ponurego wieczoru pod koniec listopada, tuż po kolacji i przed tym, jak miałam się zameldować w piwnicy, wzięłam kilka książek i poszłam do pani Casnoff. Zastałam ją w gabinecie. Pisała coś w wielkiej czarnej księdze rachunkowej. Pokój rozjaśniała ciepłym światłem lampka, słychać też było ciche dźwięki muzyki klasycznej. Podobnie jak podczas balu muzyka nie płynęła z żadnego widocznego źródła.

Dyrektorka podniosła na mnie wzrok.

- Słucham?

Pokazałam jej książki.

- Mam kilka pytań.

Zmarszczyła nieznacznie brwi, ale zamknęła swoją księgę i gestem wskazała mi, żebym usiadła.

- Czy zajmujesz się demonami z jakiegoś konkretnego powodu, Sophio?

- Owszem. Przeczytałam, że one niekiedy piją krew ofiar, i pomyślałam, że może to właśnie przydarzyło się Chaston i Annie.

Pani Casnoff przyglądała mi się uważnie przez dłuższą chwilę. Uświadomiłam sobie, że nie słychać już muzyki.

- Sophie - powiedziała zmęczonym głosem, po raz pierwszy używając tej formy mojego imienia - zdaję sobie sprawę, jak bardzo chciałabyś oczyścić Jennę z zarzutów.

Wiedziała, co zamierzała powiedzieć: to samo, co o Oku, postanowiłam więc się wtrącić.

- Nie jestem w stanie przeczytać tych książek, ponieważ są po łacinie, ale wszędzie są rysunki przedstawiające demony udające ludzi.

- To prawda. Prawdą jest jednak także to, że wiedzielibyśmy, gdyby taki osobnik pojawił się na terenie szkoły.

Podniosłam się, uderzając dłonią w jedną z leżących na biurku książek.

- Sama pani powiedziała, że magia nie jest jedynym rozwiązaniem! Może tutejsza magia się popsowała. Może coś ma moc większą niż pani i przedostało się do środka.

Pani Casnoff wstała zza biurka, prostując ramiona. Powietrze zafalowało i nagle przekonałam się - boleśnie - że jest ona czymś znacznie więcej niż dyrektorką. Miałam przed sobą niezwykle potężną czarownicę^

- Nie podnoś na mnie głosu, młoda damo. Jakkolwiek prawdą jest, że magia nie zawsze jest nieomylna, to, co sugerujesz, nie jest możliwe. Bardzo mi przykro, ale musisz pogodzić się z faktem, że przez trzy tygodnie nieobecności Jenny ani ty, ani Elodie, ani żaden inny uczeń w tej szkole nie został zaatakowany. Źle sobie wybrałaś przyjaciółkę, ale nic na to nie poradzimy.

Stałam, gapiąc się na nią i dysząc ciężko, jakbym właśnie przebiegła maraton.

Pani Casnoff poprawiła włosy i zobaczyłam, że ręka jej drży.

- Przepraszam, jeśli uznałaś moje słowa za zbyt szczerze, ale musisz zrozumieć, że wampiry nie są takie jak my. To potwory i zapominanie o tym nie świadczy o zdrowym rozsądku.

Wyraz jej twarzy złagodniał.

- Mnie też to boli, Sophie. Popierałam decyzję twojego ojca, żeby pozwolić wampirom uczęszczać do tej szkoły. Ale teraz mam zamordowaną uczennicę, dwie następne, które zaatakowano i być może nigdy tu nie wrócą, a mnóstwo ważnych osób ma do mnie pretensje. Bardzo bym chciała móc wierzyć, że Jenna nie miała z tym nic wspólnego, ale dowody świadczą przeciwko niej.

Wzięła głęboki oddech i włożyła książki z powrotem w moje zdrtwiałe ręce.

- To bardzo ładnie świadczy o twojej lojalności, że próbujesz pomóc przyjaciółce, ale obawiam się, że w tym przypadku twoje wysiłki spełzną na niczym. Nie życzę sobie żadnych dalszych poszukiwań w kwestii demonów. Zrozumiano?

Nie potaknęłam, ale ona najwidoczniej uznała, że zgodziłam się z nią.

- Obawiam się, że jesteś spóźniona na dyżur w piwnicy, więc sugeruję, żebyś się pospieszyła, zanim pani Vanderly-den zacznie cię szukać.

Zamglonymi od łez oczami patrzyłam, jak siada z powrotem za biurkiem i otwiera księgę. Byłam zła na nią za to niedopuszczanie do siebie myśli, że mogłaby nie wiedzieć o czymś, co dzieje się w Hekate. Czułam również głęboki smutek. Nieważne, co bym znalazła albo jakie teorie bym stworzyła, najłatwiejszym wyjaśnieniem było to, że Jenna zabiła Holly i usiłowała zabić dwie pozostałe dziewczyny -

i w tę wersję właśnie wszyscy chcieli wierzyć. Wszystko inne mogłoby oznaczać przyznanie się, że się mylili albo też, co gorsza, że nie są wszechpotężni.

Łzy zdążyły obeschnąć, zanim dotarłam do piwnicy. Zastąpił je tępy nieustępliwy ból za oczami. Vandy czekała na mnie przy drzwiach. Spodziewałam się, że odgryzie mi głowę - może nawet dosłownie - ale musiała zobaczyć coś takiego w moim spojrzeniu, że burknęła tylko parę uwag o spóźnieniu się i lekko popchnęła mnie w kierunku schodów.

Kiedy zamknęła za mną drzwi, Archer wyszedł spomiędzy regałów.

- Jesteś. Czy Vandy posłała za tobą ogary piekielne?

- Nie. - Wzięłam do ręki segregator i ruszyłam w kierunku najdalszej części piwnicy.

- Ej, nie będzie dowcipnej repliki? Nic w stylu Sophie Mercer?

- Nie mam w tej chwili nastroju do dowcipkowania, Cross - odparłam, przebiegając półki nie widzącym spojrzeniem.

- Ej - powiedział cicho. - Co się stało?

- Co się stało? Zobaczmy. Moja jedyna prawdziwa przyjaciółka wyjechała i zapewne nigdy nie wróci. Wszyscy uparli się uważać, że jest ona potworem, i nikt nie chce nawet słuchać o czymkolwiek innym.

- O czym innym? - zapytał. - Sophie, to wampirzyca. One tak mają.

- A więc ty też w to wierzysz? Rzucił na ziemię swoje papiery.

- Tak, wierzę. Wiem, że się przyjaźniłyście i że to boli, ale ona nie była twoim jedynym przyjacielem w szkole.

Poczułam taką wściekłość, że cała się trzęsłam. Przeszłam przez piwnicę i stanęłam przed Archerem.

- Ty uważasz się za mojego przyjaciela, Cross? Bo mnie się wydaje, że od balu ledwie się do mnie odzywasz.

Odwrócił wzrok i widziałam, że walczy ze sobą.

- Zachowujesz się dziwnie od tamtej nocy.

- Ja? - Odwrócił się prosto do mnie. - To ty w ogóle nie jesteś w stanie na mnie patrzeć. I wybac mi, jeśli uważam za nieco podejrzaną, że odkąd Elodie zaczęła spędzać czas z tobą, nagle przestała się interesować mną.

Pokręciłam zmieszana głową, ale nagle zrozumiałam,

o czym on mówił.

- Myślisz, że powiedziałam Elodie, że mi powiedziałeś, że chciałbyś spędzić bal ze mną, po to żeby ona cię rzuciła i zostawiła dla mnie?

Nie odpowiedział, więc popchnęłam go lekko.

- Przesuń się - niemalże warknęłam. Chciałam przejść obok niego, ale chwycił mnie za rękę i

przyciągnął tak blisko, że omal na niego nie wpadłam.

Przez kilka sekund zamarliśmy w napięciu, spoglądając na siebie wściekłym wzrokiem i dysząc ciężko. Widziałam, że jego oczy nieco pociemniały, zupełnie jak Jenny, kiedy zobaczyła moją krew. Ale to był inny rodzaj głodu - taki, który również ja czułam.

Nie zastanawiałam się długo. Po prostu wychyliłam się i przycisnęłam usta do jego warg.

Odwzajemnił pocałunek dopiero po ułamku sekundy, ale potem wydał dźwięk, który brzmiał niemal jak warkot dobywający się gdzieś z głębi krtani, i nagle chwycił mnie w ramiona, obejmując tak mocno, że ledwie łapałam oddech. Nie, żeby się tym przejmowała. Obchodził mnie jedynie Archer, jego usta na moich i jego ciało przytulone do mojego.

Zdarzało mi się już wcześniej całować, ale nigdy nie było to coś takiego. Czułam elektryczność przebiegającą od czubka głowy do palców u stóp, a gdzieś na samym dnie umysłu pobrzmiewały słowa Alice, że zakochanie to także rodzaj magii. Miała rację: to była niezwykła moc.

Poluźniliśmy uścisk, żeby zaczerpnąć powietrza. Zastanawiałam się, czy wyglądam na równie zaszokowaną jak on, ale on pocałował mnie znowu i wpadliśmy na półki. Usłyszałam, że coś spada i rozbija się na podłodze, a potem brzęk szkła zgniatanego butem Archera, kiedy przycisnął mnie do ściany.

Jakaś moja rozsądna cząstka upierała się, że nie powinnam iść na całość w piwnicy, ale kiedy dłonie Archera wsunęły mi się pod bluzkę i dotknęły skóry na moich plecach, zaczęłam zmieniać zdanie. Piwnica jest równie dobra jak każde inne miejsce.

Moje ręce, jakby nie należąc do mnie, sięgnęły ku niemu i rozpięły kilka guzików jego koszuli. Chciałam dotknąć jego skóry tak, jak on dotykał mojej. Musiał czuć to samo, ponieważ cofnął się nieco, żeby ułatwić mi ten zamiar. Jego usta zsunęły się ku mojej szyi, zamknęłam więc oczy i wsparłam głowę o ścianę, równocześnie wsuwając mu dłonie pod koszulę.

Dotyk jego warg na mojej szyi był tak przyjemny, że dopiero po chwili się zorientowałam, że lewa ręka mnie parzy.

W głowie mi się kręciło, kiedy podniosłam wzrok, żeby przyjrzeć się dłoni spoczywającej na jego piersi, tuż nad sercem.

W tej samej chwili mgiełka pożądania tłumiąca moje zmysły ustąpiła mdlącej fali przerażenia, kiedy zobaczyłam jego tatuaż - czarne oko ze złotą tęczówką - wyłaniający się na skórze pomiędzy moimi palcami.

## ROZDZIAŁ 29

Z początku nie chciałam wierzyć w to, co widziały moje oczy. W tej chwili Archer, który zorientował się, że zamarłam, odsunął się i spuścił wzrok.

Kiedy znów podniósł głowę, był blady, a w oczach miał panikę. Wtedy zorientowałam się, że to, co zobaczyłam między palcami, było prawdą: to był znak L'Occhio di Dio. Archer należał do Oka. Powtarzałam sobie te słowa w myślach, ale one nie chciały się układać w logiczną całość. Wiedziałam, że powinnam wrzeszczeć, uciekać albo coś w tym rodzaju, ale nie byłam w stanie się poruszyć.

- Sophie - odezwał się Archer.

Było to tak, jakby moje imię było kodem, który przełamał paraliż - napałam mocno rękami na jego klatkę piersiową i pchnęłam z całych sił. Zaskoczyłam go, bo inaczej nijak nie byłabym w stanie go przewrócić. On jednak upadł, wywracając regał, z którego na ziemię posypały się eksponaty. Z jednego z rozbitych słoików wylał się lepki żółty płyn. Poślizgnęłam się na tym obrzydlistwie, usiłując uciekać.

Archer tymczasem już się podniósł i chwycił mnie za rękę. Wydawało mi się, że znów wymówił moje imię, ale nie byłam tego pewna. Obróciłam się i tym nagłym ruchem wytrąciłam go znów z równowagi. Kiedy też poślizgnął się na żółtej cieczy, wbiłam mu łokieć najmocniej, jak się dało, w pierś. Zwinął się, kiedy powietrze nagle uciekło mu z płuc, a ja wykorzystałam ten moment, żeby uderzyć go nadgarstkiem w szczękę.

Numer Trzy, pomyślałam.

Zupełnie jak na obronnym.

Archer chwycił się za twarz, a pomiędzy palców popłynęła mu krew. Czułam, że wzbiera we mnie szaleńczy śmiech. Dopiero co całowałam jego usta, a teraz on krwawił przeze mnie.

Ruszył w moją stronę, ale był zbyt powolny, więc udało mi się wyślizgnąć.

Ile to razy walczyliśmy ze sobą podczas obronnego? Czyżbyśmy przygotowywali się właśnie na tę chwilę? Czy Archer przyglądał się ze śmiechem moim usiłowaniom obrony przed jego ciosami, rozważając, jak mnie zabić?

Wymknęłam mu się z uścisku i popędziłam na schody. Moje myśli szalały tak, jakby zjeżdżały właśnie piekielną kolejką górską. Byłam w stanie myśleć tylko o tym, że Archer mnie pocałował, Archer zabił Holly, Archer skrzywdził Chaston, Archer zaatakował Annę. Nie patrzyłam za siebie, ale miałam wrażenie, że poczułam dotyk jego palców na kostce. Pognałam ku drzwiom i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że są zaryglowane... O Boże, są zaryglowane.

Rzuciłam się z pięściami na drewno, wrzeszcząc. - Vandy! Pani Casnoff! Pomocy! Waliłam

w drzwi najmocniej, jak mogłam, ale w końcu obejrzałam się i zobaczyłam, że Archer podciąga nogawkę spodni. Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby uświadomić sobie, że sięga po coś, co ma przypięte do nogi.

Nóż. Srebrny sztylet jak ten, którym wyrwano serce Alice.

Moje krzyki stawały się chrapliwe i słaby ze strachu, jak w jakimś koszmarze.

Archer jednak nie ruszył na mnie. Podbiegł do niewielkiego okienka z tyłu piwnicy i wsunął ostrze w stary zamek.

Po drugiej stronie drzwi słyszałam głosy... i kroki. I, tak mi się wydawało, brzęk kluczy.

Zamki w drzwiach i w oknie ustąpiły w tej samej chwili.

Archer rzucił mi ostatnie spojrzenie, kiedy kuliliam się pod drzwiami. Nie byłam w stanie odgadnąć wyrazu jego twarzy, ale ze zdumieniem dostrzegłam łzy w jego oczach. Odwrócił się i wyskoczył przez okno w tej samej chwili, kiedy za mną otwarły się drzwi, a ja padłam, trzęsąc się cała, w ramiona Vandy.

Siedziałam na kanapie w gabinecie pani Casnoff z filiżanką gorącej herbaty w ręce. Sądząc po zapachu, w naparze było coś więcej niż herbata, ale jeszcze go nie spróbowałam. Nie potrafiłam powstrzymać szczykania zębami w stopniu pozwalającym na picie czegokolwiek, mimo że zostałam owinięta ciepłym szalem. Miałam wrażenie, że nigdy nie przestanę dygotać.

Pani Casnoff siedziała obok, gładząc mnie po włosach. Ten matczyzny gest w jej wykonaniu wydawał się dość dziwaczny - w sumie bardziej niepokojący niż kojący. Vandy stała oparta o drzwi, pocierając kark. Od dłuższej chwili panowało milczenie.

Przerwała je w końcu pani Casnoff.

- Jesteś pewna, że to był znak Oka?

Pytała mnie o to po raz trzeci, a ja tylko potaknęłam i usiłowałam podnieść trzęsącymi się rękami filiżankę do ust.

Westchnęła tak, że zabrzmiało to, jakby miała ze sto lat.

- Ale jak to możliwe? - spytała po raz trzeci. - Jak jeden z naszych mógł być w L'Occhio di Dio?

Zamknęłam oczy i w końcu udało mi się wypić łyk. Miałam rację: herbata była wzmocniona jakimś alkoholem. Poczułam w żołądku falę ciepła, ale nijak nie pomogło to na dreszcze.

Jak? - powtarzałam w myślach. Jak?

Sama usiłowałam sobie odpowiedzieć na to pytanie, próbując dociec, czy to Oka szukał Archer przez ten rok, kiedy opuścił Hekate. Ale ten problem wymagał logicznego myślenia, a mój umysł był całkowicie niezdolny do posługiwania się logiką.

Archer należał do Oka. Archer usiłował mnie zabić.

Powtarzałam te zdania w kółko. Zastanawiałam się, jakby oglądając wszystko z oddali, czy on zaprzyjaźnił się ze mną, udawał, że mnie lubi, po to tylko żeby mieć szansę się do mnie zbliżyć. Czy dlatego zaczął chodzić z Elodie?

Potarłam ręką miejsce tuż nad sercem. Pani Casnoff przyglądała mi się z z troską.

- Zrobił ci krzywdę?

- Nie - odpowiedziałam. - Nic mi nie zrobił.

W każdym razie nic takiego, co byłoby widoczne.

- Wygląda na to, że jednak trochę oberwałaś - zaświergotała Vandy, nachylając się ku mojej prawej ręce, która pośmiała i spuchła po zderzeniu ze szczęką Archera.

Podniosłam na nią wzrok.

- Owszem - powiedziałam sucho. - Dziękuję za wielce praktyczne lekcje obrony. Bardzo się przydały.

- Jednego nie rozumiem - odezwała się niepewnym tonem pani Casnoff. - Jakim cudem nic nie wiedzieliśmy. Powinniśmy byli to wyczuć. Albo ktoś powinien był zauważyć znak.

Pokręciłam głową.

- Był ukryty. Pojawił się tylko dlatego, że... - Pojawił się dzięki ochronnemu zaklęciu Alice, pomyślałam, ale nie

miałam ochoty opowiadać im o niej. - Rzuciłam na siebie zaklęcie ochronne - skłamałam. Jak zwykle słabo mi to wyszło, ale one były tak wstrząśnięte, że nie zauważyły. - Znak pojawił się, kiedy go dotknęłam.

Pani Casnoff zwróciła na mnie wzrok.

- Dotknęłaś go?

Poczułam, że zalewam się rumieńcem wstydu. Nie dość, że chłopak, w którym się kochałam, okazał się zabójcą, to jeszcze na dodatek teraz oberwie mi się za obściskiwanie się w piwnicy. Na szczęście w tej właśnie chwili do gabinetu wmaszerował pan Ferguson, zmiennokształtny nauczyciel, strząsając krople deszczu ze swojego ciężkiego skórzanego płaszcza. U jego boku człapały ogromny wilczarz irlandzki oraz złota puma. Pies na moich oczach uniósł się na dwie łapy i zmienił w Gregory'go Davidsona, jednego z najstarszych uczniów. Pumą była Taylor. Po raz pierwszy, odkąd Beth powiedziała jej, kim jest mój ojciec, Taylor nie patrzyła na mnie wilkiem. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, że w jej oczach maluje się współczucie.

- Ani śladu, pani C. - powiedział pan Ferguson. - Przeszukaliśmy całą wyspę.

Pani Casnoff westchnęła.

- Żadne z moich zaklęć tropiących też nic nie dało. Jakby rozplynął się w powietrzu. - Potarła skronie. - Musimy przede wszystkim powiadomić Radę, że nastąpiła infiltracja. Twój ojciec



będzie chciał wszystko o tym wiedzieć, no i oczywiście trzeba będzie wzmocnić zaklęcia zabezpieczające i powiedzieć pozostałym uczniom, co się stało.

Jej głos załamał się lekko przy ostatnich słowach i ku mojemu przerażeniu dyrektorka ukryła twarz w dłoniach, wydając przy tym z siebie coś w rodzaju szlochu.

Zdjęłam szal i narzuciłam jej na ramiona.

- Wszystko będzie w porządku.

Podniosła na mnie wzrok. W jej oczach lśniły łzy.

- Tak bardzo mi przykro, Sophie. Powinnam była cię posłuchać.

Jeszcze kilka godzin temu, słysząc takie słowa z ust pani Casnoff, tańczyłabym z radości na ulicy. Teraz tylko uśmiechnęłam się smutno.

- Trudno. Stało się.

Cieszyłam się, że dzięki temu Jenna może wróci do szkoły, ale ta iskierka radości była ukryta głęboko pod stertą bólu, złości i smutku. Chciałam, żeby przyznano mi rację, ale nie w taki sposób.

Pozostawiłam panią Casnoff, Fergusona i Vandy dyskutujących o jutrzejszym apelu i powlokłam się do swojego pokoju. Jakkolwiek tęskniłam za Jenną, tej nocy nie miałam nic przeciwko samotności.

U podnóża schodów natknęłam się na Cala J

- Nic mi nie jest - powiedziałam, unosząc rękę. - Samo się zagoi.

- Nie o to chodzi. Pani Casnoff nie chce, żebyś chodziła teraz dokądkolwiek sama. To znaczy dopóki nie odnajdziemy Archera.

Westchnęłam.

- No więc... co? Zamierzasz mnie odprowadzić do pokoju?

Potaknęłam.

- Okej.

Położyłam dłoń na gładkim drewnie poręczy, żeby wtaszczyć swój zmęczony tyłek na schody. Teraz wreszcie zrozumiałam, co znaczy złamane serce. Tak właśnie się czułam. Jakbym miała gripę, ale taką, która atakuje duszę zamiast ciała. Byłam koszmarnie zmęczona i wszystko mnie

boleło. W chwili kiedy myślałam, że może jednak rozważę zmianę zdania w kwestii niewchodzenia nigdy do tych

upiornych waniń, usłyszałam szept Elodie.

- Sophie?

Odwrociłam się i dostrzegłam ją stojącą w holu. Miała pobladłą twarz i po raz pierwszy nie wyglądała olśniewająco.

- Co się dzieje? - spytała. - Rozeszła się plotka, że Archer, no, zaatakował cię w piwnicy czy coś w tym rodzaju, a ja nie mogę nigdzie go znaleźć.

Myślałam, że ból w mojej piersi nie może już urosnąć, a jednak.

- Zaczekaj - powiedziałam do Cala.

Wzięłam Elodie za rękę i poprowadziłam ją do najbliższego pokoju. Usiadłam koło niej na sofie i wyjaśniłam, co się stało, oszczędzając jej tylko całej opowieści o tym, jak się całowaliśmy z Archerem, i zasadniczo opowiadając głównie o walce i znaku na jego piersi.

Gdzieś w połowie opowieści zaczęła potrząsać głową, a w jej oczach wezbrały łzy. Mówiłam dalej, a łzy kapały Elodie po policzkach i na kolana, pozostawiając ciemne plamy na niebieskiej spódnicy.

- To niemożliwe - powiedziała, kiedy skończyłam. - Archer. .. nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić. On...

Rozpłakała się tak, że nie była w stanie mówić dalej. Objęłam ją ramieniem, ale ona strząsnęła nagle moje ręce.

- Czekaj - w tonie, którym to powiedziała, pobrzmiwała dawna Elodie. - Jak udało ci się zobaczyć ten znak?

- Powiedziałam ci - odrzekłam, ale nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Wpatrywałam się w lampę stojącą za jej głową, wbijając wzrok w pozbawioną wyrazu twarz pasterki zdobiącej jej podstawę. - Dzięki temu zaklęciu, które nałożyła na nas Alice.

- To wiem - powiedziała Elodie, odsuwając się ode mnie. - Ale dlaczego dotykałaś jego piersi? Uniosłam wzrok, usiłując wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. Byłam jednak zmęczona i zła, więc nic nie przychodziło mi do głowy. Przytłoczona poczuciem winy spuściłam głowę.

Myślałam, że Elodie zacznie krzyczeć albo płakać jeszcze bardziej, albo też mnie uderzy, ale nic takiego się nie stało. Otarła twarz wierzchem dłoni, wstała i wyszła z pokoju.

## ROZDZIAŁ 30

Myślałam, że wiadomość o Archerze rozgniewa ludzi, ale stało się dokładnie na odwrót. Zamiast przerażenia, że L'Occhio di Dio przedostało się na teren szkoły, wszyscy zdawali się czuć ulgę, że wyjaśniła się tajemnica ataków i życie może wreszcie wrócić do normy. Znaczący się normy na miarę takiej szkoły jak Hekate, co oznacza, że zmienni wychodzą do lasu po nocy, a elfowie mogą się tam włóczyć o wschodzie i zachodzie słońca.

Kilka dni później pani Casnoff wzięła mnie na bok i powiedziała, że Jenna wraca, a mój

ojciec przyjedzie mniej więcej tydzień później.

Zapewne powinnam była skakać z radości na wieść o tym, że wreszcie go poznam, ale czułam głównie podenerwowanie. Czy przyjeżdżał do Hekate jako oficjalna persona, czy też dlatego, że jego córka omal nie została zaatakowana? O czym mamy rozmawiać?

Zadzwoiłam pewnego wieczora do mamy, żeby ją o tym poinformować. Nie mówiłam jej jednak o Archerze. Tylko bym ją nastraszyła. Powiedziałam, że były pewne problemy i tato przyjeżdża, żeby się temu przyjrzeć.

- Polubisz go - oznajmiła mama. - Jest czarujący i bardzo inteligentny. On też z pewnością cieszy się na to spotkanie.

- Dlaczego w takim razie nie usiłował spotkać się ze mną wcześniej? Wiem, jak byłam mała, nie chciałaś, żebyśmy się widywali. Ale gdy już ujawniłam moc? Mógł się wysilić na odwiedziny raz za czas.

Mama milczała przez chwilę.

- Sophie, twój ojciec miał swoje powody, ale to on powinien ci o tym powiedzieć, a nie ja. On cię kocha... - Przerwała znów na moment. - Masz mi coś jeszcze do przekazania?

- Mam mnóstwo roboty w szkole - skłamałam.

Usiłowałam cieszyć się z perspektywy spotkania z tatą, ale miałam problemy z wykrzesaniem z siebie radości z jakiegokolwiek powodu. Czułam się tak, jakbym poruszała się pod wodą, a głosy ludzi dochodziły do mnie stłumione i zniekształcone.

Z drugiej jednak strony zyskałam nagłą popularność. Podejrzewam, że znalezienie się w sytuacji, w której omal nie zostałam zamordowana w piwnicy przez tajnego agenta łowców demonów, wystarcza, żeby wszyscy nagle chcieli się z tobą przyjaźnić. No cóż.

Zażartowałam w ten sposób do Taylor pewnego wieczoru przy kolacji. Od tamtego spotkania w gabinecie Casnoff stała się dla mnie znacznie sympatyczniejsza, przekonawszy się najwyraźniej, że nie jestem szpiegiem mojego taty.

- Nie wiedziałam, że jesteś taka zabawna! - zaśmiała się. Tak, ostatnio nieustannie żartowałam. Może dlatego,

że dowcipy stanowiły barierę ochronną przed wybuchami płaczu.

Widziałam, jak ludzie gromadzą się wokół Elodie i użalają się nad nią, mamrocząc, że z pewnością musi mieć złamane serce. Elodie nie rozmawiała ze mną, a mnie brako wato jej towarzystwa. Może to zabrzmieć dziwnie, ale naprawdę miałam ochotę porozmawiać z nią o Archerze. Była jedyną osobą, która czuła to samo co ja.

Przestałam się spotykać z Alice w lesie. Pani Casnoff dotrzymała słowa i nałożyła na szkołę tuzin kolejnych czarów zabezpieczających, tak że nawet superpotężne zaklęcie usypiające nie działało. Mogłabym się po prostu wymykać, ale miałam wrażenie, że Elodie tak robi, więc

pozostawiłam to jej. No bo jakkolwiek by patrzeć, ukradłam jej chłopaka, wprowadziłam na bardzo krótko, ale jednak. Niech więc ma moją prababcie. Nie była to bardzo uczciwa zamiana, ale tylko w taki sposób mogłam jej to jakoś wynagrodzić.

A poza tym wcale nie byłam pewna, czy sama nadal ufałam Alice.

Gdy na to patrzyłam z perspektywy, jakaś maleńka cząstka mnie czuła przyjemne podniecenie, kiedy zaklęcie rzucone na suknię Elodie zaczęło działać. Nie chciałam jej skrzywdzić - w każdym razie tak mi się wydaje - ale czułam pewną satysfakcję na myśl o tym, że byłam zdolna rzucić taki czar.

Dokąd zaprowadziłby mnie ten dreszczyk? Fascynacja ciemną stroną nie była jedynym, co zajmowało mi myśli. Cały czas zastanawiałam się nad tamtym wieczorem w piwnicy. Wciąż powracał obraz Archera wyciągającego sztylet. Miał mnóstwo czasu, żeby mnie zadźgać i uciec. Dlaczego więc tego nie zrobił? Powtarzałam to pytanie w myślach bez przerwy, ale nie przychodziło mi do głowy żadne wytłumaczenie, które byłoby satysfakcjonujące -czytaj: które pozwalałoby stwierdzić, że Archer nie należy do Oka, że to była straszliwa pomyłka.

Tydzień po jego ucieczce siedziałam na parapecie, przeglądając podręcznik do literatury magicznej. Mimo że Lord Byron został oczyszczony z zarzutów, nie wrócił do Heka te. Mam wrażenie, że powiedział pani Casnoff coś bardzo nieprzyjemnego, kiedy zaprosiła go z powrotem, ponieważ mówiąc o nowym nauczycielu, zawsze zaciskała usta. Okazało się, że jego lekcje przejęła Vandy. Myślałam, że będzie dla mnie choć troszkę miłsza po tym, jak ocaliła mnie przed zabójcą, ale jeśli nie liczyć zniesienia dyżurów piwnicznych na resztę semestru (całe trzy tygodnie, doprawdy wielka mi łaska), nie zdradzała takich zamiarów. Na piątek mieliśmy już zadane trzy wypracowania i dlatego właśnie usiłowałam znaleźć w tym durnym podręczniku cokolwiek, co choćby śladowo wzbudziłoby moje zainteresowanie.

Zabierałam się właśnie do czytania rozdziału o Królu olch Goethego, kiedy mój wzrok przyciągnął ruch na trawniku. To Elodie maszerowała pewnym krokiem w kierunku lasu. Zapewne obie z Alice uznały, że miotły zanadto zwracają uwagę.

Powiedziałam sobie, że nie jestem zazdrosna i że nie widzę problemu w fakcie, iż Alice nie próbowała nawet kontaktować się ze mną przez ostatnie tygodnie. Elodie i tak była pojętniejszą uczennicą. Zerknęłam w stronę szafy, do której włożyłam Bramę, lwa Jenny. Musiałam go schować po tym, jak wyjechała, ponieważ jego widok był dla mnie zbyt bolesny. Z tego samego powodu w zeszłym tygodniu zawiesiłam Bramowi na szyi wisiołek, który dostałam od Alice. Zwłaszcza że nie potrzebowałam już niewyczerpanego zapasu sił.

Wpatrywałam się wciąż w szafę, gdy nagle otworzyły się drzwi do pokoju.

- Tęskniłaś za mną? - spytała Jenna z promiennym uśmiechem.

Nie wiem, która z nas była bardziej zaskoczona, kiedy wybuchnęłam płaczem.

Natychmiast przebiegła przez pokój i rzuciła mi się na szyję po czym posadziła mnie na łóżku i objęła ramieniem.

Sięgnęła za siebie i wyciągnęła z szuflady paczkę chusteczek.

- Masz - powiedziała, podając mi je.

- Dzięki - Wytarłam nos, po czym odetchnęłam głęboko, wzdrygając się. - Już mi lepiej.

- Ciężkie kilka tygodni, co?

Spojrzałam na nią. Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Skórę miała nadal bladą, ale policzki się jej nieco zaróżowiły. Nawet różowy kosmyk wyglądał ładniej.

- Opowiedzieli ci o wszystkim? Przytaknęła.

- Owszem, ale nie mogę w to uwierzyć. Archer nie wyglądał mi na tajnego łowcę demonów.

Parsknęłam i wytarłam ponownie nos.

- Nikt nie jest w stanie w to uwierzyć. Widziałaś się z Radą. Są przestraszeni?

- Jeszcze jak. Z tego, co słyszałam, Archer i cała jego rodzina jakby zapadli się pod ziemię. Nikt nie wie, co się stało, ale wygląda na to, że wszyscy są w to zamieszani. - Jenna przebiegła palcami po włosach. - To szaleństwo, że on się przez cały czas ukrywał.

- Owszem - odparłam, spuszczając wzrok na swoje dłonie. - Wiesz, to mnie wkurza, bo... - Westchnęłam.

- Nienawidzisz go za to, co zrobił, ale tęsknisz za nim -dokończyła Jenna.

Zaskoczona, podniosłam na nią wzrok.

- Właśnie.

Odgarnęła włosy na jedną stronę, pokazując dwie niewielkie błękitnawe blizny jak po ukłuciach tuż poniżej ucha.

- Wiem coś na temat zakochiwania się w potworach. Potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem, pozwalając włosom opaść z powrotem.

Przesunęłam się na łóżku, robiąc jej więcej miejsca, i obie oparłyśmy się o poduszki.

- Opowiedz mi o Londynie.

Jenna przewróciła oczami i zrzuciła buty.

- Nawet nie dotarłam do Londynu. Rada ma posiadłość w Savannah, gdzie zatrzymują się, kiedy mają coś do załatwienia w Hekate. Siedziałam tam, a oni zadawali mi niekończące się pytania, na przykład o to, kto mnie przemienił i jak często się żywię. Nie będę ukrywać: było to momentami niezłe przerażające. Cały czas miałam wrażenie, że lada chwila przyprowdzą Buffy, żeby mi wsadzić kołek w dołek.

Omam nie udusiłam się ze śmiechu.

- Że co?

Jenna zarumieniła się i potarła stopę palcami drugiej.

- Och, tak się wyraziła taka jedna dziewczyna.

- Ładna? - zapytałam, pakując jej łokieć pod żebro.

- Może - odparła z uśmiechem od ucha do ucha. Udało mi się z niej wyciągnąć tylko tyle, że dziewczyna

miała na imię Victoria, pracowała dla Rady i była wampirzycą.

- Wampiry pracują dla Rady?

- Ano - powiedziała Jenna, która zachowywała się znacznie żwawiej niż kiedykolwiek, odkąd ją poznałam. - Mają fajne zajęcia: opiekują się świeżo przemienionymi, pracują jako ochroniarze VIP-ów z Rady.

- Skoro już o tym mowa, nie natknęłaś się tam przypadkiem na mojego tatę, co?

Pokręciła przecząco głową.

- Niestety nie. Ale podsłuchałam, jak Vix mówiła, że przyjedzie tu za kilka dni.

- Vix? - zapytałam, usiłując podnieść jedną brew ze zdumienia.

Jenna zarumieniła się znowu.

- Czy Bram wie, że niebawem może mieć konkurencję? - roześmiałam się.

- Zamknij się - odparowała, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. - Ej, a gdzie on jest?

- Ocaliłam go dla ciebie - odparłam, zeskakując z łóżka i podchodząc do szafy.

Wyciągnęłam pluszaka spod jakichś rzeczy do prania i rzuciłam nim w Jennę. Chwyciła go, nie przestając się uśmiechać.

- Och, Bramie, jakże za tobą tęs...

Nagle jej twarz się zmieniła: widziałam, jak ładny rumieniec odpływa z policzków, kiedy gapiła się na swoją maskotkę.

A dokładniej na wisiorek na szyi Brama.

- Skąd to masz?

- Ten naszyjnik? Dostałam w prezencie.

- Od kogo? - Podniosła na mnie oczy, a ja dostrzegłam w nich autentyczny strach. Na karku poczułam nieprzyjemne mrowienie.

- O co chodzi? Co to jest?

Jenna wzdrygnęła się i odrzuciła Brama daleko od siebie.

- To jest krwawy klejnot.

Przeszłam przez pokój i podniosłam lwa, zdejmując mu z szyi wisior.

Spory płaski kamień nijak nie przypominał krwawego klejnotu. Nie był nawet czerwony.

- Jest czarny - powiedziałam do Jenny, wyciągając ku niej rękę, ale ona odskoczyła w tył.

- To dlatego że zawiera krew demona. Czułam, że wszystko we mnie martwieje.

-Co?

Jenna sięgnęła pod bluzkę i wyciągnęła swój krwawy klejnot. Znajdujący się w środku płyn wzbierał i przelewał się, jakby w kapsułce szalał sztorm.

- Widzisz? - powiedziała. - W moim kamieniu jest biała magia. On reaguje w ten sposób tylko wtedy, kiedy w pobliżu znajduje się czarna. A to jest bardzo poważna magia, Sophie.

Zaciskała palce tak mocno na swoim naszyjniku, że pobieleły jej kłykcie.

- On się tak zachowywał również wtedy przed balem -powiedziała, nie spuszczać oczu z mojego naszyjnika. - Kiedy wyciągnęłaś tamten proszek. Powinnam była cię wtedy ostrzec, ale tak się cieszyłaś suknią, a ja uznałam, że czarna magia nie jest w stanie wyprodukować niczego tak pięknego.

Nie bardzo słuchałam, co mówiła. Przypomniało mi się, jak pani Casnoff powiedziała, że nie wiadomo, w jaki sposób Alice została czarownicą. Uświadomiłam sobie, że odezwała się do mnie dopiero po ataku na Chaston, a kiedy Anna została ranna, ona wydawała się pełna sił.

Przypomniałam sobie wyraz twarzy Elodie, kiedy Alice dała jej naszyjnik.

Elodie była z nią teraz.

Upuściłam wisiorek. Kamień pękł, uderzając o krawędź biurka, i wylała się z niego kropla płynu, która zasyczała na podłodze, wypalając na niej czarny ślad.

Niewiarygodne, jaka byłam głupia. Jaka naiwna.

- Jenna, zawołaj panią Casnoff i Cala. Powiedz im, żeby udali się jak najszybciej do lasu, do grobów Alice i Lucy. Ona będzie wiedziała, gdzie to jest.

- A ty dokąd idziesz? - zapytała, ale ja nie odpowiedziałam.

Popędziłam przed siebie - tak samo jak tej nocy, kiedy znalazłam Chaston,

Wpadłam między drzewa, których gałęzie raniły mi twarz i ręce, a kamienie wbijały się w stopy. Miałam na sobie tylko spodnie od pizamy i podkoszulek, ale ledwie czułam zimno. Biegłam przed siebie.

Teraz bowiem zrozumiałam, w jaki sposób Alice stała się istotą cielesną, skąd brała całą moc, mimo że powinna być martwa. Rytuał czarnej magii, w który została schwytana, nie uczynił z Alice czarownicy^ uczynił z niej demona.

Z ciebie też - słyszałam szept w myślach, - Czymkolwiek ona jest, ty jesteś taka sama.

Byłam pewna, że kiedy dotrę do cmentarza, zastanę Elodie leżącą w kałuży krwi, a może nawet martwą. Tymczasem ze zdumieniem zobaczyłam ją stojącą obok Alice, z uśmiechem znikającą - by pojawić się kilka sekund później metr dalej.

Udało jej się opanować zakłęcie przenoszące.

Alice dostrzegła mnie pierwsza i uniosła rękę w geście powitania. Gapiłam się na nią, niedowierzając, że uważałam ją po prostu za ducha. Żaden z duchów w Hekate nigdy nie wyglądał tak prawdziwie, żaden nie był tak materialny. Od Alice promieniowało życie. Czułam się głupio, że wcześniej tego nie dostrzegłam.

Zbliżyłam się do nich z sercem walącym ze strachu. Uśmiech znikł z twarzy Elodie, gdy tylko mnie zobaczyła. Wbiła wzrok w jakiś punkt ponad moją głowę.

- Elodie - powiedziałam głosem, który miał brzmieć spokojnie, ale wiedziałam, że jest równie napięty i przerażony jak ja. - Chyba powinniśmy wracać do szkoły. Pani

Casnoff cię szuka.

- Nieprawda - odparła Elodie, sięgając pod bluzkę i wyciągając naszyjnik. - On świeci, kiedy ktoś mnie szuka, i mówi mi, kto to jest. Widzisz? - Kamień rozbłysł, a ja zobaczyłam swoje imię wypisane bladymi literami.

- Pamiątka rodzinna, co? - zapytałam Alice. Uśmiechnęła się, ale ja dostrzegłam jakiś błysk w jej oczach.

- Ej że, Sophio, nie bądź zazdrosna.

- Nie jestem zazdrosna - odpowiedziałam nieco zbyt szybko. - Myślę tylko, że Elodie i ja powinniśmy wracać do szkoły.

W myślach usiłowałam policzyć, ile czasu zajmie pani Casnoff i - jak miałam nadzieję - Calowi dostanie się tutaj. Jeśli Jenna odnalazła ich zaraz po moim wyjściu, to powinni być raptem kilka minut po mnie.

Alice zmarszczyła brwi i uniosła rękę, jakby nasłuchując... albo raczej węsząc - w tym geście nie było nic ludzkiego. Poczułam, że drzę.

- Jesteś przerażona, Sophio - powiedziała. - Czemu miałabyś się mnie bać?

- Nie boję się - odparłam, ale głos znowu mnie zdradził.

Wiatr szalał w wierzchołkach drzew, wyginając je ku sobie i rzucając dziwaczne cienie na ziemię. Alice odwróciła głowę i wzięła głęboki oddech. Tym razem na jej twarzy pojawił się gniew.

- Przyprowadziłaś tu intruzów. Dlaczego to zrobiłaś, Sophio?

Pstryknęła palcami w kierunku lasu, a ja usłyszałam głośny trzask, jakby drzewa wyrwały korzenie z ziemi i poruszały się. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że Alice zatrzymywała panią Casnoff i Cala.



- Przyprowadziłaś tu Casnoff? - zapytała Elodie, ale ja nie spuszczałam oczu z Alice.

- Wiem, czym jesteś opowiedziałam głosem niewiele mocniejszym od szeptu.

Spodziewałam się, że Alice zrobi zdziwioną minę albo też rozzłości się, ale ona uśmiechnęła się tylko. Co było znacznie straszniejsze.

- Doprawdy?

- Jesteś demonem.

Zaśmiała się chrapliwym głosem, a w jej oczach zapaliły się czerwono-fioletowe ogniki.

Odwrociłam się do Elodie. Miała na twarzy wymalowane poczucie winy, ale nie zawahała się pod moim spojrzeniem.

- Wezwaliśmy demona - powiedziałam, a ona potaknęła, tak jakbym oskarżała ją o farbowanie włosów albo coś równie niewinnego.

- Nie miałyśmy wyboru - oznajmiła. - Słyszałaś, co gada Casnoff: nieprzyjaciel cały czas rośnie w siłę. Mój Boże, Sophie, przecież oni zdołali przekabacić jednego z naszych i wykorzystać go przeciwko nam. Musiałyśmy być przygotowane.

Mówiła to wszystko spokojnym tonem przedszkolanki.

- I co? - zapytałam roztrzęsiona. - Pozwoliłyście jej zabić Holly?

Teraz dopiero spuściła oczy.

- Krwawa ofiara jest jedynym sposobem na związanie ze sobą demona.

Miałam ochotę bić, kopać, krzyczeć, ale nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

Elodie spoglądała na mnie błagalnym spojrzeniem wielkich oczu.

- Nie chciałyśmy zabijać Holly. Wiedziałyśmy, że potrzebujemy czwórki, żeby utrzymać demona i zmuszać go do wykonywania rozkazów. Ale musiałyśmy również mieć krew, Rzuciłam więc na nią zaklęcie usypiające, a Chaston zrobiła jej dziurę w szyi sztyletem. Myślałyśmy, że możemy zatamować ranę, zanim będzie za późno, ale ona tak strasznie krwawiła.

Czułam, że robi mi się słabo.

- Mogłyście wziąć krew z dowolnego miejsca - powiedziałam. - Ale wzięłyście z szyi, żeby oskarżyć Jennę. Chciałyście upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, co?

Nie skończyłam na tym.

- Wiedziałyście, że to przez was umarła Holly, ale pozwoliłyście, żeby oskarżenie padło na Jennę. Nawet ja chwilami zastanawiałam się, czy to jednak nie ona.

- Myślałam, że to Jenna zaatakowała Chaston i Annę -powiedziała Elodie, po której policzkach spływały łzy. -Byłyśmy przekonane, że rytuał spalił na panewce. Nigdy wcześniej nie widziałam Alice, dopiero wtedy z tobą. Przysięgam.

Przeniosłam wzrok na Alice.

- Czemu im się nie ukazałaś? Wzruszyła ramionami.

- Nie były warte mojego zachodu. Wyciągnęły mnie z piekła, ale nie czułam potrzeby służenia trzem uczennicom.

Uniosła rękę i Elodie szarpnęła się.

- Zastanawiałam się, dlaczego dojdzie do prawdy zabrało ci tyle czasu - powiedziała Alice, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Jesteś ponoć taką mądrą dziewczynką, Sophie, a mimo to nie dostrzegłaś różnicy między duchem a demonem? A może chodzi o coś innego?

Obróciła dłoń lekko w lewo i Elodie z wrzaskiem poleciała w bok, lądując pod ogrodzeniem cmentarza. Leżała tam bez ruchu, ale nie miałam pojęcia, czy straciła przytomność, czy też Alice powstrzymywała ją za pomocą magii.

- Wiesz, co sobie myślę, Sophio? Myślę, że wiedziałaś do-skonale, tylko nie chciałaś się z tym pogodzić. Bo skoro ja jestem demonem, to czym ty jesteś?

Drżałam teraz na całym ciele. Chciałam zakryć uszy, żeby nie słyszeć jej słów. Bo ona miała rację. Wiedziałam, że coś jest z nią nie w porządku, ale odrzucałam te myśli, ponieważ ją polubiłam. Podobała mi się moc, którą mnie obdarzała.

- Tak długo na ciebie czekałam, Sophio - powiedziała Alice, wyglądając przy tym tak samo jak zawsze: zwykła dziewczyna w moim wieku. - Kiedy te żalodne czarownice odprawiły rytuał wezwania, przepchnęłam się łokciami przez zastępy demonów, żeby to mnie uwolniły. Wszystko w nadziei, że znajdę ciebie.

Czułam pulsowanie krwi w uszach i skroniach.

- Ale dlaczego? - szepnęłam, szczękając zębami. Uśmiech, który wypłynął na jej twarz, był jednocześnie

piękny i straszliwy. Jej oczy płonęły niczym ogień.

- Dlatego że jesteśmy rodziną.

W tej samej chwili poleciałam do tyłu, uderzając boleśnie plecami o drzewo, którego kora podrapała mnie przez podkoszulek. Usiłowałam się poruszyć, ale moje członki były ociężałe i pozbawione czucia.

- Wybacz - powiedziała Alice, pochodząc do cmentarnego ogrodzenia - ale nie mogę pozwolić, żebyś mi teraz przeszkodziła.

Uklękła obok Elodie, a ja mogłam tylko patrzeć, bezsilna i sparaliżowana. Łagodnym ruchem, jak matka podnosząca dziecko, położyła sobie jej głowę na kolanach. Z nieprzytomnym wzrokiem i półprzymkniętymi oczami Elodie pochylała głowę na bok, podczas gdy Alice głaskała ją po skroni. Następnie Alice zbliżyła dłoń do jej szyi. Z opuszek jej palców

wystrzeliły dwa cienkie pazury, lśniąco w świetle magicznej kuli.

Elodie ledwie drgnęła, kiedy pazury przebiły skórę na jej szyi, ja za to krzyknęłam. A kiedy Alice przyłożyła usta do ran, zamknęłam oczy.

Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło, zanim znów mogłam się poruszyć, ale gdy w końcu podniosłam się na nogi, Alice stała przede mną, a Elodie leżała bardzo blada i nieruchoma, oparta o bramę cmentarza.

Podbiegłam do niej. Alice nie próbowała mnie zatrzymać.

Uklękłam przy boku Elodie, czując wilgoć ziemi pod stopami. Twarz dziewczyny była chłodna, ale jej oczy pozostały półotwarte i wyczuwałam płytki oddech.

Rany na jej szyi były czerwone i świeże, ale cała reszta ciała pobieliała jak kreda. Nasze oczy spotkały się i poruszyła ustami, jakby usiłowała coś powiedzieć.

-Tak mi przykro - szepnęłam. - Przepraszam za wszystko.

Zamrugnęła powiekami i jej usta znów się poruszyły. Ręka.

Domyślając się, że chce, żebym chwyciła ją za rękę, ujęłam jej lewą dłoń w swoją.

Westchnęła głęboko, a ja poczułam głębokie wibracje, jak prąd o niskim napięciu.

Jej magia ogarnęła mnie tak, jak kiedyś Elodie to opisała. Chłodna i miękka, niczym śnieg.

Nagle ręka wymknęła się z mojej i dziewczyna znieruchomiała.

Dobiegł mnie śmiech Alice. Odwróciłam się i zobaczyłam, że tańczyła w kółko, ze spódnicą wirującą wokół nóg.

- Muszę powiedzieć, że ze wszystkich twoich darów ten okazał się najlepszy.

Powoli podniosłam się na nogi.

- Darów?

Alice przerwała taniec, ale nie przestawała się śmiać.

- Wtedy kiedy ona z tobą przyszła, byłam pewna, że domyśliłaś się wszystkiego. To był bardzo miły gest: przyprowadzić ją tutaj i oszczędzić mi ryzyka, że ktoś mnie przyłapie w tej okropnej szkole.

Magia, którą przekazała mi Elodie, wciąż pulsowała w moich żyłach, ale nie miałam pojęcia, co z nią zrobić. Wiedziałam, że nie jestem żadną przeciwniczką dla Alice, mimo że posiadałyśmy podobny rodzaj mocy. Ona używała go od dawna, a poza tym podejrzewałam, że pobyt w piekle też ją czegoś nauczył. Mnie pozostawały jedynie strzępy informacji, które byłam w stanie sobie przypomnieć z książek

O demonach, oraz czysty, szczery gniew.

Alicę roześmiała się znowu, upojona magią po wypiciu krwi Elodie..

- Teraz, kiedy odzyskałam pełną moc, nikt nas nie powstrzyma, Sophio. Nic nie będzie poza naszym zasięgiem.

Ale ja jej nie słuchałam. Wpatrywałam się w posąg anioła i czarny miecz w jego ręce. Czarny kamień.

Diable szkło.

Na obronnym Vandy zawsze powtarzała, że każdy ma swoje słabe strony, a ja wiedziałam, co jest słabym punktem Alice. Ja.

- Pęknij - mruknęłam i miecz rozpadł się na dwoje z głośnym trzaskiem.

Poszarpany kamień wylądował w trawie u moich stóp. Podniosłam go, mimo że palił moje dłonie, a ostre krawędzie raniły mi palce. Był cięższy, niż się spodziewałam, ale miałam nadzieję, że uda mi się podnieść go dostatecznie wysoko, żeby zrobić to, co musiałam.

Alice odwróciła się i zobaczyła mnie z odłamkiem miecza w dłoni, ale nie wyglądała na przestraszona, tylko zaskoczona.

- Co ty wyprawiasz, Sophio?

Stała jakieś trzy metry ode mnie. Wiedziałam, że jeśli podbiegnę do niej, rzuci mną o drzewo jak śmieciem. Ona jednak była jak pijana, no i nie spodziewała się, że mogłabym chcieć zrobić jej krzywdę. Przecież byliśmy rodziną.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się, wzywając własną moc i magię, którą podarowała mi Elodie. Poczułam wokół siebie wściekły wicher, tak zimny, że niemal pozbawił mnie oddechu. Krew płynęła powoli w moich żyłach, mimo że serce waliło jak szalone. Kiedy otworzyłam powieki, stałam tuż przy Alice.

Zrobiła wielkie oczy, ale nie ze strachu czy zaskoczenia. Raczej z radości

- Udało ci się! - krzyknęła entuzjastycznie, jakby to był mój popis w szkole baletowej.

-Aha. Udało się.

Uniosłam okruch diablego szkła i cięłam ją w szyję.

## ROZDZIAŁ 32

- Wyszło więc na to, że jestem demonem - powiedziałam do Jenny następnego dnia.

Siedziałyśmy w naszym pokoju, a raczej ona siedziała. Ja leżałam wciąż w łóżku, z którego się zasadniczo nie ruszałam, odkąd Cal i pani Casnoff przytargali mnie z powrotem do Hekate. Cal zdołał wyleczyć większość skaleczeń, których nabawiłam się, biegnąc jak szalona na bosaka przez las, ale ręka to była osobna historia.

Spojrzałam na swoje dłonie. Lewa wyglądała dobrze, jednak na prawej widniały trzy długie rany w poprzek palców, wnętrza dłoni i nadgarstka. Były spuchnięte i wyglądały paskudnie,

jako że ich krawędzie przybrały fioletowo-czerwony odcień. Cal zrobił wszystko, co mógł, żeby je zasklepić, ale diable szkło narobiło tylu szkód, że zapewne blizny zostaną na zawsze. A może nie zostało mu już za wiele magii po tym, jak usiłował ocucić Elodie. On i pani Casnoff wpadli na polanę zaledwie kilka chwil po tym, jak odcięłam Alice głowę, a jej ciało rozpadło się w proch. Cal podbiegł natychmiast do Elodie, ale wszyscy wiedzieliśmy że było już za późno. Anna powiedziała mi, że Cal nie jest w stanie wskrzeszać umarłych, a jednak tej nocy spróbował. Dopiero kiedy nie było już wątpliwości, że dla Elodie nie da się nic zrobić, zwrócił się do mnie i wyjął mi ostrze z ręki.

W drodze powrotnej do szkoły nie byłam zbyt przytomna, ale pamiętam, że pani Casnoff mówiła, że ciało Alice zostało pochowane na cmentarzu demonów. Dlatego anioł trzymał miecz z diablego szkła - na wypadek gdyby któryś z nich zdołał się wydostać.

„Jesteście zapobiegliwi jak harcerze\* - wymamrotałam, po czym zemdlałam.

- Zawsze uważałam cię za diabolicę, ale nic nie mówiłam - oznajmiła Jenna. Mówiła lekkim tonem, jednak w jej oczach czaił się smutek, kiedy spoglądała na moją dłoń.

Wydobyłam z pani Casnoff całą opowieść. Nie kłamała wcześniej, kiedy oznajmiła, że Alice została przemieniona przez rytuał czarnej magii. Zapomniała tylko dodać, że było to wezwanie mające na celu przywołanie demona, żeby służył czarownicy.

Nie miałam pojęcia, do czego właściwie może służyć demon. Do biegania na posyłki? Zaspokajania wszelkiego domowego zapotrzebowania na złe uczynki?

Ale demony są przebiegłe, ten zatem zamiast stać się sługą Alice, ukradł jej duszę i zamienił ją w potwora. A ponieważ była wówczas w ciąży, jej dziecko również stało się demonem. Lucy poślubiła człowieka, w związku z czym tato był półdemonem, a ja ćwierćdemonem.

- Ale - powiedziała do mnie pani Casnoff, kiedy Cal usiłował wyleczyć mi rękę - nawet rozcieńczona krew demona może dać ogromną moc

- Super - odparłam, czując że ręka mi płonie pod białą magią Cala.

Pani Casnoff oczywiście od początku wiedziała, czym jestem. Dlatego nie była w stanie wyczuć Alice. Była po prostu przekonana, że odbiera moje demoniczne fale.

- I co teraz? - spytała Jenna, wstając ze swojego łóżka, żeby przysiąc na krawędzi mojego. - Co z Archerem i twoim tatą?

Zmieniłam pozycję, krzywiąc się, kiedy uderzyłam dłonią w nogę.

- Nie słyszałam nic o Archerze poza tym, co mi powiedziałaś, czyli że jego rodzina jakby się pod ziemię zapadła. Podobno szuka go spora grupa czarnoksiężników.

Co z nim robią, jeśli go złapią...? Wolałam o tym nie myśleć.

- Cal uważa, że on i cała rodzina uciekli do Włoch -ciągnęłam, usiłując ignorować ból w sercu. - A ponieważ mieści się tam główna kwatera Oka, wydaje się to prawdopodobne.

Ku mojemu zdumieniu Jenna pokręciła głową.

- Nie wiem. Słyszałam coś w Savannah. Kilka czarownic rozmawiało o siedzibie L'Occhio di Dio w Londynie. Ponoć widziano wśród nich nowego. Ciemnowłosey, młody. Może to on.

Poczułam ucisk w sercu.

- Po co miałby tam być? To pod samym nosem Rady. Wzruszyła ramionami.

- Najciemniej jest pod latarnią? Mam nadzieję, że go złapią. Mam nadzieję, że złapią ich wszystkich. - Gdy to mówiła, jej oczy stały się zimne, a ja poczułam przebiegający mnie dreszcz.

- No i nie wiem, co z moim tatą. Rada od początku wiedziała, że jest półdemonem, ale myślę, że skoro nie usiłował nikomu odgryźć twarzy, a na dodatek był niezwykle potężny, postanowili, że dobrze będzie go postawić na czele Rady, pod warunkiem że reszta Prodigium się nie dowie, kim on naprawdę jest.

- Pani Casnoff wiedziała?

- Tak jak wszyscy nauczyciele. Oni pracują dla Rady. Jenna okręciła sobie różowy kosmyk wokół palca.

- A zatem nie jesteś czarownicą - oznajmiła. Skrzywiłam się znów, ale tym razem nie z powodu ręki.

Nie jestem czarownicą. Nigdy nią nie byłam. Pani Casnoff wyjaśniła mi, że moce demonów są tak podobne do magii mrocznych czarownic, że łatwo im się pod nie podszywać, dopóki nie zrobią czegoś szalonego, jak... no, na przykład jak picie krwi czarownic, żeby się wzmocnić.

Lubiłam myśleć o sobie jako o czarownicy. Było to znacznie sympatyczniejsze niż demon. Demon to jak dla mnie potwór.

Jenna wyciągnęła nagle rękę i podrapała mnie po głowie.

- Co ty wyprawiasz?

- Sprawdzam, czy nie masz rogów ukrytych pod włosami - odpowiedziała, chichocząc.

Odsunęłam jej rękę, ale nie byłam w stanie powstrzymać uśmiechu.

- Cieszę się, że moja potworowatość cię bawi, Jenno. Zostawiła moje włosy i objęła mnie ramieniem.

- Wiesz, mogę ci powiedzieć jak potwór potworowi, że to nie jest takie złe. Teraz możemy wspólnie być dziwadłami.

Oparłam jej głowę na ramieniu.

- Dzięki - powiedziałam cicho, a ona ścisnęła moją rękę.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi i obie uniosłyśmy głowy.

- To pewnie Casnoff - powiedziałam. - Dzisiaj już pięć razy sprawdzała, czy wszystko w

porządku.

Nie powiedziałam Jennie, że kiedy ostatnio rozmawiałam z dyrektorką, zapytałam, co to wszystko dla mnie oznacza.

- To oznacza, że zawsze będziesz bardzo potężna, Sophio

- odpowiedziała. - Oznacza, że podobnie jak w przypadku twojego ojca. Rada będzie oczekiwać, iż oddasz tę moc na ich usługi.

- A zatem mój los jest przesądzony - westchnęłam. - Niech to.

Pani Casnoff pogładziła mnie po ręce z uśmiechem.

- To znakomity los, Sophio. Większość czarownic dałaby wszystko, żeby mieć taką moc jak ty. Niektóre dały nawet za duża

Potaknęłam tylko, ponieważ trudno mi było powiedzieć, co naprawdę czułam: nie chciałam być Sophią Wielką i Groźną. Taki styl myślenia pasuje do dziewczyn w rodzaju Elodie, pięknych i ambitnych. A ja to ja: zabawna, pewna siebie, bystra, ale bez ambicji przywódczych.

Kiedy tak siedziałam poprzedniej nocy z panią Casnoff i Calem, który nadal trzymał mnie za rękę, mimo że zużył już całą magię, zadałam im to pytanie, które od dawna powracało w moich myślach.

- Czy ja jestem niebezpieczna? Jak Alice? Pani Casnoff spojrzała mi prosto w oczy.

- Tak, Sophio - odpowiedziała - jesteś. Zawsze będziesz. Niektóre demoniczne hybrydy, jak chociażby twój ojciec, potrafią przeżyć wiele lat bez żadnych wypadków, aczkolwiek on nie rusza się nigdzie bez towarzystwa kogoś z Rady, tak na wszelki wypadek. Inni, jak twoja babka Lucy, nie mają tyle szczęścia.

- Co się z nią stało?

Odwróciła wzrok i odpowiedziała bardzo cicho. -L'Occhio di Dio zabiło twoją babkę, Sophie, ale nie bez powodu. Przeżyła trzydzieści lat, nie krzywdząc nikogo, po czym coś... coś jej się stało pewnej nocy i obudziła się jej prawdziwa natura. - Pani Casnoff wzięła głęboki oddech. - Ona zabiła twojego dziadka.

Zapadło długie milczenie, które dopiero ja przerwałam.

- Czyli mnie może przydarzyć się coś podobnego? Pewnego dnia mogę po prostu się złamać i uwolnić czającego się we mnie demona?

Kiedy to powiedziałam, przed oczami stanął mi obraz mamy leżącej w kałuży krwi u moich stóp. W żołądku mi się przewróciło, miałam ochotę zemdleć.

- To jest możliwe i potaknęła pani Casnoff.

Wtedy zapytałam ją, czy da się jakoś przestać być demonem - czy mam jakąkolwiek szansę na powrót do normalności.

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

- Zawsze jest Redukcja. Ale to niemal na pewno by cię zabiło.

Ta odpowiedź wciąż ciążyła kamieniem na mojej piersi. Redukcja może mnie zabić. Zapewne mnie zabije.

Jeśli jednak przeżyję resztę życia jako po części demon, to ja mogę kogoś zabić. Kogoś, kogo pokocham.

Drzwi się otwarły, ale nie stanęła w nich pani Casnoff. Zobaczyłam moją mamę.

- Mamo! - krzyknęłam, wyskakując z łóżka i rzucając się jej na szyję. Czułam, że płacze, kiedy ukryła twarz w moich włosach, więc przytuliłam ją jeszcze mocniej, wdychając znajomy zapach jej perfum.

Kiedy mnie puściła, usiłowała się do mnie uśmiechnąć i wzięła mnie za rękę. Nie byłam w stanie powstrzymać się od jęku z bólu, więc spojrzała w dół.

Myslałam, że znów zacznę płakać na widok mojej ręki, ale ona uniosła ją tylko do ust i pocałowała mnie w otwartą dłoń jak wtedy gdy miałam trzy lata i otarłam kolano.

~ Sophie - powiedziała, odgarniając mi włosy z twarzy - przyjechałam, żeby zabrać cię do domu. Dobrze, kochanie?

Zerknęłam przez ramię na Jennę, która z wielkim trudem udawała, że nas nie zauważa, ale dostrzegłam wyraz rozczarowania na jej twarzy. Jeśli wyjadę. Jenna zostanie sama. Nici ze wspólnego bycia dziwadłami.

Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się z powrotem do mamy. Nie wiedziałam, czy starczy mi sił, żeby spojrzeć jej w oczy i powiedzieć to, co musiałam powiedzieć. To, o czym wiedziałam od chwili, gdy pani Casnoff udzieliła mi odpowiedzi na moje pytanie.

Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, zobaczyłam przechodzącą korytarzem Elodie.

Serce skoczyło mi do gardła i wybiegłam za drzwi, zastanawiając się, czy Cal zdołał ją jednak ocalić. Może przez cały czas odzyskiwała siły w szkole, tylko mnie nikt nic nie powiedział.

Na korytarzu była tylko ona, odwrócona do mnie plecami.

- Elodie! - krzyknęłam, podbiegając do niej. Ona jednak na mnie nie spojrzała, a ja uświadomiłam sobie, że widzę przez nią korytarz.

Ruszyła dalej, zatrzymując się w drzwiach pokoi, jakby kogoś szukała - kolejny duch zatrzymany na zawsze w He-kate. Wiedziałam, że w jakiś sposób na to zasłużyła. Ona i jej przyjaciółki wezwały demona i zapłaciły za to wysoką cenę.

Patrzyłam za nią przez dłuższą chwilę, aż wreszcie rozplynęła się w popołudniowym słońcu. Nigdy naprawdę nie byłyśmy przyjaciółkami, ale oddała mi resztkę swojej magii, żebym mogła pokonać Alice, a ja nigdy tego nie zapomnę.

W końcu to widok Elodie dał mi siłę, żebym odwróciła się do mamy i powiedziała to, co



musiałam powiedzieć.

- Nie wracam do domu. Jadę do Londynu i poddam się Redukcji.

KONIEC